

**Charles
Williams**

ROLEJNA POWIEŚĆ AUTORA „MARTWEJ CISZY”

W biegu



ca

Williams Charles

W biegu

Po ostrej sprzeczce o żonę Russell Foley wyszedł z domu Charlesa Stedmana, policjanta mającego w środowisku opinię podrywacza. Wtedy jeszcze Stedman żył...

Ale teraz policja całego okręgu została postawiona na nogi, bo znaleziono ich kolegę zamordowanego. A Foley nie ma żadnego alibi. I pozostaje mu tylko uciekać. Chociaż to jeszcze bardziej pogarsza jego sytuację i potwierdza rację porucznika Brannana z wydziału zabójstw...

Trafiając do domku na plaży Suzy Patton, osaczony Foley może przyznać, że miał szczęście. Bo otrzymał pomoc. I to dzięki dociekliwości Suzy odkryją oboje, iż tajemnicza piękność Frances Celaya sporo powinna wiedzieć o całej sprawie...



Gdzieś na przedzie zazgrzytały sprzęgi jeden o drugi. Zwalnialiśmy. Stałem w rozkołysanym wagonie i wyrząłem na prawą stronę torów. W dali ukazały się rozmyte punkciki świateł. Sunęliśmy coraz wolniej.

Już dojeżdżaliśmy do stacji, kiedy światło zmieniło się z czerwonego na zielone, drgnęły wagony i stukot kół stał się coraz szybszy. Zakląłem. Musiałem wysiąść, i to właśnie teraz; lada moment zacznie świtać. Dotarłem po omacku do stopni. A gdy już postawiłem stopę na najniższym, wysunąłem się i zeskoczyłem, przebierając nogami. Wylądowałem ciężko, upadłem i przeturlałem się po ziemi.

Zatrzymałem się z twarzą w błocie. Uniosłem głowę, przechyliłem nieco, by złapać oddech, i leżałem, zastanawiając się, czy jestem cały. Koła i wagony przetoczyły się z hukiem obok mnie i po chwili pociąg zniknął. Usiadłem. Nogi i ręce wydawały się w porządku. Niecałe sto metrów dalej, po drugiej stronie torów, była stacja, ciemniejsza plama w mroku, gdzie samotny stożek światła na samym końcu uwidaczniał napis: „CARLISLE. Stacja kolejowa” i poniżej: „SAN-PORT 83 km”. A więc daleko nie zajechałem. Zresztą nie było takiego miejsca, które okazałoby się wystarczająco odległe. A przynajmniej nie po tej stronie księżyca.

Byłem przemoknięty, przemarznięty do szpiku kości, a do tego cały uwalany błotem. Zimny deszcz kapał mi na głowę — zakląłem siarczyście i uniosłem rękę. Moja czapka gdzieś zniknęła. Zacząłem po ciemku przebierać dookoła dłońmi, rozchlapując błoto i wodę. To było bez sensu. Musiałem ją zgubić, kiedy skakałem; pewnie leży gdzieś ze dwadzieścia metrów dalej. I tak jej nie znajdę, tracę tylko cenny czas. Teraz trzeba się gdzieś ukryć.

Wstałem spiesznie, próbując zorientować się w terenie. Po drugiej stronie torów za miastem powinna być plaża. Dojrzałem biegnącą wzdłuż kolei autostradę i dwie główne ulice, przecinające ją pod kątem prostym. Stałem niemal w równej linii z jedną z nich i sięgałem wzrokiem przez trzy czy cztery przecznice, lśniące, opustoszałe, zmyte deszczem w kręgach światła ulicznych latarni i przed witrynami sklepów. Jeśli mnie pamięć nie myliła, plaża była tak blisko, że mógłbym tam dotrzeć jeszcze przed świtem i poszukać jakiejś daczy, musiałem jednak pójść drogą okrężną, byleby z dala od tych świateł.

Obróciłem się i ruszyłem wzdłuż torów tak szybko, jak tylko zdołałem po ciemku. Po chwili zniemacka za moimi plecami zjawił się jakiś samochód, wyłaniając się gwałtownie zza zakrętu. Rzuciłem się na ziemię, w samo błoto, zanim zdążył mnie musnąć światłem reflektorów. Był to policyjny patrol, który obrzucał drzwi domów przy autostradzie snopem punktowego światła. Na następnym skrzyżowaniu skręcił i ruszył z powrotem w kierunku plaży.

Po niespełna dwustu metrach przeszedłem przez tory i autostradę i zapuściłem się w ciemną, boczną uliczkę, wysadzaną drzewami. Zęby szczękały mi z zimna, w butach chlupała woda, a deszcz z wolna zmywał z moich włosów błoto, które spływało mi po twarzy. Za przysłoniętymi oknami mężczyźni i kobiety spali w ciepłych łóżkach, wtuleni w siebie nawzajem.

Drzewa i domy zaczęły się przeredzać. Chodniki zamieniły się w błoto, a ja znalazłem się w okolicy pustych działek, zarośniętych palmami karłowatymi. Słyszałem szum i szelest ich liści w powiewach chłodnego, północnego wiatru.

Po paru minutach doszedłem do plaży. Nie było fal, bo wiatr wiał od lądu. W oddali na lewo widać było mroczną strefę cieni, które okazały się hangarami i pomostami, prawdopodobnie dla łodzi do połowu krewetek. Zaczęło się nieco rozwidniać.

Zszedłem z pomostu i znów ruszyłem plażą, stąpając po piasku. Bez wątpienia miałem coraz mniej czasu; głęboki mrok ustępował miejsca mętnej, deszczowej szarości. Po kolejnych paru minutach dojrzałem ciemne kontury domów na wzniesieniu przy plaży. Najpierw stały dwa, oddalone od siebie o jakieś pięćdziesiąt metrów, a dalej jeszcze trzy. Nigdzie nie było widać żadnych świateł.

Wróciłem znad brzegu i zaszedłem z tyłu do którejś z daczy. Było tam jedno okno, ale żadnych drzwi, nie licząc tych w dobudówce po prawej stronie. To pewnie garaż, pomyślałem. Okno było ciemne, ale nie zabite deskami. Przyłożyłem do niego ucho i nasłuchiwałem. Żadnych odgłosów, tylko bębnienie deszczu o dach. Bo i czego zresztą mogłem się spodziewać? Jeśli nawet w środku są jacyś ludzie, to na pewno jeszcze śpią. Ostrożnie obszedłem daczę dookoła. Od frontu biegła ścieżka wysypana pokruszonymi muszlami, połyskując lekko w przedświtowym mroku; rosły tam też dwie czy trzy przesadzone skądś anemiczne palmy, trzepocąc w burzowym wietrze, ale żadnego samochodu. Z wolna wszedłem na frontową werandę. Były tam dwa okna i drzwi. Zamknięte na klucz.

Prześlizgnąłem się na bok i po omacku dotknąłem drzwi dobudówki, gdzie mieścił się garaż. Były wprawdzie zabezpieczone kłódką i skoblem, ale w środku mógł stać zamknięty samochód. Zakradłem się z powrotem od tyłu, przyklejony do muru, żeby się nie wyróżniać na tle ciemnej bryły daczy. Oprócz drzwi, w tylnej ścianie garażu było jeszcze małe okienko, zatrzaśnięte od środka.

Nagle poczułem, że na coś wpadam. To była tyczka bambusowa, oparta o dach. Jej końcówką wybiłem w okienku jedną z cienkich szyb. Stłuczone szkło zabrzęczało niezbyt głośno o betonową posadzkę garażu. Cofnąłem tyczkę, po czym wsunąłem ją całą przez otwór i pomachałem na boki. Na nic nie natrafiłem. Wsunąłem rękę do środka, namacałem uchwyt, przekręciłem go i otworzyłem okienko. Wystarczyła krótka chwila, by przecisnąć się przez otwór i wylądować na posadzce garażu. Mogłem wprawdzie poranić się o rozbite szkło, ale byłem tak zdrtwiałym z wyziębienia, że nawet nic nie czułem — i w ogóle miałem to gdzieś.

Robiło się coraz widniej. Po chwili zobaczyłem zarys drzwi łączących garaż z wnętrzem daczy. Wstałem i chwyciłem za klamkę. Były zamknięte na klucz. Rozejrzałem się za czymś, co mogłoby posłużyć za łom. Przez ten wiatr z północy zanosilo się na jeszcze gorszy ziąb i kolejne dwanaście czy dwadzieścia cztery godziny w tym chłodzie w przemoczonym ubraniu mogłyby okazać się dla mnie nie do zniesienia. A w daczy znalazłyby się pewnie jakieś koce, a przy odrobinie szczęścia doszukałbym się nawet suchych rzeczy.

Jedynym narzędziem, jakie znalazłem, był stary młotek ciesielski, który wisiał na dwóch gwoździach na tylnej ścianie obok okienka. Mogłem nim zerwać płycinę drzwi, ale sam hałas obudziłby pewnie każdego w najbliższej okolicy. Wtedy zauważyłem, że drzwi otwierają się na zewnątrz. Wyciągnąłem ze ściany jeden z gwoździ, na których wisiał młotek, wyprostowałem go i wypchnąłem kołki z zawiasów. W jednej chwili wyważyłem drzwi i wysunąłem je na bok. Odblokowałem zacisk zamka w gałce, po czym zamontowałem drzwi z powrotem, wciskając kołki zawiasów na miejsce.

Drzwi prowadziły do kuchni. W rozpraszającym się mroku dostrzegłem mały gazowy piecyk i lodówkę, a w głębi na lewo blat i zlew. Po prawej stronie mieściła się niewielka jadalnia: stół i dwa krzesła oraz zaciągnięte grubą zasłoną okno. Przeszedłem przez drzwi łączące kuchnię z innym pomieszczeniem, zostawiając za sobą kałuże wody. Był tam duży pokój dzienny. W oknach frontowych i tylnych wisiały zaciągnięte zasłony, które prawie nie przepuszczały światła, a mimo to na przeciwległej ścianie dostrzegłem kamienny kominek, a zaraz na lewo inne drzwi. Przeszedłem do nich i zajrzałem dalej. Mieściła się tam sypialnia. Zasłony były zrobione z cieńszego materiału, więc widziałem całkiem nieźle. Na prawo stało łóżko nakryte bordową, sztruksową kapą oraz toaleta i komoda. Otwarte drzwi po lewej stronie prowadziły do łazienki. I to było wszystko. Wszędzie panowały chłód i wilgoć.

Całe moje ubranie wciąż ociekało wodą. Wszedłem do łazienki i rozebrałem się; marynarka, koszula, krawat, buty i bielizna wylądowały w wannie jak jakaś mokra masa. W lustrze dojrzałem swoją twarz. Jedno oko było tak spuchnięte, że ledwo mogłem je otworzyć, a do tego na policzku miałem nabrzmiałą skórę. Dotknąłem tyłu głowy i skrzywiłem się, choć na wyczucie nie było tam żadnej rany. Prawa ręka spuchła i zeszywniała. Mocno wycierając się ręcznikiem, w bieliźniarce sypialni znalazłem koc, owinąłem się nim i położyłem na łóżku. Upłynęło sporo czasu, zanim poczułem ciepło. Przyszła mi też na myśl moja czapka. Były na niej moje inicjały.

Zsunąłem się z łóżka, czując, że z braku papierosa kręci mi się w głowie. Obok toaletki stała szafa; może znalazłbym tam coś, co mógłbym na siebie włożyć. Na miękkich wieszakach wśród zapachu perfumowanych saszetek wisiało parę ubrań, ale wszystkie były

damskie — dwie czy trzy bawełniane suknie, para szortów, jakieś bluzki oraz nylonowa halka. Wyglądało to trochę dziwnie. Na toalecie znalazłem agrafkę. Spiałem koc, którym owinąłem się wokół ramion, i ruszyłem z powrotem do kuchni.

Nad zlewem wisiał rząd szafek. Zacząłem otwierać każdą po kolei i już po chwili trafiłem w dziesiątkę — odkryłem nierozpakowany karton papierosów i butelkę bourbona, pełną w trzech czwartych. Rozzerwałem paczkę, na innej półce wyszukałem zapałki i zapaliłem papierosa. Pierwszy sztach był czystą ekstazą. Chwyciłem whisky i pociągnąłem prosto z butelki. W środku poczułem eksplozję ciepła i kolorowych świateł i przez chwilę ogarnął mnie bezwład. Odstawiłem butelkę i spiesznie splądrowałem pozostałe półki. Znalazłem nietkniętą paczkę kawy, parę puszek peklowanej wołowiny, pudełko herbatników i jakiś dżem. Popatrzyłem na to wszystko. Mógłbym się tu ukryć na parę ładnych dni.

Parę minut później piłem już gorącą czarną kawę i wyjadałem z puszki zimną peklowaną wołowinę. Czułem się o wiele lepiej. Do kolejnej filizanki kawy wlałem odrobinę bourbona, zapaliłem papierosa i zabrałem ze sobą do pokoju dziennego, żeby się trochę porozglądać.

Przy kominku, na białym, włochatym dywaniku, stał długi, niski stolik ze szklanym blatem, po przeciwnej stronie rozkładana kanapa, a obok niej szezlong, jedno i drugie obite tym samym bordowym sztruksem co kapa na łóżku w sąsiednim pokoju. Po drugiej stronie kanapy stała lampa-latarnia i mały stojak na czasopisma. Na podłodze leżała winylowa czy gumowa imitacja płytek, a na środku pokoju okrągły, zdobiony frędzlami chodnik, długi na jakieś dwa i pół metra. Grube zasłony wciąż blokowały dopływ światła i wszędzie panowała głęboka cisza, przerywana tylko łagodnymi, niemal kojącymi odgłosami padającego deszczu.

Przy frontowym oknie stało wielkie, dębowe biurko i obrotowe krzesło. Z jednej strony znajdował się pulpit z przykrytą maszyną do pisania. Z sufitu zwisał żyrandol. Na biurku leżało parę książek i stos kartek, przyłożonych onyksowym przyciskiem do papieru. W rogu stał mały gazowy piecyk. Na całej ścianie za biurkiem widniały rzędy półek, a obok drzwi prowadzących do kuchni i jadalni stał maleńki stolik, a na nim telefon i radio w białej obudowie. Pod-

szedłem tam i włączyłem je, wciskając jedynie przycisk, bez przekręcania gałki głośności. Zapaliło się światelko diody. Może posłuchałbym jakichś wiadomości. Spojrzałem na zegarek. Zdążył już stanąć; zapomniałem go nakręcić.

Wtedy uderzyła mnie dziwna myśl. Skoro to letniskowa dacha, zamykana po sezonie, to czemu nie wyłączono tu gazu, wody ani prądu? Nagle usłyszałem odgłos przejeżdżającego wozu. Szybkim krokiem ruszyłem do frontowego okna i odsunąłem rąbek zasłony, żeby wyrzrzeć na zewnątrz. Zobaczyłem żółty szkolny autobus.

Sąsiedniej dachy nie było widać, podobnie zresztą jak innych, ale jedna stała jakieś sto metrów dalej, po drugiej stronie zalanej deszczem, pokrytej kałużami drogi. Ktoś musiał tam teraz mieszkać, bo szkolny autobus skręcił w jej stronę i się zatrzymał. Wsiadło do niego dwoje małych dzieci w żółtych deszczowcach, które wyskoczyły z dachy. Autobus zawrócił. Opuszczając zasłonę, słyszałem, jak przejeżdża obok i oddala się. Już miałem odejść od okna, kiedy doszły mnie inne odgłosy. Nadjechał następny wóz, sunąc z wolna w przeciwnym kierunku. Rozchyliłem zasłony i zamarłem.

To był radiowóz i właśnie się zatrzymał. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni w czarnych płaszczach przeciwdeszczowych i czapkach mundurowych z plastikowymi ochraniaczami przed deszczem. Jeden ruszył w kierunku sąsiedniej dachy, znikając mi z pola widzenia, a drugi szedł w moją stronę. W samą porę zdążyłem opuścić zasłony. Na werandzie zabrzmiały ciężkie kroki i po chwili drzwi drgnęły lekko tuż przy mojej ręce, gdy tamten chwycił za klamkę. Wstrzymałem oddech.

Tamten sprawdził okno od frontu. Usłyszałem, jak kłódka przy drzwiach garażu zastukała o drewno, kiedy przechodząc potem, potrząsnął nią, by sprawdzić, czy jest zamknięta. Teraz był przy bocznej ścianie garażu. Czapka, pomyślałem. Ktoś pewnie znalazł tę cholerną czapkę, a oni wiedzą już, że mogą mnie przyskrzynić w tym grajdole. Chociaż może to tylko rutynowa kontrola niezamieszkałych domków letniskowych...

W jednej chwili strach zmroził mi plecy jak lodowata woda. Zapomniałem o stłuczonej szybie. No i nie zablokowałem drzwi do kuchni!

Odstawiłem filiżankę z kawą na biurko tak, że obeszło się jakoś bez brzęku czy stuku, i pognałem do kuchni. Moje bose stopy stąpały

bezdźwięcznie po kaflach. Dochodząc do drzwi, usłyszałem, jak tamten woła do drugiego:

— Ej, Roy. Chodź no tu! Pewnie zauważył rozbitą szybę.

Zmacałem palcem przycisk na gałce drzwi i wepchnąłem go. Przy blokowaniu rozległo się tylko ciche kliknięcie, choć zdawało się, że bez końca wypełnia tę ciszę. Wzięłem oddech, bojąc się poruszyć czy nawet cofnąć dłoń z gałki drzwi.

— Spójrz na to — usłyszałem głos tamtego mężczyzny. — Zdaje mi się, że on tu był.

Ktoś musiał znaleźć czapkę. A poza tym mimo deszczu przy torach zostały długie ślady mojego hamowania w błocie, no i domyśla się, że wyskoczyłem z towarowego. Pewnie otoczyli już całe miasto.

— Zbił szybę, żeby dosięgnąć uchwyty — stwierdził czyjś miękki głos z wyraźnie południowym akcentem. Widocznie Roy już nadszedł. — Zaglądałeś do środka?

— Masz mnie za wariata? Przecież on może mieć broń. Zastanawiałem się, skąd ich zdaniem mogłem ją mieć. Mięśnie mnie bolały od sztywnej, nieruchomej pozycji, w jakiej stałem. Papieros w mojej lewej ręce zaczynał przypalać mi palce, a ja bałem się, że jeśli upuszczę go na podłogę, to zabrzmie to tak, jakby ktoś rzucił fortepianem.

— Wyłaź stamtąd, Foley! — nakazał Roy. Przez chwilę zapadła zupełna cisza, po czym dodał: — Daj mi swoją latarkę.

— Tylko spokojnie, jasne? — odparł ten drugi. — Jednego glinę już załatwił, kolejny to dla niego betka.

— I tak trzeba tam zajrzeć.

— Chryste...

— Odsuń się. — I znowu nastąpiła chwila ciszy, po której odezwał się głos Roya: — Pusto. Ale na pewno tu był. Widzisz te mokre plamy na betonie?

— Taa...

A potem głosy przeszły w szept. — Dostał się do środka tymi drzwiami. Idź i pilnuj od frontu, a ja wchodzę.

— A nie lepiej wezwać pomoc?

— Na diabła nam pomoc. Sam dorwę drania, co zamordował gli-niarza.

Z zewnątrz dobiegły mnie odgłosy stąpania po mokrym piachu, a następnie usłyszałem, jak Roy przeciska się przez okienko i upada na posadzkę garażu. Podeszwy butów zaszurały o beton i po chwili mężczyzna próbował otworzyć drzwi prowadzące do kuchni. Ja tymczasem ciągle trzymałem rękę na gałce, czując, jak się porusza, kiedy tamten nią potrząsnął. Wstrzymywałem oddech. Mężczyzna znowu chwycił za gałkę.

— Ej, Jim.

Zjawił się ten drugi. — Co tam?

— Drzwi są zamknięte. Nie ma żadnych śladów wyważania. Ani najmniejszej ryski.

— Trochę to bez sensu wychodzić z powrotem na deszcz, skoro miał tu suchą kryjówkę.

— Czekaj! Jasne, on musi tu być. Patrz. Drzwi do garażu były zamknięte, okno też, i dlatego je wybił. A te drzwi pewnie były otwarte. Po prostu wszedł i zamknął je od środka.

Westchnąłem. Nie miałem już żadnych szans.

— Zaraz, chwileczkę — odparł szybko drugi głos. — Te też były zamknięte. Pamiętasz? Parę dni temu, na objeździe. Ktoś zostawił otwarte drzwi do garażu i bawiły się tam dzieciaki, więc sprawdziliśmy wszystko przed zamknięciem.

— Taa, no racja.

Byłem ciekaw, jak długo jeszcze wytrzymam.

— A swoją drogą to dziwne, że nawet nie próbował się dostać do środka. Przecież przydałoby mu się suche ubranie i coś do jedzenia.

— Może nie miał czym wyważyć drzwi.

O słodki Jezu — młotek! Wtedy zdałem sobie sprawę, że właśnie na niego patrzę. Leżał na płycie przy zlewie. Mimowolnie zabrałem go do środka.

— No, szkoda naszego czasu. Przynajmniej wiadomo, że gdzieś tu jest. Pewnie włamał się do którejś z sąsiednich daczy. No i trzeba będzie przeszukać łodzie do połowu krewetek.

Roy wygramolił się przez okienko i usłyszałem, jak odjeżdżają. Bezwładnie powlokłem się do pokoju dziennego i opadłem na kanapę. Kiedy zdusiłem resztkę papierosa, dostrzegłem pęcherze na poparzonych palcach.

Wrócili po jakichś dwudziestu minutach, jak się zresztą spodziewałem, co wcale mnie nie uspokoiło. Obeszli dom, próbując otworzyć okna, które poprzednio przeoczyli. Słyszałem ich kroki i przyciszone głosy, ale nie rozumiałem ani słowa. Po jakimś czasie odjechali.

Zapałem następnego papierosa i usiłowałem myśleć. Nie miałem żadnych szans. Gliny na pewno obstawiły całą okolicę, skoro już mnie wytropiły w tej małej miejscinie. Ale może mógłbym zostać tu dla przeczekania. Miałem jedzenie i ciepły kąt na nocleg. Ukrywałbym się na tyle długo, aż uznają, że widocznie wyniosłem się już z tej okolicy, a wtedy może sobie odpuszczą. Tylko co dalej? Dokąd pójść, co robić? Na te pytania nie miałem odpowiedzi, a myśląc o tym, nabawiłem się tylko bólu głowy.

Koc był niewygodny; co rusz się ześlizgiwał. Wyszukałem parę kuchennych nożyc, wyciąłem pośrodku otwór na głowę i włożyłem na siebie jak poncho. W którejś kuchennej szufladzie znalazłem gruby, bawełniany sznur, którym przewiązałem się w pasie. Wyszło nawet niezłe, ale musiałem zabrać się wreszcie za suszenie ubrania. Włączyłem piecyk gazowy i wziąłem trochę sznura na linkę do suszenia. Po tym, jak rozciągnąłem ją w kącie nad piecykiem, wyżymałem w wannie ubranie i rozwiesiłem, żeby wyschło. Buty postawiłem tuż obok na podłodze. Mój portfel przemókł do cna. Wyjąłem z niego pieniądze i rozłożyłem na blacie do wyschnięcia. W sumie miałem 170 dolarów.

Wtedy przypomniałem sobie o radiu, wyszedłem i podkręciłem głośność na tyle, żeby słyszeć stację, gdy przyłożę ucho do głośnika. Właśnie grali jakiś dixieland, a kiedy płyta się skończyła, puścili reklamę, a po niej podali godzinę. Była dziewiąta czterdzieści pięć. Na-

stawilem i nakręciłem swój zegarek. Z radia znowu popłynęła muzyka. Przeszukałem inne stacje, ale nigdzie nie nadawali wiadomości. Może nadadzą o dziesiątej. Wyłączyłem odbiornik.

Na lewo od radia wisiały półki z książkami. Stałem, przyglądając się im, a po chwili zauważyłem, że książki w szeregu na dwóch najwyższych półkach są autorstwa tej samej pisarki, niejkiej Suzy Patton. Było ich tam przynajmniej ze sto, prawdopodobnie powieści, w barwnych obwolutach, na oko nowe i nietknięte, jak z księgarskiej półki. Zacząłem wyjmować je na chybił trafił i przeglądać, a wtedy zorientowałem się, że to tylko sześć tych samych powieści przetłumaczonych na przeróżne języki. Rozpoznałem wśród nich hiszpański, francuski i włoski oraz inny, który wyglądał mi na szwedzki lub norweski, ale były tam takie, które widziałem pierwszy raz w życiu. Wszystkie miały ten sam rodzaj okładki, na której widniały przeważnie zmysłowe dziewczęta, w mocno wydekoltowanych sukniach, w krynolinach, oraz dziarscy osobnicy w konfederackich mundurach. *Patton? Suzy Patton?* Nazwisko niby znajome, ale nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek czytał którąś z jej książek; powieści historyczne nie bardzo mnie interesowały. To musiała być jej dacza. Nie przychodził mi do głowy żaden inny powód, dla którego ktoś przechowywałby tu te wszystkie obcojęzyczne wydania.

Była już prawie dziesiąta. Znowu włączyłem radio i przycupnąłem, przyciskając ucho do kratki głośnika. Tym razem trafiłem na wiadomości. Przez pierwszą połowę programu mówili o Waszyngtonie i przyładku Canaveral, i o kolejnej śnieżycy na wschodzie. Giełda papierów wartościowych przyniosła nieregularne spadki. „A teraz wiadomości z regionu” — ciągnął spiker. Dwie osoby zginęły w kradzieży samochodowej. Jakiś świr próbował napaść na bank z pistoletem na wodę. Burmistrz rozchorował się na azjatycką grypę. Ktoś krytykował szkolnictwo. Ktoś inny twierdził, że szkołom świetnie się powodzi. W jednej chwili zeszywniałem. Zaczęło się.

„Według ostatnich informacji intensywne poszukiwania Russella Foleya, miejscowego marynarza, skupiły się dziś rano na okolicy Carlisle, na wybrzeżu zatoki, jakieś sto kilometrów na zachód od Sanport. Policja doniosła o znalezieniu brązowej czapki, podobnej do tej, którą Foley miał na sobie, gdy widziano go po raz ostatni, a na której widnieją inicjały R.F.; zauważono ją o świcie przy stacji kolejo-

wej w Carlisle, co z odciskami butów i długimi śladami hamowania w błocie nieopodał torów, oznacza, że poszukiwany wyskoczył z przejeżdżającego pociągu towarowego. Policja twierdzi, że człowiek ten prawdopodobnie ukrywa się gdzieś w mieście, dlatego wszystkie drogi wyjazdowe zostały tam zablokowane przez lokalnych funkcjonariuszy, policjantów z wydziału szeryfa i z drogówki.

Foley jest poszukiwany w celu przesłuchania w sprawie zabójstwa Charlesa L. Stedmana, policjanta z Sanport, do którego doszło wczoraj wieczorem w wyniku brutalnej bijatyki w mieszkaniu Stedmana. Wezwana przez sąsiadów policja przyjechała chwilę po tym, jak zabójca Stedmana opuścił budynek. Nikt nie odpowiadał na pukanie policjantów, więc wyważyli oni drzwi i znaleźli Stedmana za-dźganego nożem. Zabójca, rzekomo rozpoznany przez dwóch innych lokatorów budynku jako Foley, udał się do pobliskiego baru, po czym uciekł stamtąd tylnym wyjściem.

Foley, trzeci oficer tankowca *Jonathan Dancy*, należącego do przedsiębiorstwa naftowego Southlands, był uprzednio lokatorem tego budynku. Jego żona, Denise Foley, odeszła od niego i prawdopodobnie przebywa w Reno, starając się o rozwód. Kiedy widziano go po raz ostatni, miał na sobie brązowy, gabardynowy garnitur, białą koszulę, brązowy krawat w paski oraz brązową czapkę, przypuszczalnie tę samą, którą znaleziono przy torach kolejowych w Carlisle. Rysopis poszukiwanego: wiek — dwadzieścia siedem lat, wzrost — metr osiemdziesiąt cztery, waga — osiemdziesiąt sześć kilogramów, włosy rude, oczy niebieskie; policja twierdzi, że mężczyzna może mieć sińce i rany na twarzy i rękach w wyniku bijatyki, do której doszło przed zabójstwem".

I to by było na tyle. Wyłączyłem radio, czując mdłości. Ani słowa o tym, jak wyglądał nóż czy inne narzędzie, którym go zadźgano; nie wspomnieli też o jakichkolwiek innych osobach. Widocznie ten ktoś czekał już w mieszkaniu i znał inne wyjście, schodami przeciwpożarowymi, a jednak nikogo nie widziałem, nie było tam ani śladu innych osób. Kiedy się dowiedziałem, że tamten nie żyje, straciłem głowę i puściłem się biegiem, co było czystą głupotą — i to bez wątplenia — ale w gruncie rzeczy nijak nie pogorszyło mojej sytuacji. Gorzej już być nie mogło.

Wyszedłem do kuchni i dolałem sobie whisky, a wtedy zmęczenie, wyziębienie i dwanaście godzin biegu i strachu powaliły mnie w jednej chwili. Chwyciłem inny koc i gdy tylko położyłem się na kanapie, wyciągnąłem się na całą długość i odpłynąłem.

Kiedy się obudziłem, ciągle padało i podmuchy wiatru smagały dom. W pokoju wciąż było tak samo mroczno jak przedtem i przez chwilę zdawało mi się, że spałem tylko przez parę minut. Wtedy zerknąłem na zegarek i zobaczyłem, że jest już po trzeciej. Byłem spocony i zaplątany w koc, jakbym we śnie rzucał się i wił. Sięgając po papierosa, zeszytniałem na całym ciele, nasłuchując. To był odgłos zatrzaskiwanych drzwi auta.

A więc wrócili, żeby węszyć dalej? Zeskoczyłem z kanapy i rzuciłem się do frontowego okna. Odsunąłem zasłonę o parę milimetrów i wyrząłem na zewnątrz, czując, jak cierpnie mi skóra między łopatkami. To nie policja, a coś jeszcze gorszego. Przed garażem stał samochód, niebieski oldsmobile.

Nie było się gdzie ukryć, uciekać też nie mogłem, bo nie miałem na sobie nic prócz koca. Nic, tylko stać bezradnie i patrzeć. W samochodzie nikogo nie było, ale usłyszałem brzęk skobla, gdy kierowca otwierał drzwi garażu. Wtedy ją zobaczyłem, wysoką kobietę w ciemnym płaszczu i plastikowym deszczowcu narzuconym na głowę i ramiona. Chwiejąc się lekko, jakby zmagająca się z wiatrem, otworzyła drzwi samochodu i wsunęła się na siedzenie kierowcy. Połowa drzwi garażu gwałtownie się zamknęła i kobieta musiała ponownie wysiąść, żeby je czymś przyblokować. A potem znowu wsiadła do auta i wjechała do garażu.

Pobiegłem do kuchni. Jak tylko tu wejdzie, zaraz zobaczy otwartą puszkę z jedzeniem i kawę — dlatego musiałem ją chwycić, jeszcze zanim zdąży się wycofać i uciec. Słyszałem odgłos silnika na chodzie, a potem stukot obcasów na betonie. Drzwi garażu trzasnęły od silnego podmuchu wiatru, który zatrząsł całym domem. Czekałem w napięciu. Nic się nie działo. Pewnie wyszła z garażu, by wejść frontowymi drzwiami. Biegiem wróciłem, sunąc bezdźwięcznie po kaflach, i nasłuchiwałem przy oknie. Na werandzie nikogo nie było albo może stała tam gdzieś bez ruchu. Odsunąłem zasłonę, żeby wyrzeć przed dom. Nigdzie jej nie widziałem. Deszcz bębnił w werandę i o szybę.

Pośpieszyłem z powrotem do kuchni i stanąłem cicho, przyklejając ucho do drzwi, czekając na odgłos kroków. Pewnie wyjmowała coś z auta. Minęło już parę minut, odkąd przyjechała. Ciągłe słyszałem włączony silnik, mocno zagłuszony szumem deszczu. A może zauważyła zbitą szybę w okienku garażu i uciekła? Nie, to bez sensu. Gdyby coś ją wystraszyło, to po prostu wsiadłaby do auta i odjechała. Czekałem, z każdą chwilą coraz bardziej zaintrygowany. Było w tym wszystkim coś upiornego. Czemu przynajmniej nie wyłączyła silnika? Czulem, jak spaliny wdzierają się przez krawędzie drzwi. Czyżby chciała popełnić samobójstwo?

Odblokowałem drzwi i delikatnie uchyliłem. Mimo zbitej szyby w okienku smród spalin był nieznośny. Nigdzie nie było jej widać. Przy zamkniętych drzwiach panował tam prawie kompletny mrok, za to drzwi samochodu po lewej stronie były otwarte, wewnątrz paliła się sufitowa lampka i zauważyłem, że w środku jej nie ma. Dokąd mogła pójść? Samochód zajmował niemal cały garaż. Zerknąłem dalej i wtedy zobaczyłem ją — a raczej ramię i dłoń za tylnym kołem od mojej strony. Musiała upaść między tyłem auta a drzwiami garażu, leżała tuż pod samą rurą wydechową.

Zeskoczyłem z dwóch stopni, otworzyłem drzwi samochodu i włączyłem zapłon. Zaczynając się krztusić spalinami, przykląknęłam, złapałem ją za oba ramiona i wyciągnąłem spod bagażnika. Była to roślina kobieta, ciężka w swej bezwładnej, nieruchomej masie nieprzytomnego człowieka. Zasapałem się, przekładając ją sobie przez ramię. Pośpieszyłem do kuchni, kopnięciem zamknąłem drzwi i ruszyłem z nią do sypialni. Tam zsunąłem ją na łóżko, obróciłem na plecy tuż pod samym oknem i przyłożyłem dłoń do piersi. Wciąż jeszcze oddychała. Rozchyliłem zasłony. Okno było typu skrzydłowego. Odblokowałem jedną połowę i uchyliłem na parę centymetrów, żeby wpuścić trochę wiatru. Przytrzymując u dołu zasłonę, skierowałem strumień świeżego powietrza prosto na jej twarz. Pod szminką trudno było zauważyć, czyjej wargi zsiniały, ale jej cera miała normalny kolor. Wiatr dmuchnął na nią kilka kropel deszczu i lekko się poruszyła. Wyglądało na to, że do siebie dojdzie, ale gdybym czekał tam, za drzwiami, jeszcze pięć minut, byłaby już trupem.

Pewnie uderzyły ją zamykające się drzwi. Wtedy przypomniało mi się, że wracając do auta, słała się na nogach, i pochyliłem się,

by powąchać jej oddech. A więc problem Suzy Patton — jeśli to w ogóle była Suzy Patton — przynajmniej po części tkwił w tym, że po prostu się wstawiła. Nie bardzo wiedziałem, jak tlenek węgla działa na ludzki organizm w połączeniu z alkoholem, ale miałem przeczucie, że lada chwila okropnie ją zemdli.

Zsunąłem jej szpilki na pasku i kopnięciem otworzyłem drzwi łazienki. Wtedy też zaczęła wymiotować. Zaprowadziłem ją do łazienki, na wpół wlokąc ją po podłodze, i podtrzymałem jej głowę. Kiedy już jej przeszło, zmoczyłem w umywalce myjkę i opłukałem jej twarz, podczas gdy ona stała chwiejnie, oparta o ścianę łazienki, z zamkniętymi oczami. Otworzyła je dopiero, jak położyłem ją z powrotem na łóżku. Zerknęła na mnie. — O Boże drogi! — jęknęła i znów zamknęła oczy. Słabym ruchem próbowała wygładzić zakasaną spódnicę. Pomogłem jej, a po chwili leżała znów bez ruchu. Wyszedłem do pokoju dziennego i zapaliłem papierosa. Poradziłbym z nią sobie bez trudu, ale jeśli policja wróci tu i zostanie odblokowane drzwi garażu, to jestem trupem. Zerknąłem na zegarek. Do zmroku pozostały przynajmniej ze trzy godziny.

Stałem w drzwiach i popatrzyłem na nią. Była rosłą dziewczyną, a przy tym uderzająco piękną, o włosach blond, niemalże białych jak wata. Ma chyba metr osiemdziesiąt wzrostu, pomyślałem. I jakieś trzydzieści do trzydziestu trzech lat. Włosy nosiła ścięte krótko, jak to kiedyś mówiono „na Włoszkę”; nie wiedziałem, jak się to teraz nazywa. Ubrana była w ciemną spódnicę, ciemny, miękki sweter i krótki, rdzawoczerwony płaszcz. Miała też złote kolczyki i zegarek, na oko całkiem drogi, ale żadnych pierścionków. Była blondynką o ładnej twarzy, która nawet przy złym samopoczuciu kryła w sobie znamię witalności.

Wyszedłem podgrzać kawę. Kiedy wróciłem z filiżanką, siedziała na krawędzi łóżka, trzymając się za głowę. — Może się pani trochę tego napije — powiedziałem.

Westchnęła. — Pan jeszcze tutaj? A ja myślałam, że nie żyję i jestem już w piekle.

Nie sprawiała wrażenia bardzo wystraszonej. Może przy takim samopoczuciu uznała, że cokolwiek się teraz wydarzy, może tylko wyjść jej na lepsze. Podsunąłem jej kawę i upiła łyk. Zapaliłem papierosa, podałem jej.

Zaciągnęła się i wzdygnęła. — A co się właściwie stało?

— Wyciągnąłem panią spod bagażnika pani samochodu. Pewnie uderzyły panią drzwi garażu.

Dotknęła tyłu głowy i skrzywiła się. — Już sobie przypominam. Zostawiłam włączony silnik, tak? Próbowałam wstać, ale zemdlałam.

— Mniej więcej tak to wyglądało — przyznałem.

Podniosła na mnie wzrok i pokręciła głową. — Coś mi się pan rozmywa. Wygląda pan jak Spartakus, a głosem przypomina pan sierżanta Fridaya z tych słuchowisk „Obława”. Kim pan jest i jak pan tu wszedł?

— Nazywam się Foley — odparłem. — Włamałem się.

— Aha. To pewnie pan jest tym zbiegiem. Rozstawili blokady na autostradzie.

— To samochody też przeszukują?

— Chyba tylko każą zwolnić i zaglądnąć do środka. Byłam tak zajęta udawaniem trzeźwej, że nawet nie zwróciłam uwagi.

Znowu podsunąłem jej kawę. Popiła jeszcze trochę. — Dlaczego właściwie pana szukają? — spytała.

— Myślą, że zabiłem policjanta.

Od razu podniosła wzrok. — A tak. Zdaje się, że dziś rano pisali o tym w gazecie. Wspominali o jakiejś bijatyce.

— Właśnie — potwierdziłem. Postawiłem kawę na toaletce. —

1 jak się pani teraz czuje?

— Fatalnie. Ale dzięki, że mnie pan stamtąd wyciągnął. Uratował mi pan życie, jakie by ono nie było.

— Pani jest tu z kimś umówiona? — dociekałem.

— Nie, dlaczego?

— Po prostu chciałem wiedzieć. Czy to pani dacza? Skinęła głową.

— A więc to pani jest Suzy Patton?

— Zgadza się. Suzy Patton, autorka przebrzmiałej sławy. Pisarka spisana na straty.

Zastanawiałem się, czy przypadkiem wciąż nie jest pijana. — Co też pani wygaduje?

— Nieważne — odrzekła. — To coś, czego były pisarz nawet nie próbuje tłumaczyć komuś, kto pisarzem nie jest. Po prostu wypalenie, jeśli pan rozumie, o co mi chodzi.

— Chyba nie — przyznałem. — Ale to nic. Proszę tylko siedzieć cicho i nie próbować dzwonić na policję ani uciekać.

— Pan mi grozi? — spytała.

— Niech pani nie zgrywa twardzielki — upomniałem ją. — Nic pani nie zrobię, ale mogę panią związać, jeśli będzie trzeba.

— I co panu z tego przyjdzie?

— Zyskam trochę czasu. Jeśli dłużej pozostanę w ukryciu, to być może uznają, że zwałem, a wtedy będę mógł się stąd wydostać.

Miała jasne, szare oczy, które nie zdradzały strachu przed niczym. — To głupi plan. Czemu po prostu pan się nie podda?

— Dostałbym dożywocie. Albo krzesło elektryczne. Niech pani da spokój.

— I tak prędzej czy później pana złapią. Sam pan dobrze wie.

— Nie snuję żadnych dalekosiężnych planów — uciałem chłodno.

— Na razie jeszcze mnie szukają; problem się zacznie, jak już mnie dorwą. Działam pod wpływem chwili, a gdy już ją wykorzystam, to chwytam następną.

— A w międzyczasie naraża się pan jeszcze na zarzut porwania, żeby tylko pogorszyć sprawę?

— Gorzej już być nie może — skwitowałem.

— A więc zamierza pan tu zostać?

— Owszem.

Westchnęła. — No cóż, a mogłabym przynieść chociaż z samochodu torebkę? Czy to raczej wbrew zasadom?

— Razem po nią pójdziemy. To znaczy, jeśli pani czuje się już na siłach.

— Nic mi nie jest. Tylko głowa mi pęka. — Włożyła buty i wstała. Zdawała się utrzymywać równowagę. Wyszliśmy przez kuchnię.

— Niech pani zaczeka przy drzwiach — nakazałem. — Sam pójdę.

— I wszedłem do garażu, nie spuszczając z niej oka. Nawet nie próbowała się cofnąć, żeby uciec frontowymi drzwiami.

Przyniosłem jej torebkę. Nalała z kranu trochę wody i łyknęła parę tabletek aspiryny, które wyjęła z torby. Wróciliśmy do pokoju dziennego. Poszedłem zmacać swoje ubranie. Koszula i szorty już prawie wyschły, ale marynarka była jeszcze wilgotna. Kiedy się obejrzałem, kobieta była już w sypialni. Mogła próbować wydostać się oknem. Podbiegłem do drzwi i zajrzałem do środka, ale ona stała

przy lustrze toaletki, spokojnie nakładając szminkę. Zerknęła na mnie pytająco. — O co chodzi?

— Myślałem, że będzie pani próbowała ucieczki.

— W taką ulewę? Niech się pan nie wygłupia. — Zaciśnęła wargi, przyjrzała się im i wrzuciła szminkę z powrotem do torebki. Następnie zaczęła czesać włosy. Była z niej bardzo elegancka kobieta, a do tego zjawiskowa i niewzruszona jak nikt.

— Niełatwo panią przestraszyć, co?

— Teraz już nie — odparła. Wrzuciła grzebień do torebki i spojrzała na mnie. — A powinnam się bać?

— Może i tak.

Posłała mi krzywy uśmiech. — Mam za sobą dwa nieudane małżeństwa. Jestem po trzydziestce, całkiem sama, skończona jako pi-sarka. No i co mi pan zrobi, panie Foley? Niech pan coś wymyśli.

— W porządku. Tylko proszę nie próbować stąd uciekać.

— A kto tu mówi o ucieczce? Przecież to mój dom, prawda? Nie mam zamiaru dać się stąd wykurzyć jakiemuś gladiatorowi na wygnaniu, który ukrywa się przed policją.

Próbowałem doczytać się czegoś w twarzy tej blondynki, ale nic z tego nie wyszło. Całkiem możliwe, rzecz jasna, że była spokojna tylko dlatego, że się tu z kimś umówiła. A kiedy tamten już się zjawi, nie dam rady im obojgu. No cóż, musiałem to jakoś przeczekać, podobnie jak wszystko inne.

Wiatr znowu zatrzęsł domem, a deszcz siekł po oknach. Było już krótko po czwartej, jeszcze dwie godziny i zacznie się ściemniać. Raz po raz dobiegał mnie brzęk skobla i kłódki, gdy porywy wiatru chłostały drzwi garażu. Suzy siedziała na szezlongu przy niskim stoliku, spokojnie paląc papierosa.

— W gazecie pisali, że jest pan oficerem floty handlowej? — zagadnęła.

— Zgadza się — przytaknąłem. — Trzeci oficer na tankowcu.

— To skąd te zatargi z policją? Przecież nie jest pan przestępcą.

— Sprawa osobista — odparłem. — I nie miało to nic wspólnego z tym, że on był policjantem.

— I poszedł pan tam po to, żeby go zabić?

— Nie.

— W takim razie po co?

— Słucham?

Usłyszałem nadjeżdżający samochód. Obracając się, ruszyłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Zobaczyłem policyjny radiowóz, którego wycieraczki walczyły z deszczem spływającym po przedniej szybie. Pojechał dalej, a po chwili wracał i znowu musiałem powtórzyć całą tę czynność. Przejechał obok, nawet nie zwalniając. A więc nie zauważyli. Westchnąłem, a ona coś mówiła.

— Słucham? — spytałem, odwracając się od okna.

— To był wóz policyjny? Skinałem głowę.

— I po co ten strach? Przecież oni nie mają powodu tu zaglądać.

Powiedziałem jej, że wcześniej już tu byli.

— Wystarczy, że zauważą pani samochód, a zavrzą się upewnić, czy z panią wszystko w porządku.

— Aha — mruknęła. — I dlatego nie możemy rozpalić ognia w kominku?

— Właśnie.

— I co pan zrobi, jeśli tu przyjdą?

Wzruszyłem ramionami. — A co mogę zrobić? Jeśli pani nie podejdzie do drzwi, to pomyślą, że coś tu nie gra, i wtargną siłą. Chyba sobie ubzdurali, że mam broń.

— Rozumiem — odparła.

Znowu sięgnąłem do swoich ubrań. Marynarka wciąż jeszcze była wilgotna. Kiedy się odwróciłem, Suzy przyglądała mi się, ale zaraz uciekła wzrokiem. Już drugi raz ją na tym przyłapałem; byłem ciekaw, co też sobie myśli.

— Czy wchodząc do mieszkania tamtego policjanta, był pan uzbrojony? — dociekała.

— Nie — odrzekłem.

— A pijany?

— Po pięciu czy sześciu drinkach.

— Ale musiał pan wiedzieć, że tamten ma broń? Skoro był policjantem.

— Chyba tak — rzuciłem, poirytowany. — Zresztą wtedy nawet o tym nie myślałem. Zależało mi tylko, żeby rozkwasić mu tę tłustą gębę. A co do broni, to miałem czas pozbyć się choćby i dwudziestu spluw. W takich okolicznościach prawnik radziłby mi się przyznać i odprawić modły.

Pokręciła głową. — Zdaje się, że w prasie podali, że tamtego zadźgano nożem, co jest dowodem na to, że nie miał pan broni, bo inaczej by jej pan użył. Czyj to był nóż? Tamtego faceta?

— A skąd mam wiedzieć? — spytałem w odpowiedzi. — Nawet go nie widziałem.

— Pan chyba nie traktuje tego poważnie?

— Jasne, że nie. Na myśl o krześle elektrycznym padam trupem ze śmiechu. W drgawkach.

— Tylko bez ironii. Przecież nie trzymam tu pana siłą. — Oparła się wygodnie na szeszlunku i papierosem wskazała na kanapę. — Może pan siądzie i opowie mi o wszystkim?

— Naprawdę to panią obchodzi? — spytałem.

— Nie bardzo, ale skoro mamy tu przesiedzieć razem resztę życia, to dobrze byłoby pogadać.

Usiadłem na ukos od niej po drugiej stronie stolika i zapaliłem papierosa. — Już przedtem miałem z nim zatargi. Jakies dwa tygodnie temu zagroziłem, że jak się nie uspokoi, to mu łeb utracę. Powiedziałem to przy świadkach, co jeszcze bardziej mnie pogrąża. Tylko niech mi pani daruje teksty w stylu: totalna głupota; sam dobrze o tym wiem, ale jak mam do czynienia z typami pokroju Stedmana, to zaraz szlag mnie trafia. To lowelas, jeden z tych ważnych, zadufanych szpanerów, co to przy każdej okazji obnosi się z tym, jak potrafi dogodzić kobietom. Zwłaszcza tym, których mężowie często wyjeżdżają.

Moja żona śpiewała w nocnym klubie. Byliśmy małżeństwem przez jakiś rok. Nie układało nam się, bo niełatwo jest być żoną faceta pływającego na tankowcu, chyba że kobieta woli prawie przez cały czas być sama. Pływaliśmy wtedy na wschodnie wybrzeże i z powrotem jak okrężny pociąg, piętnaście dni w podróży i jeden w domu, nie licząc dłuższego urlopu raz na rok. Ona nie mogła tego znieść. Po ostatnim rejsie dowiedziałem się, że puszczała się ze Stedmanem. Był sam i miał mieszkanie w tym samym bloku, na Forest Avenue dwanaście przez sto. Strasznie się wtedy pokłóciliśmy, a jeszcze tego samego wieczoru natknąłem się na Stedmana w barze Sidelines, zaraz obok, no i zamieniłem z nim parę słów. Ale właściciel baru, mój dobry przyjaciel, rozdzielił nas i przekonał mnie, żebym nie wszczynał bójk.

Ostatniego wieczoru, kiedy dobiliśmy do portu, dostałem wiadomość. O rozwodzie, rzecz jasna. Żona wyjechała do Reno, zabrała samochód i prawie całkiem wyczyściła nasze wspólne konto. Około dziewiątej wracałem z rafinerii przez miasto i wstąpiłem do Sidelines na parę drinków. Im głębiej się nad tym wszystkim zastanawiałem, tym większa ogarniała mnie wściekłość. Nie, żeby mnie to zdołowało — cholera, i tak byliśmy już skończeni — ale nie cierpię, jak ktoś robi ze mnie frajera, a zwłaszcza ktoś taki jak Stedman. No i poszedłem do jego mieszkania.

Kiedy otworzył drzwi i zobaczył, kto to, zamknął je, ale wepchnąłem się siłą i rąbnąłem go. Rzecz jasna, nie miał przy sobie kabury

ani spluwy, bo nie był na służbie, ale bynajmniej nie dał sobą pomiatać. Był nieco cięższy ode mnie i potrafił niezłe przyłożyć. Urządziliśmy w jego salonie pioruńską demolkę. Dozorca zaczął walić do drzwi, groził, że wezwie policję. Po jakichś pięciu minutach obaj byliśmy porządnie potłuczeni i zasapani.

Wychodząc widziałem, jak Stedman klęczy na środku pokoju, próbując wstać. Ja sam zresztą wcale nie czułem się lepiej. Byłem przymulony od jego ciosów, na rękach i ubraniu miałem krew z jego poranionej twarzy. Dozorcy na korytarzu już nie było, ale natknąłem się na dwóch lokatorów, którzy znali mnie przynajmniej z widzenia. Poszedłem z powrotem do baru Sidelines, ale zanim tam dotarłem, usłyszałem syreny i zobaczyłem, jak pod nasz dom podjeżdża policyjny radiowóz. W barze poszedłem do łazienki doprowadzić się do porządku. Potrzebowałem jakichś trzech czy czterech minut, żeby zmyć krew i poprawić ubranie, i wtedy usłyszałem, że wchodzi gliny i pytają o mnie. Wymknąłem się tylnym wyjściem na ulicę. Nie miałem zamiaru spędzić nocy w więzieniu i ryzykować, że rano nie zdążę na statek, a poza tym uznałem, że do czasu mojego powrotu sprawa przyschnie i co najwyżej przyjdzie mi pójść na policję i zapłacić karę. Zaczynało padać, więc zaszyłem się w kinie.

Wyszedłem stamtąd dopiero około pierwszej w nocy. Zadzwoiłem do Sidelines i zapytałem Reda Lanigana, czy już się uspokoiło i czy mógłbym wrócić na drinka, i wtedy wszystko zaczęło się walić. Red udawał, że rozmawia z kimś innym; oświadczył, że Stedman zginął od dźgnięcia nożem i że policja przeczesuje miasto w poszukiwaniu marynarza nazwiskiem Foley. Pomyślałem, że sobie żartuje, ale rozłączył się, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Zatelefonowałem do mieszkania Stedmana. Odebrał jakiś mężczyzna, który nawet się nie przedstawił, i z pewnością nie był to głos Stedmana. Nic z tego wszystkiego nie rozumiałem, ale zacząłem się bać. Zatrzymałem taksówkę, żeby jechać na osiedle i sprawdzić, czy przed blokiem stoją jeszcze jakieś wozy policyjne. Kierowca przyglądał mi się w lusterku. Z początku myślałem, że to z powodu podbitego oka i sińców na twarzy, ale po chwili zacząłem mieć wątpliwości. Widocznie policja podała w mediach mój rysopis. Zapłaciłem mu, wysiadłem, pognałem w przeciwną stronę i prysnąłem w jakąś uliczkę. Nie minęły dwie minuty, gdy na rogu, gdzie wysiadłem z taksówki, pojawiła się policja.

Wtedy chyba całkiem straciłem głowę. W ciągu następnej godziny dwa razy omal mnie nie dorwali, raz przy rampie kolejowej. Zgubiłem ich po ciemku w tym deszczu i zauważyłem, że właśnie odjeżdża jakiś pociąg towarowy. Podbiegłem, wskoczyłem i znalazłem się w wagonie...

Pokręciła głową. — To chyba najbardziej niesamowita historia, jaką słyszałam.

— Zapewne — przyznałem. — A więc mam się poddać i zabawić się z nimi dla hecy?

— To znaczy, że podczas bójki nie było noża? A przynajmniej pan żadnego nie widział?

— Nie — odparłem.

— A kiedy pan wychodził, tamten klęczał i jeszcze żył?

— Właśnie. Może i dostał niezły wycisk, ale nic strasznego mu się nie stało, a w każdym razie nie ucierpiał bardziej niż ja. Twardy był z niego gość.

— A czy wychodząc, zamknął pan drzwi?

— Chyba tak. Byłem wprawdzie nieco przytłumiony, ale zamknięcie drzwi to normalny odruch.

Pokiwała głową. — I twierdzi pan, że dozorca już nie było, bo prawdopodobnie poszedł zadzwonić po policję, ale po korytarzu kręcili się jacyś inni ludzie?

— Zgadza się. Jakaś kobieta stała w drzwiach sąsiedniego mieszkania. Pewnie zdążyła już wezwać policję. W każdym razie z tego, co słyszałem w radiu, zrobił to ktoś z sąsiadów. Nie znam jej nazwiska, ale kojarzę ją z widzenia, i chyba ona mnie też. Widząc, jak wychodzę od Stedmana, cofnęła się z powrotem. Na drugiego lokatora natknąłem się na schodach...

Poruszyła ręką z papierosem. — Nie o to mi chodzi. Jak widać, nie sposób ustalić tożsamości sprawcy. Ale czy po pana wyjściu tamta kobieta mogła zajrzeć do salonu Stedmana? I potwierdzić, że jeszcze żył?

— Nie było takiej możliwości — odparłem. — Stała w drzwiach swojego mieszkania po tej samej stronie korytarza.

— A ile pana zdaniem czasu minęło od pana wyjścia do przyjazdu policji i znalezienia przez nich zwłok?

— Nie wiem — przyznałem. — Chyba jakoś od trzech do pięciu minut. Zszedłem po schodach, opuściłem budynek i byłem już przy następnej przecznicy, kiedy pod blok zajechał radiowóz. Pewnie odszukali mieszkanie, a potem wyważyli drzwi...

— Skąd pan wie, że tak było?

— Podawali w radiu.

Skinęła głową. — W takim razie musiał je pan zamknąć, a one zablokowały się automatycznie.

— Na to wygląda. Chyba że on sam je zamknął albo ktoś tam wszedł czy wyszedł stamtąd zaraz po mnie.

— Wykluczone — zaprzeczyła. — Tamta kobieta na pewno trzymała rękę na pulsie. Stała i obserwowała korytarz, dopóki nie zjawiała się policja. Zeznałaby, czy ktoś wchodził, czy wychodził.

— W takim razie w jego mieszkaniu musiał być ktoś jeszcze.

— No a jak się stamtąd wydostał?

— Przez kuchnię klatką schodową z tyłu budynku, która prowadzi do piwnicy. Na parterze jest wyjście na ulicę.

— Hmm — mruknęła. — A w jego mieszkaniu nikogo innego pan nie widział?

— Co prawda, byłem tylko w salonie, ale nie.

— Żadnego płaszcza, szala, czapki, torby ani niczego innego?

— Nic. A zresztą nawet gdyby, to i tak bym nie zauważył. Byłem rozwścieczony i widziałem tylko Stedmana.

— Skoro ktoś u niego był, to czemu nagle zapragnął go zabić? Przypuszczalnie to jakiś przyjaciel czy znajomy.

— Albo któraś z jego dziewczyn. Pojęcia nie mam. Wiem tylko, że kiedy wychodziłem, Stedman miał się całkiem nieźle, a pięć minut później już nie żył.

— Myśli pan, że ktokolwiek w to uwierzy?

— Mowy nie ma. A jak pani sądzi, dlaczego uciekłem?

— A jednak pańska wersja ma jeden plus — orzekła. — Jest na tyle kretyńska, żeby być wiarygodną. Byle frajer wysmażyłby lepszą bajeczkę.

Wzruszyłem ramionami, wstałem i zacząłem snuć się nerwowo po pokoju. W środku robiło się coraz mroczniej. Odwróciłem się, jej oczy były skierowane na mnie. Tym razem nie uciekła wzrokiem. W zamyśleniu pokręciła głową.

— Nie mogę się zdecydować, czy wygląda pan teraz bardziej jak rzymski gladiator — powiedziała — czy raczej jak przekorny średnio-wieczny mnich, którego nakryto w czyjejs sypialni.

— Proszę posłuchać, moje ubranie zaraz wyschnie...

— Och, nie ma sprawy. Co za intrygujące zestawienie: ten niby habit i podbite oko...

W jej tonie było coś zaczepnego, a gdy obróciłem się szybko, by na nią spojrzeć, ujrzałem to coś także w jej oczach. Podszedłem do niej. Posunęła się nieznacznie, a ja przysiadłem na krawędzi szezlonga.

— A więc nie możemy rozpaść kominka? — zapytała przekornie.

— Nie.

— Proszę sobie wyobrazić, jak byłoby przytulnie. — Uśmiechnęła się. — Ogień i szum deszczu.

— I dobijający się do drzwi policjanci.

— Może po prostu bym ich spławiła.

— No jasne — mruknąłem.

— Nie wierzy mi pan? — Przesunęła delikatnie palcem po moim posiniaczonym policzku. — Czy to boli?

— Nie — odparłem i... pocałowałem ją.

Jej wargi rozchyliły się, a ramiona oplótły ciasno wokół mojej szyi. A po chwili szepnęła mi prosto w usta: — Chodzi o to, jak wyglądasz w tym kocu. Nie mogę oderwać od ciebie oczu.

Znowu ją pocałowałem. Z jej gardła wydobył się cichy jęk. Nagle wyrwała się i wstała. Z zarumienioną twarzą i urywanym oddechem wymknęła mi się z rąk i wybiegła do sąsiedniego pokoju. Złapałem ją przy łóżku.

— Strasznie tu zimno — zauważyła. — Na pewno zamknąłeś to okno?

Sięgnąłem nad łóżkiem, by rozchylić zasłony i sprawdzić, a gdy stałem pochylony, ona uderzyła mnie barkiem i obydwoma ramionami. Zachwiałem się, opadłem na róg łóżka i osunąłem się na podłogę. Ona tymczasem wybiegła do pokoju dziennego i zatrzasnęła drzwi. Podniosłem się, rozwścieczony. Poruszyłaby piekło, byle tylko się z tego wywinąć; w tych drzwiach nie było jednak zamka.

Puściłem się biegiem, przekręciłem gałkę i rzuciłem się w pogoń za nią. Drzwi uchyliły się na jakieś piętnaście centymetrów i niespodziewanie zatrzymały się w miejscu, a ja uderzyłem w nie twarzą.

Coś blokowało je od spodu. Usłyszałem stukot obcasów, gdy wybiegła do kuchni. Wzburzony, cofnąłem się i z całej siły natarłem na drzwi. Ich górna część odchyliła się o parę centymetrów, ale dolna prawie nie drgnęła. Z garażu dobiegł mnie trzask zamykanych drzwi samochodu, a potem warkot zapalającego silnika. Rzuciłem się szaleńczo na drzwi i tym razem zdołałem przecisnąć się przez szparę. Za późno. Ona już wycofywała auto z garażu. Podbiegłem do frontowego okna w samą porę, by zobaczyć, jak wyskakuje w deszczowcu na głowie, zamyka garaż na kłódkę, po czym spokojnie wsiada do samochodu i odjeżdża. Wiedziała, że tam, na zewnątrz, nic już jej nie grozi.

Odwróciłem się, klnąc siarczyście, i zapaliłem papierosa. Nie było sensu próbować ucieczki; i tak będą tu za niespełna pięć minut. A zresztą niech ją szlag; oto jak mi podziękowała za uratowanie jej życia. Po chwili zacząłem przeklinać samego siebie za to, że byłem taki głupi i zostawiłem w samochodzie kluczyki. Tak mi zależało, żeby uratować ją od zezadzenia, że całkiem o nich zapomniałem. A do tego jeszcze pozwoliłem jej zrobić z siebie kompletnego durnia.

Jak jej się udało zablokować te drzwi? Teraz to było bez znaczenia, ale i tak poszedłem je obejrzeć. Sprytna robota. Wepchnęła pod spód końcówkę pogrzebacza. Jego uchwyt był na tyle duży, że posłużył za klin; im silniej pchałem drzwi, tym bardziej się blokowały. Suzy była bardzo bystrą dziewczyną. Za taką ją uważałem, a przynajmniej między innymi.

Ruszyłem się z miejsca, zdjąłem z linki ubranie i zacząłem je wkładać. W obrębie kilometra stąd dziewczyna na pewno napotka jakiś radiowóz, więc lepiej być przygotowanym na ich wizytę. Ściągnąłem koc i rzuciłem wściekle na podłogę. Stałem chwilę, nasłuchując, ale dobiegały mnie tylko odgłosy deszczu. Minęła minuta, a potem kolejna, a w międzyczasie włożyłem spodnie, koszulę i buty. Co oni kombinują — chcą się na mnie zasadzić? Pewnie im nagadała, że nie mam broni. Podeszedłem do okna i wyjrzałem. W gęstniejącym mroku zalana deszczem droga świeciła pustkami, nigdzie żadnych samochodów.

Minęła pełna godzina, zanim odważyłem się o tym pomyśleć. A więc nie zgłosiła policji, że tu jestem. Zastanawiałem się, dlaczego. Może miała wypadek?

Nim zrobiło się całkiem ciemno, zdążyłem zjeść jeszcze trochę peklowanej wołowiny i wypić filizankę kawy. Wyłączyłem piecyk gazowy w obawie, że ktoś mógłby dostrzec przez zasłony blask ognia, upewniłem się, że drzwi wejściowe są zamknięte na zamek i zwinąłem się pod kocem na kanapie. Deszcz ciągle padał. Miał takie samotne brzmienie.

Dancy miała wypłynąć tego popołudnia; pewnie minęła już ostatnią boję i sunie na południowy wschód ku Cieśninie Florydzkiej. Zapaliłem papierosa i zerknąłem przelotnie na zegarek. Właśnie wchodziłbym w sztormiaku na mostek kapitański, żeby objąć wachtę. Ogarnęły mnie nostalgia i tęsknota za domem, ale zaraz wybiłem je sobie z głowy.

Rankiem wciąż padało, wprawdzie już nie tak mocno, ale przez cały czas siąpiła szara mżawka i zdawało się, że będzie tak przez cały tydzień. Zaparzyłem kawę i wysłuchałem wiadomości. Policja nadal twierdziła, że jestem otoczony w okolicy Carlisle i kontynuowała poszukiwania. Jedyne, co mogłem zrobić, to zostać tu możliwie jak najdłużej. Powodu, dla którego Suzy nie poszła na policję, nijak nie dało się wyjaśnić, ale skoro tego nie zrobiła, to widocznie nie miała takiego zamiaru. Przeczesałem dom, szukając żyletki, żeby się ogolić, ale bez skutku. Podbite oko nadal było opuchnięte i miało ohydny kolor; potrzeba paru dni, aby się zagoiło. Ale ruda broda będzie wyglądać jeszcze gorzej. Tak czy inaczej, będę się rzucał w oczy. Wszystko wydawało się beznadziejne.

I tak dzień się ciągnął. Poszperałem na półkach z książkami Suzy, znalazłem jakieś rodzime wydanie i zacząłem czytać. Fabuła, osadzona w Nowym Orleanie podczas wojny secesyjnej, była pełna intryg i śmiałych scen łóżkowych. Bohaterki, przeważnie filigranowe blondynki, cechowały nadmierna żądza i ognisty temperament. Z opisu przypominały drobniejsze wersje samej Suzy; myśląc o nich, przypominałem ją sobie i poczułem się nieswojo.

Po chwili odłożyłem książkę. O zmierzchu usłyszałem, jak przed garaż zajeżdża samochód. Wyjrzałem przez okno: to była Suzy.

Wjechała do środka, zamknęła garaż i wbiegła na frontową werandę. Usłyszałem zgrzyt jej klucza w zamku. Weszła i szybko zamknęła drzwi. Miała na sobie inny sweter i spódnicę oraz ciemny płaszcz, a jej twarz była lekko wilgotna od deszczu. Pod pachą trzymała teczkę.

Zacząłem coś mówić, ale ona pokręciła ostrzegawczo głową. Podchodząc bliżej, szepnęła mi na ucho: — Przy drodze kręcą się jacyś faceci, nie przyjechali samochodem. Trzeba się pośpieszyć. Wróciłam, żeby cię stąd wydostać.

— A w jaki sposób? — zdziwiłem się. — I po co?

— Nie ma czasu na pytania. Załóż płaszcz i ściągnij tę linkę do ubrań, a ja opróżnię popielniczki i pozbędę się puszek po jedzeniu. Nie możemy tu zostawić po tobie żadnych śladów.

Założyłem płaszcz, wziąłem portfel, krawat wepchnąłem do kieszeni i zdjąłem linkę po suszeniu ubrań. Suzy szybko doprowadziła daczę do porządku i podniosła z podłogi koc, który wcześniej miałem na sobie jako poncho. Gestem nakazała mi pójść za sobą. Wyszliśmy do garażu. Było już prawie całkiem ciemno i zobaczyłem ledwie dostrzegalny zarys samochodu. Otworzyła bagażnik. Widziałem jedynie, że nie było w nim zapasowego koła, tylko jakieś koce, płaszcz i kapelusz.

Przyłożyła mi wargi do ucha. — Wskakuj. Wyczyściłam go, żebyś mógł oddychać.

— A dokąd jedziemy? — spytałem.

— Do Sanport. Tam będzie dla ciebie najbezpieczniej. Lepiej się pośpiesz, bo zaraz zaczną przeszukiwać daczę.

Wgramoliłem się do bagażnika i zwinąłem na kocu. Opuściła ostrożnie klapę, żeby niczego nie przyciąć, i przycisnęła, zatraskując ją. Byłem uwięziony. Dopiero teraz, gdy było już za późno, zdałem sobie sprawę, że właśnie jestem całkowicie zdany na jej łaskę. Jeśli zechce, może w każdej chwili podjechać do pierwszego lepszego radiowozu albo na posterunek i oddać im mnie jak ostrygę w muszli. Pomagając mi, nadstawiała karku jak nigdy, a mimo to uwierzyłem jej bez dwóch zdań. Tyle tylko, że gdyby rzeczywiście chciała mnie wydać, to chyba zrobiłaby to już wczoraj? Nie miałem pojęcia. Nic mi się już nie zgadzało.

Usłyszałem stukot jej obcasów, kiedy weszła z powrotem do środka. Po dwóch czy trzech minutach wróciła, załadowała coś do samochodu i otworzyła drzwi garażu. Wycofała samochód. Słyszałem, jak deszcz bębni o metal tuż nad moją głową. Zamknęła garaż i już miała wsiąść do auta, gdy z tyłu, z szosy, dobiegł mnie plusk kałuży. Po chwili dźwięk ustał. Na dźwięk szumu i głosu z policyjnego radia po plecach przebiegły mi drobne ciarki. Jacyś mężczyźni wysiedli i podeszli do samochodu.

— Pani Patton? — spytał jeden z nich.

— Zgadza się — odrzekła chłodno. — A o co chodzi?

— W okolicy ukrywa się ten człowiek, Foley, i przeszukujemy wszystkie dacje. Czy pani była w środku?

— Tylko przez parę minut — odparła. — Wróciłam po dokumenty, których zapomniałam wczoraj. A dlaczego pan pyta?

— Nie widziała pani żadnych śladów włamania?

— Nie-e. Na oko wszystko było w porządku.

— A była pani we wszystkich pokojach?

— Owszem — potwierdziła. — Ale zaraz, chwileczkę. Wczoraj zauważyłam w garażu wybitą szybę...

— To już widzieliśmy. No cóż, w takim razie nie będziemy pani dłużej zatrzymywać.

Oddalili się od samochodu, wsiedli do radiowozu i pojechali szosą. Odetchnąłem z ulgą. Suzy wycofała po podjeździe, zatrzymała się, po czym znowu ruszyła. Po chwili czułem, jak auto skręca w prawo i znaleźliśmy się na jakiejś głównej ulicy, biegnącej przez miasto i przecinającej autostradę. Doszły mnie odgłosy przejeżdżających aut. Ruch stawał się coraz gęstszy i dwukrotnie zatrzymaliśmy się

na światłach. Słyszałem przechodzących na pasach pieszych. A potem znowu skręciliśmy w prawo i samochód przyśpieszył. Jechaliśmy autostradą.

W pewnej chwili niespodziewanie zwolniliśmy i zaczęliśmy posuwać się bardzo powoli. Samochód stanął, po czym z wolna ruszył na przód. Pewnie blokada, pomyślałem. Nie dalej jak na wyciągnięcie ręki usłyszałem znowu policyjne radio, a jakiś męski głos powiedział: — W porządku, proszę pani. — Zaczęliśmy przyśpieszać. Powoli wypuściłem powietrze. Byliśmy już poza ich zasięgiem.

Próbowałem zgadnąć, dokąd mnie wiozła i dlaczego, ale dałem sobie spokój. Mówiła, że z powrotem do Sanport, i jeśli prawidłowo wyczułem wszystkie zakręty, to jechaliśmy właśnie w kierunku tego miasta, ale którą jego część miała na myśli i co zamierzała dalej zrobić, było dla mnie kompletną zagadką. Usiłowałem wyczuć, która jest godzina, i domyśliłem się, że jakoś po szóstej. Sądząc po nieprzeniknionym mroku, jaki panował w bagażniku, na dworze pewnie było już ciemno. Mogłem się odrobinę poruszać i miałem dość powietrza. Wsłuchiwałem się w piskliwy szum opon na mokrej drodze, mając tylko nadzieję, że Suzy jest dobrym kierowcą. Okropnie byłoby zginąć uwięzionym w bagażniku płonącego wraka. Po chwili jednak zacząłem zastanawiać się, czy nie mam już dość zmartwień na głowie, żeby jeszcze kusić los.

Minęło jakieś pół godziny czy godzina, kiedy zwolniła i znowu weszła w zakręt. Dochodziły stamtąd całkiem inne odgłosy. Nie było już tylu samochodów mijających nas pędem w przeciwnym kierunku. Ruch rzedniał, aż zostaliśmy na drodze prawie całkiem sami. Zresztą droga też była inna. Zjechaliśmy z asfaltu i Suzy sunęła teraz dużo wolniej. Zdawało mi się, że słyszę szum fal. Wreszcie zatrzymała się i wyłączyła silnik. Znowu usłyszałem deszcz, który tuż nade mną dzwonił lekko o metal. Po chwili Suzy włożyła kluczyk do zamka.

Wydostałem się. Suzy zdążyła już zgasić reflektory, ale w mroku dojrzałem pas opustoszałej plaży i drobną falę, biegnącą po piasku tuż za nami. W tyle majaczył ciemny zarys jakiejś niskiej roślinności podobnej do tamaryszku. Deszcz kapał delikatnie na moją głowę.

— Weź płaszcz i kapelusz — nakazała, znikając z powrotem w samochodzie.

Wyjąłem nakrycia, zamknąłem bagażnik i wsiadłem obok niej. Ujrzałem blady, zamazany zarys jej twarzy i blond włosów.

— Gdzie jesteśmy? — spytałem.

— Na West Beach, zaraz na południe od lotniska — wyjaśniła. — Tu będzie w miarę bezpiecznie. W taką noc nie ma tu tylu samochodów.

— Chcesz mnie tu zostawić? Tak po prostu?

— Nigdzie cię nie zostawię. Chyba że sam będziesz na to nalegał. No to jak?

— Tylko bez takich żartów — uciałem. — A właściwie po co się tak narażasz? Możesz mieć przez to poważne kłopoty.

— Wiem — odparła. — Proszę. — Wyjęła z torebki papierosy i włączyła światło na desce rozdzielczej. W bladej, pomarańczowej poświacie zapaliła swojego papierosa, widziałem kształt jej twarzy i czujne, nieco cyniczne spojrzenie jej szarych oczu.

— W co się tu gra? — spytałem.

— Nie ma żadnej gry — odparła spokojnie. — Może po prostu mnie zaintrygowałeś. To całkiem niewykluczone.

— A dlaczego wczoraj nie powiadomiłaś policji? Myślałem, że dlatego uciekałaś.

— Bo tak było, oczywiście. Ale zaraz potem zrozumiałam, że nie potrafię tego zrobić. Sama nie bardzo rozumiem, dlaczego. Może przez to, że uratowałaś mi życie — choć wcale nie jestem taka pewna, czy było warto. W każdym razie bez słowa pojechałam do domu i uznałam, że pozwolę ci ukrywać się tak długo, dopóki nie nadarzy ci się szansa uwolnienia się i ucieczki.

— To po co wróciłaś?

— Z kilku powodów. Po pierwsze, przypomniała mi się twoja wersja wydarzeń i postanowiłam ją sprawdzić. Ciekawa sprawa. A potem przyszło mi na myśl, że jeśli złapią cię w mojej dacy, to pewnie i ja zostanę w to wmieszana i oskarżona o ukrywanie zbiega. A zresztą udowodniliby, że byłam w dacy po twoim włamaniu i musiałam wiedzieć, że tam jesteś, a mimo to nie zgłosiłam tego na policję. A więc bezpieczniej było pójść na całość i wywieźć cię w jakieś miejsce, gdzie cię nie znajdą. Ado tego jeszcze dziś po południu przeczytałam w gazecie, że będą przeszukiwać wszystkie dacje.

— No i gdzie teraz? — spytałem.

— Do mojego mieszkania — odparła. — Póki co, Sanport jest ostatnim miejscem, gdzie będą cię szukać; możesz tam posiedzieć w ukryciu, aż zagoi ci się twarz. Zorganizowałam ci jeszcze trochę ubrań. Ale zanim cię tam przemycimy, trzeba poczekać do północy. A w międzyczasie mam ci wiele do powiedzenia.

— Ja też chciałbym ci powiedzieć parę rzeczy — orzekłem. — Uważam, że jesteś cudowna. I dzięki ci po stokroć...

Przysunąłem się do niej, a ona położyła mi rękę na piersi. — Wolnego, chłopcze. Nie myśl sobie, że to przystanek na obmacywania. Nie jesteśmy nastolatkami. Powiedziałam tylko, że chcę pogadać.

— W porządku. No więc o co chodzi?

— Najpierw chcę cię o coś spytać. Jak myślisz, na ile twój przyjaciel, Red Lanigan, jest godny zaufania? Opowiedz mi coś o nim.

— A po co? — zdziwiłem się. — Co takiego wiesz o Redzie?

— W sumie nic, tyle tylko, że dzisiaj z nim rozmawiałam.

— A czy on wie, kim jesteś?

— Nie — odparła. — Zadzwoiłam do niego i powiedziałam tylko, że jestem twoją znajomą i że mogłabym ci pomóc. Wszystko, rzecz jasna, po to, żeby sprawdzić twoją wersję wydarzeń — a przynajmniej tę część, którą on mógł potwierdzić. No i zrelacjonował mi to samo. A więc wygląda na to, że mówisz prawdę. Do tego zaczynam wierzyć, że gdy zjawiłeś się u Stedmana, w jego mieszkaniu już ktoś był. Odniosłam wrażenie, że Lanigan też rozważa taką możliwość. No więc jaki on jest?

— To całkiem miły facet. Kiedyś zawodowo grał w futbol. Sam zresztą grywałem w szkole średniej i mam bzika na punkcie zawodowej gry, dlatego kumplowaliśmy się przez te parę lat, odkąd go poznałem. Sidelines to osiedlowy pub, a ja mieszkałem zaraz przy następnej przecznicy. To znaczy, po tym, jak przybiłem do lądu. Byłem tam stałym klientem; sama wiesz, jak to jest w osiedlowych barach. Zdarzało się, że podczas mojego urlopu chodziliśmy razem na ryby. To Red mnie przystopował, kiedy chciałem się rzucić na Stedmana w czasie ostatniej barowej potyczki. Stedman też dość często tam przesiadywał, sama rozumiesz. Razem z kilkoma innymi policjantami. Ale po co to wszystko?

— Zdaje mi się, że Red ma ci coś do powiedzenia. Chodzi o jakąś dziewczynę.

— A kto to taki? — spytałem pospiesznie.

— Tego właśnie on sam nie wie. Ale podejrzewa, że coś ją łączyło ze Stedmanem.

— Stedman miał ich całe mnóstwo. Z moją żoną włącznie.

— Wiem — odparła. — Lanigan trochę mi o nim opowiadał. Atak przy okazji, jak chcesz wiedzieć, to twoja żona rzeczywiście jest w Reno. Policja sprawdziła to przez stanowych w Nevadzie.

— Ale po co? — dociekałem.

— Próbowali ustalić twój motyw. Twoja żona potwierdziła, że kilkakrotnie bywała ze Stedmanem w nocnych klubach, i zapewniła, że nic poza tym.

— Jasne, akurat — zachnąłem się. — Był tylko bratnią duszą. Każdy to wie. No, ale co z tamtą dziewczyną?

— W sumie Red niewiele mi powiedział. Domyślam się, że coś mu przyszło do głowy. Chce, żebyś się z nim skontaktował. Radzi ci zadzwonić na numer automatu u nich. Nawet mi go podał. Myślisz, że to jakaś pułapka? Może gliny założyły tam podsłuch?

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. — Nie, nie wydaje mi się. Co prawda Red sporo ryzykuje, nadstawiając karku, żeby pomóc mi uniknąć policji, ale on by mnie nie wykiwał. Woli rozmawiać z automatu, bo ten wisi w budce i nikt w barze go nie usłyszy. Tylko skąd mogę zadzwonić, żeby mnie nie widzieli?

— Z mojego mieszkania — odparła. — Ale zaprowadzę cię tam dopiero za parę godzin, żeby na nikogo się nie natknąć.

— To może ze stacji benzynowej...

— Czekał — przerwała. — Już wiem. Na plaży, na końcu Tarleton Boulevard, jest lunapark, nieczynny o tej porze roku, ale na chodniku stoi kilka budek telefonicznych.

— Podwiesz mnie? — spytałem.

— No to w drogę — rzuciła w odpowiedzi. — Załóż płaszcz i kapelusz i nastaw kołnierz.

Trzeba było przejechać plażą w linii prostej niecałe dwadzieścia kilometrów; dalej było coś w rodzaju miniatury wysepki Coney Island, oddalonej o jakieś dziesięć kilometrów od centrum Sanport. Po drodze minęliśmy zaledwie kilka aut. Pomosty lunaparku, zamknięte na zimę, w deszczu wyglądały ciemno i złowrogo. Suzy zwolniła. Na lewo stały budki, wszystkie roztrzaskane, a jedyne światło

padało z ulicznych latarni. Dostrzegłem mglisty łuk diabelskiego młyna i ciemną, nierówną sieć toru kolejki górskiej.

— O tam — rzuciła.

Po lewej stronie, obok wejścia do zabitej deskami restauracji serwującej steki, stała biała budka telefoniczna. Suzy zatrzymała się i wyszperała z torebki świstek papieru. — Tu masz numer. I dziesięciocentówkę, jakby zabrakło ci drobnych.

Wyskoczyłem z samochodu i przemknąłem na drugą stronę jezdni, z postawionym kołnierzem i w zsuniętym na twarz kapeluszu. Nadjechał jakiś samochód, ale zdążyłem przejść przez ulicę, jeszcze zanim zdążył oświetlić mnie reflektorami. Ich blask padł na mnie zaraz po tym, jak zamknąłem drzwi budki. Skuliłem się nad aparatem, tyłem do ulicy, czując się jak obnażony. Wybrałem numer.

— Bar Sidelines — odezwał się męski głos. Miałem tylko nadzieję, że to nie któryś z kolegów Reda z policji.

— Zastałem Reda Lanigana? — spytałem.

— Chwileczkę.

Usłyszałem, jak go woła. — Ej, Red! — Z szafy grającej leciał jakiś kubański kawałek. Czekałem, wsłuchany w bębnienie deszczu o dach budki.

— Halo, tu Lanigan.

— Red, podobno prosiłeś mnie o telefon.

— A kto mówi? Aha... Bill, gdzie ty się, u diabła, podziewasz? Myślałem, że przyjdiesz. — Usłyszałem, jak pchnięciem zamyka drzwi, po czym szybko ciągnął dalej przyciszonym głosem. — Jezu, Rudy, facet, który odebrał, jest z wydziału zabójstw. Właśnie o tobie gadają. Posłuchaj: nie mów mi, gdzie jesteś; nawet nie chcę wiedzieć. Czy ta twoja znajoma przekazała ci, co trzeba?

— Taa — odparłem. — Podobno coś wiesz?

— Nic nie wiem, mam tylko pewne domysły i próbuję powiązać jedno z drugim. W przeciwieństwie do ciebie chyba, inaczej nie dzwoniłbyś do mnie tamtego wieczoru. Staralem się wytłumaczyć to policji, ale oni tego nie kupują. Uparli się na ciebie jak nie wiem co.

— Mówiłeś o jakiejś dziewczynie?

— Zaraz do tego dojdę. Skoro nie ty go zabiłeś, to znaczy, że w jego mieszkaniu był ktoś jeszcze, nie? Może były więzień, co go kiedyś Stedman zapuszkował. Albo jakiś kapuś, którego za mocno przyci-

skął czy coś w tym rodzaju. Ale skoro to się stało w jego mieszkaniu, to równie dobrze mogła to być kobieta. Sam wiesz, że Stedman miał opinię podrywacza... Jesteś tam jeszcze?

— Wal śmiało — odparłem.

— No dobra. To niezbyt obiecujące, jak na początek, ale przynajmniej będziesz na bieżąco. Stedman został zakłuty nożem myśliwskim o kościanym trzonku. Trzymał go w szufladzie w salonie, do otwierania listów. Rzecz jasna, żadnych odcisków palców. Nóż miał rzeźbiony trzonek. Nie ma też żadnych śladów, które wskazywałyby na obecność innych osób w jego mieszkaniu tamtego wieczoru. Nie licząc ciebie. Bóg jeden wie, ile tam po tobie zostało. Chłopaki z wydziału zabójstw twierdzą, że salon wyglądał tak, jakbyście grali w polo na buldożerach. Ale babek tam nie było. No wiesz, żadnej szminki na niedopałkach, kieliszków do koktajli, kompletnie nic. Wszędzie tylko jego odciski. Wrócił do domu około wpół do dziewiątej i z tego, co zeznają inni, potem już nie wychodził. Nie widziano też nikogo innego, kto oprócz ciebie wchodziłby do jego mieszkania. To było jakoś o dziesiątej czy pięć minut po. Nikt po tobie stamtąd nie wyszedł. To jest pewne...

Naturalnie, jest jeszcze tylne wyjście. Zresztą sam dobrze wiesz, bo twoje mieszkanie ma taki sam rozkład. Już mówię, do czego zmierzam: tamtego wieczoru Stedman zajrzał do baru około ósmej, czyli krótko przed tym, jak wrócił do mieszkania, i kupił butelkę szampana. Stedman nigdy nie pił szampana, a to znaczy, że spodziewał się gościa.

Napięcie we mnie rosło. — I otworzył butelkę?

— Nie. Wciąż stała w lodówce. A to wyklucza inne osoby, jak twierdzą chłopaki z wydziału zabójstw. Ale może ty wparowałeś tam w chwili, kiedy Stedman i jego gość zamierzali otworzyć szampana, no i popsuleś wieczór. Dziewczyna mogła też wejść tylnymi drzwiami, podczas gdy ty i Stedman nawalaliście się w salonie.

— Stedman znał mnóstwo dziewczyn — odparłem. — Czy masz na myśli kogoś konkretnego?

— Owszem, ale strzelam w ciemno. To jakaś nowa. Poderwał ją u nas w barze jakieś dziesięć dni temu. Piła tylko koktajle z szampana...

— A kim ona jest?

— Otóż to. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że powinno się ją ocen-
zuować. Takie melony, chłopie! No, ale mniejsza o to. Zmierzam do
tego, że sam widziałem, jak Stedman ją podrywał, i odniosłem wraże-
nie, że właśnie w tym celu tam przysła. Nie dla nikogo innego, tylko
dla Stedmana. A wierz mi: ta laleczka miała branie; zdążyła spławić co
najmniej dwóch facetów, zanim zjawił się Stedman.

— A czy później jeszcze ją widziałeś?

— Raz. Trzy czy cztery dni później przed południem około jede-
nastej mijalem wasz dom i właśnie wychodziła stamtąd głównymi
drzwiami. Dałbym głowę, że tam nie mieszka, a więc Stedman pewnie
zaprosił ją na numerek. Ale nie o tym chciałem mówić. Najlepsze w
tym wszystkim jest to, że kiedy weszła do baru, od razu przypo-
mniałem sobie, że gdzieś już ją widziałem. Takiej laleczki się nie za-
pomina. Jeśli cię to interesuje, to może będę wiedział, gdzie jej szu-
kać...

— No, to gdzie? — dociekałem.

— Posłuchaj, nie znam numeru, ale na Denton Street, w pobliżu
kanału portowego, jest mała kafejka. To przemysłowa dzielnica, ma-
gazyny, fabryczki i tym podobne. Kafejka jest po drugiej stronie ulicy,
naprzeciw biura firmy Comet Boat Company. No wiesz, produkują
plastikowe kadłuby i małe autka. To od nich mam tę łódź, co nią pły-
waliśmy na ryby. No, i jakiś miesiąc temu poszliśmy do nich z kolegą,
który stara się o franczyzę w tej branży, i wstąpiliśmy do kafejki na
herbatę. I wtedy właśnie ją zobaczyłem. Było około dziesiątej rano.
Przysła z trzema innymi dziewczynami. Typowy wypad w przerwie
na kawę, pewnie pracuje gdzieś w okolicy. Kto wie, może nawet w Co-
met...

Nie sposób jej przeoczyć. To typowa Latynoska, o ciemnobrązo-
wych, roziskrzonych oczach i włosach tak czarnych, że prawie grana-
towych, związanych w długi, koński ogon, zakręcony na końcu. Wąska
górna wargę, wyjątkowo białe zęby, jakieś metr sześćdziesiąt osiem
wzrostu. To ten typ śniadej laleczki, przy której zawsze zastanawiasz
się, czy zmrozi cię na śmierć, czy też rozpali ogniem. Może mieć jakieś
dwadzieścia pięć czy sześć lat, a w każdym razie coś koło tego. I nie
nosi obrączki. Widziałem ją trzy razy i zawsze miała też wiszące
kolczyki.

— Stokrotne dzięki — odparłem. — Czy coś poza tym?

— Jest jeszcze jeden ślad, mocno naciągany zresztą. Stedman był w sekcji od rabunków, rozumiesz. Miał partnera nazwiskiem Jack Purcell, facet kompletnie na luzie. Opanowany, jakby jego organizm był całkiem pozbawiony nerwów. Ty wypłynąłeś akurat w rejs, kiedy to się stało. Otóż jakieś trzy tygodnie temu Purcell popełnił samobójstwo. Nie zostawił żadnego listu. Nikt nie zna powodu, dla którego to zrobił.

— Czy to na pewno samobójstwo?

— A jak inaczej to określić? Był w domu sam, bo jego żona wyszła do kina. Postrzał w głowę z własnej trzydziestki ósemki, która leżała tuż przy nim, naznaczona jego odciskami palców. Rana była, jak to mówią, kontaktowa.

— No cóż, to się zdarza — orzekłem.

— Tyle że takim jak Purcell bardzo rzadko. Wiem, że to idiotyczne, ale chodzi mi po głowie myśl, że obie te sprawy coś łączy. Po tym zdarzeniu mój znajomy wspomniał mi, że jego zdaniem Purcell się z kimś umawiał. Powiedział, że widział go kiedyś w samochodzie z bardzo atrakcyjną brunetką. Bądź ostrożny, Rudy...

I się rozłączył.

Wyszedłem z budki. Drogą od mojej strony nadjeżdżał jakiś samochód. Zatrzymałem się i czekałem, aż mnie minie, żeby przejść przez ulicę. Po chwili w świetle latarni zauważyłem, że to patrol. Odwróciłem się plecami do świateł reflektorów i ruszyłem z wolna chodnikiem. Wóz zrównał się ze mną i zahamował. Nagły strach przepęłznął mi po plecach.

— Pan tu kogoś szuka? — spytał czyjś głos.

Wszystko było w porządku; po ciemku nie widzieli mojej twarzy. Wysiłem się na swobodny ton. — Nie, panie władzo, tak tylko sobie spaceruję.

— W tym deszczu? A gdzie pan mieszka?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, snop latarki padł prosto na moją twarz. Próbowałem się odwrócić, ale było już za późno. — Ej! — warknął głos. — Wracaj!

Usłyszałem za sobą trzaśnięcie drzwi wozu i kroki w biegu. Ten, który został w samochodzie, usiłował nakierować na mnie światło latarki. — Stój, Foley! Bo będziemy strzelać.

Nie dotarłbym żywy do rogu ulicy. A jeśli nawet, to ten drugi dogoniłby mnie wozem. Na prawo zauważyłem szczelinę między budkami i wskoczyłem w nią. Tyły budynków były spowite mrocznym cieniem, a mimo to dojrzałem czarny okrąg diabelskiego młyna i jakieś karuzele. Rzuciłem się gwałtownie w lewo, przebiegłem następane piętnaście metrów i oparłem się nieruchomo o mur. Tuż za mną był zakręt. Powolnym krokiem cicho zakradłem się za róg i w tej samej chwili tamten wystrzelił w powietrze na tyły salonów gier, wciąż wyciągając zapaloną latarkę.

— Joe! — zawołał. — Jedź dalej i zablokuj ulicę, żeby nam nie zwiął. I wezwij posiłki.

Wóz ruszył naprzód i skręcił za róg. Ten drugi zawrócił biegiem, szeroko omiatając diabelski młyn strumieniem światła latarki. Cichaczem wśliznąłem się w wąskie przejście między dwoma niewielkimi barakami i wyjrzałem na bulwar przy plaży. Olsmobile'a już nie było. Suzy zdołała uciec, podczas gdy tamci zajęli się mną i pewnie wcale jej nie zauważyli. Widać było tylko jeden samochód, stał jakieś dwie przecznice dalej. Zeskoczyłem na piasek, straciłem równowagę i upadłem. Znalazłem się blisko jednego z pomostów, a przede mną ciągnął się długi pas plaży, czarny i opustoszały w deszczu. Wstałem i zacząłem biec. Z tyłu dobiegło mnie wycie syren nadjeżdżających radiowozów. Biegłem, aż mnie kłuło w boku, a każdy oddech był męczarnią.

Wreszcie usiadłem, oparty plecami o betonowy wał. Deszcz bębnił o rondo mojego kapelusza. Teraz wiedzieli już, że jestem w Sanport. A do tego zgubiłem Suzy. Nie znałem jej adresu ani numeru telefonu, a jeśli nawet znalazłbym jakąś inną budkę i poszukał jej w książce telefonicznej, to i tak nie mógłbym do niej zadzwonić. Miałem w kieszeni sto siedemdziesiąt dolarów i ani jednej dziesięciocentówki.

Miałem mokre ubranie i zacząłem szcząkać zębami. Musiałem schronić się gdzieś przed deszczem; jeśli przed świtem nie znajdę jakiejś kryjówki, to na pewno mnie dopadną. Powiadomili już wszystkie gliny w okolicy, a w radiu podali mój rysopis. Z podbitym okiem i rudym zarostem na brodzie, które od razu rzucały się w oczy, nie mogłem się ruszyć ani na krok, żeby nie zostać rozpoznany.

Jakiś hotel albo noclegownia? Nie. To byłoby samobójstwo. Miałem jeszcze klucz do swego mieszkania, ale na pewno ze wszystkich stron obstawili dzielnicę. A gdybym tak dotarł z powrotem na stację i znów załapał się na jakiś pociąg towarowy — stłumiłem nagły impuls, który sprawiał, że chciało mi się krzyczeć, a może nawet śmiać. Chyba mi odbiło. Przecież wtedy znalazłbym się w punkcie wyjścia, skąd ruszyłem czterdzieści osiem godzin temu. Bez przerwy krążyłem w kółko, jak w jakimś koszmarze. Jak mechaniczny królik stale uciekający przed sforą ogarów w deszczu po ciemnym torze, który ciągnie się bez końca. Pomyślałem o pomoście na *Dancy* i o gorącej kawie, i o swojej własnej koi z półkami książek, i o partiach pokera w nagrzananej od pary kantynie.

Oderwałem się od tej wizji i pomyślałem o mieszkaniu Suzy, ciepłym i bezpiecznym, i o samej Suzy. Znużony, zakląłem. Jezu, a byłem tak blisko... W jednej chwili zerwałem się. Co się, do diabła, ze mną dzieje? Przecież wciąż jeszcze mogłem tam dotrzeć. Trzeba tylko poszukać jakiejś budki i znaleźć jej adres. Nawet nie musiałem do niej dzwonić. Miałem przed sobą cały wieczór — było dopiero trochę po ósmej — a zresztą doszedłbym tam na piechotę. Nie mogłem pytać o drogę, ale dość dobrze znałem to miasto i na pewno rozpoznałbym

tę ulicę. A jeśli nie, to może w książce telefonicznej byłaby jakaś mapka. Jeśli mnie pamięć nie myliła, to niektóre z nich je zawierały.

Ale przede wszystkim trzeba pryskać z tej okolicy — byle jak najdalej. Będą przeszukiwać blok po bloku. Ruszyłem plażą na zachód. Jakiś samochód przejeżdżał od czasu do czasu jezdnią na wzniesieniu po prawej stronie. Trzymałem się poza zasięgiem reflektorów. Po dłuższej chwili przeszedłem na drugą stronę drogi i udałem się w głąb łądu. Dotarłem do wyłożonej muszlami wiejskiej drogi, biegnącej wzdłuż leniwego potoku. Deszcz ciągle padał. Płaszcz miałem przemoczony i ciężki. Co rusz łapał mnie niekontrolowany atak dreszczy, który trwał przez ładnych parę minut. Na widok samochodu za każdym razem uskakiwałem z drogi, żeby się ukryć.

Widziałem, jak w dali na lewo pobłyskiwały latarnie. To pewnie lotnisko międzynarodowe. A potem przede mną pojawiło się jeszcze więcej świateł. Zbliżałem się do autostrady prowadzącej do Sanport z zachodu, od strony Carlisle. Mijałem coraz więcej domów, aż wreszcie znalazłem się na jakimś podmiejskim osiedlu. Jeździło tu niewiele samochodów, nie było też żadnych przechodniów. W niektórych domach panował mrok. Wyglądało to dziwnie, ale kiedy siłą rzeczy przemierzyłem następną ulicę i spojrzałem na zegarek, była dwudziesta trzecia trzydzieści pięć. A więc szedłem prawie trzy godziny. Za kolejne siedem, a może trochę więcej, zacznie świtać. Zastanawiałem się, czy dam radę iść tak długo i czy w ogóle zdążę przez ten czas dotrzeć do jej mieszkania. Może to na samym końcu miasta, dziesięć czy piętnaście kilometrów stąd. Gdzieś na przedzie ujrzałem policyjny radiowóz i czmychnąłem w ciemną, boczną uliczkę. Jakiś pies mnie obszczał. Znowu zacząłem dzwonić zębami, zacisnąłem szczęki, żeby przestać. Skręciłem, dalej kierując się do autostrady. Musiałem znaleźć jakąś budkę z telefonem, ale nigdzie żadnej nie było.

Wreszcie dostrzegłem jakąś przy podmiejskim centrum handlowym. Stacja benzynowa na rogu była zamknięta, tylko za frontową szybą biura paliła się jedna żarówka, a tuż przy bocznej ścianie stała zachęcająco otwarta budka telefoniczna. Ulice świeciły pustkami, tylko przy następnej przecznicy, przed czynnym o tej porze kinem, stało kilka aut. Raz jeszcze rozejrzałem się dookoła i ruszyłem przez plac. A gdy już wszedłem do budki i zamknąłem drzwi, w środku za-

palilo się światło. Czułem się, jakbym stał nago na jakiejś wielkiej scenie, na oczach tysięcy ludzi. Chwyciłem wiszącą na łańcuchu książkę telefoniczną i zacząłem ją wertować, nie mogąc opanować drżenia rąk. Woda spływała mi z kapelusza na stronicę.

Parker... Parkhurst... Patterson...

Patton... O właśnie.

Patton Robert... Patton RH... Patton Stewart... Patton Stephen R. ... Patton Victor E... Suzy Patton w spisie nie było.

To niemożliwe. Musi tu być! Ponownie przesunąłem drżącym palcem po wykazie nazwisk i pokręciłem głową. Po chwili, z jakiegoś niepojętego dla mnie szalonego powodu, zacząłem liczyć nazwiska. Pattonów było trzydzieścioro siedmioro, ale żadnej Suzy Patton ani S. Patton, czy też S. coś tam Patton. Rzuciłem książkę i mocno przetarłem dłonią twarz.

A więc Suzy Patton to jej pseudonim literacki albo ma zastrzeżony numer. Przecież w tym mieście mieszka sześćset tysięcy ludzi — wybuchłem śmiechem. W głowie dziwnie mi wirowało. Śmiech przeszedł mi, jak nożem uciął, wygramoliłem się z budki, a uderzający mnie po twarzy deszcz rozjaśnił nieco mój umysł. Było mi już tylko okropnie zimno i znów zacząłem szczekać zębami. Ruszyłem dalej. Nie miałem innego wyjścia. Gdybym się zatrzymał, pewnie zmarzłbym na kość. O świcie zabraliby mnie, a wtedy ogrzałbym się w przyjemnym ciepłe pokoju przesłuchań, biała lampa świeciłaby mi prosto w twarz, a ja podpisałbym oświadczenie i poszedłbym się wyspać, jeszcze zanim zdążyłbym sfiksować i wylądować u czubków.

W pewnej chwili gwałtownie się zatrzymałem. A może jest jeszcze jakaś szansa, jeśli tylko uda mi się przekręcić do Reda. Rozejrzałem się dla orientacji, wrywając umysł z odrętwienia. Stałem w takiej spokojnej dzielnicy mieszkalnej pod ciemnymi, ociekającymi deszczem drzewami. Oparłem się o pień jednego z nich i zmusiłem się do myślenia. Co zrobiła Suzy? Pojechała do domu, oczywiście, wiedząc, że nie ma szans, aby mnie znowu odszukać. Domyślała się też, że skoro nie ma jej w książce telefonicznej, to sam też jej nie znajdę. A Red był naszym wspólnym znajomym, naszą jedyną drogą kontaktu. Może Suzy już do niego dzwoniła.

Nie, jasne, że tego nie zrobiła. Po tym, jak o mały włos nie wpadła w lunaparku, pewnie miała już dość i nawet jej nie zależało, żeby

znów się ze mną widzieć. Miała szczęście, że jej samej udało się uciec. Jak mogłem się łudzić, że poda Redowi swój adres, skoro nawet dobrze go nie zna i nie ma pewności, że można mu zaufać? Skąd niby miała wiedzieć, że Red nie przekaże jej adresu policji? Cały ten pomysł był bez sensu. A mimo to nie dawał mi spokoju. To było moje jedyne wyjście, nie mogłem przecież siłą rzeczy tak po prostu się poddać.

Jak by tu do niego zadzwonić? Nie miałem dziesięciocentówki. Sto siedemdziesiąt dolarów i ani jednej dziesięciocentówki — to zabrzmiało jak jakiś dowcip roku i roześmiałem się. Poczułem, że kręci mi się w głowie. Odpychając się od drzewa, ruszyłem naprzód. Jakieś pięć czy sześć przecznic dalej zauważyłem mały osiedlowy bar. Był po drugiej stronie ulicy, nad drzwiami widniał neonowy kieliszek oraz napis: TERRY MAC ZAPRASZA. Przed wejściem stały trzy samochody, a sklepy po obu stronach baru były zamknięte. Cofnąłem się do jakichś drzwi i wyglodniałym wzrokiem popatrzyłem na bar. W kieszeni płaszcza wciąż miałem tę kartkę od Suzy. Wyjąłem ją i przyjrzałem się jej w przyćmionym świetle, notując w pamięci numer. Po chwili znowu spojrzałem na bar.

Nie, to byłoby szaleństwo. Wtedy zauważyłem dziwną rzecz. Krople deszczu zaczęły odbijać się od chodnika. Uderzając o jego czarną, lśniąca powierzchnię, odskakiwały w powietrze jak odłamki drobnych, białych pocisków. Zmieniły się w deszcz ze śniegiem. Wtedy postanowiłem. Byłem przemoknięty do suchej nitki i musiałem się gdzieś ogrzać, bo inaczej do rana zamarzyłbym na śmierć. W tej sytuacji lepiej zaryzykować. Ciasno otoczyłem twarz kołnierzem, szybkim ruchem zsunąłem rondo kapelusza i ruszyłem na drugą stronę.

Wnętrze baru było ciemne i zadymione. Na taboretach przy blacie pośrodku baru siedzieli mężczyzna i kobieta, a dalej jakiś samotny człowiek. Barman był młodym chłopakiem o irlandzkiej aparycji, tuż po dwudziestce, miał kruczoczarne włosy i niewiarygodnie białe zęby. Kiedy wszedłem, wszyscy podnieśli wzrok i przerwali rozmowę. W głębi stała szafa grająca, a przy niej budka telefoniczna.

— Kieliszek bourbona bez lodu — rzuciłem. — Resztę poproszę w dziesięciocentówkach. — Położyłem na ladzie dolara. Troje klientów spojrzało po sobie i zaczęli misternie sączyć swoje drinki, jakby widzieli je po raz pierwszy w życiu.

— Bardzo proszę — odparł przyjaźnie barman, unikając mojego wzroku. Postawił na ladzie drinka i położył drobne. Chwyciłem monety, jednym ruchem dłoni wlałem do gardła whisky i udałem się do budki, czując, jak alkohol pali mój zziębnięty przełyk i eksploduje w moim wnętrzu.

Zatrzasnąłem drzwi, wsunąłem po omacku monetę w otwór i sztywnym jak kawałek drewna palcem wybrałem numer. Znowu dopadły mnie dreszcze; słyszałem, jak woda kapie mi z ubrań na podłogę. *Chryste, dlaczego nikt nie odbiera?* Poruszyłem się nieco i zerknąłem w stronę baru. Póki co, nikt się jeszcze stamtąd nie ruszył.

— Bar Sidelines. — Tym razem odezwał się kobiecy głos.

— Poproszę z Redem Laniganem — rzuciłem, usiłując powstrzymać szczękanie zębów.

Dziewczyna ruszyła się gdzieś. Czekałem, niemal pijany od tego jednego kieliszka whisky. Kręciło mi się w głowie. Po chwili ktoś podniósł słuchawkę. — Tu Lanigan.

— Posłuchaj, Red...

Roześmiał się pobłaźliwie. — No, ty zgrywusie jeden. Jak już musisz się upijać, to mógłbyś przynajmniej zrobić to tutaj. — Usłyszałem, jak kopnięciem zamyka drzwi. — Jezu, jak to dobrze, że udało ci się znaleźć jakiś telefon. Słuchaj, dzwoniła...

— No i co mówiła? — przerwałem mu.

— A.H.

— Co?

— Tylko tyle. Prosiła, żebym ci to przekazał. A.H. A jak azyl i H jak hotel. Na Boga, lepiej, żebyś ty pojął, co to ma znaczyć, bo ja za nic nie mogę.

— Dzięki — rzuciłem i odwiesiłem słuchawkę. Och, ty śliczna, jasnowłosa, bystra dziewczyno. Chwyciłem książkę telefoniczną i otwierając ją szybkim ruchem, zerknąłem raz jeszcze na bar, ale było już za późno. Barman-Irlandczyk udawał, że jedną ręką zmywa w zlewie naczynia, w drugiej zaś trzymał słuchawkę telefonu za barem, kiwając przy tym głową. Widziałem, jak obrócił się lekko i zerknął w stronę budki.

Wyszedłem i ruszyłem do drzwi. Troje klientów na powrót zaczęło kontemplować swoje drinki, jakby nie widzieli ich nigdy w życiu.

Zapadło milczenie. Barman skończył rozmawiać przez telefon i stał ze słuchawką w ręce, jakby nie wiedział, co z nią dalej począć. Wtedy ogarnęła mnie jakaś niedorzeczna wściekłość. Dość już miałem robienia za mechanicznego królika przez cały ten czas. To było nie fair. Zatrzymałem się, wyjąłem mu z ręki słuchawkę, podniosłem aparat i szarpnąłem. Zerwany przewód spadł pod ladę.

— To pan jest Terry Mac? — zapytałem. Byłem tak skołowany, jakby lada chwila moja głowa miała samoistnie wylecieć przez drzwi.

Tamten patrzył na mnie, poblady, ze strachu nie mogąc wykrztusić ani słowa.

— Wsadź to sobie gdzieś, ty irlandzka, barowa świnio — burknąłem, wrzucając aparat do zlewu, razem ze słuchawką. Końcówka zerwanego przewodu wciąż zwisała za kant lady. Wyglądało to niezbyt elegancko, więc ostrożnie zwinąłem przewód i wrzuciłem do wody razem z całym aparatem. Następnie odwróciłem się i wyszedłem, nie oglądając się za siebie.

Deszcz ze śniegiem stukał mi o rondo kapelusza i zacinał w twarz. Puściłem się biegiem i tuż przed zakrętem zerknąłem przez ramię. Barman wraz z którymś z klientów stał w drzwiach, obserwując, w którą biegnę stronę. Kiedy dotarłem do następnej przecznicy, usłyszałem syreny.

Parłem naprzód, czując, jak moje stopy unoszą się, kołyszą i uderzają o beton, aż w końcu straciłem oddech. Skręciłem raz, a potem drugi, tracąc zmysł orientacji. Na prostopadłej ulicy dostrzegłem zbliżające się reflektory. Samochód ruszył w moim kierunku, ale zanim zdążył mnie oświetlić, uskoczyłem w bok prosto w żywopłot z oleandrów. Upadając, przedarłem się przez niego i wylądowałem w kałuży, a deszcz kapał kojąco na mój kapelusz i policzek. Moje ramię ocierało się o coś metalowego i nieprzyjemnego. Sięgnąłem drugą ręką, żeby to coś wymacać. To był zraszacz do trawnika. Pomyślałem sennie, że głupio byłoby go teraz włączać.

Ulicą nadjechało parę wozów, błyskając kogutami. Nie wiem, jak długo tam leżałem. Po chwili odzyskałem oddech i poruszyłem się nieco, usiłując pokonać senność. Pragnąłem się wyspać, ale coś kazało mi unieść się na łokciach i kolanach. Zapanował spokój i przez dłuższy czas ulicą nie przejechał ani jeden samochód. Przedostałem się przez żywopłot i ruszyłem dalej. Gdy minąłem kilka przecznic,

znów zaczęły dzwonić mi zęby. Uznałem to za dobry znak. Pomyślałem sobie, że człowiek, który umiera z zimna, nie szczeka już zębami. Jeszcze dwa razy musiałem kryć się w podwórzach przed światłami reflektorów. Robiłem wszystko mechanicznie i przez dłuższy czas nie pamiętałem nawet, czego właściwie szukam. *Budki telefonicznej*, powiedziałem sobie. Zapamiętaj: *budka telefoniczna*.

Właśnie stałem pod latarnią. Spojrzałem na zegarek: była za dziesięć piąta. Poklepałem się po twarzy i sprawdziłem jeszcze raz. Widocznie stanął albo ja byłem pijany. To niemożliwe, żeby było aż tak późno. Do kitu z takim zegarkiem, ciągle staje. Popatrzyłem na drugą stronę ulicy i w oknie stacji benzynowej dostrzegłem wielki, zielony zegar, który też wskazywał za dziesięć piąta. W cieniu za stacją była budka telefoniczna. Z wysiłkiem skupiłem na niej wzrok i siłą woli ruszyłem biegiem.

A jak azyl, H jak hotel. Zdołałem jakoś otworzyć książkę i prze-wertowałem ją zdrętwiałymi palcami. *Patton...*

Patton Alvis W.

Patton A.H. ... Powtórzyłem w pamięci cyfry, wsunąłem monetę w otwór i wybrałem numer.

Odebrała niemal natychmiast. — Tak? — rzuciła, przejęta.

— Słuchaj, ja... — zacząłem. — Jestem... hm... Westchnęła. — O Boże, czekałam całą noc. Mówił, że przekazał ci wiadomość już parę godzin temu. Gdzie jesteś?

— Sam nie wiem — odparłem. — Czekaj. — Rzuciłem słuchawkę i wyszedłem z budki przeczytać szyld na wiacie nad drogą podjazdową. Było tam napisane: STACJA PALIW SHELL U BARRETTA.

Powtórzyłem jej tę nazwę.

— W porządku — rzuciła szybko. — Zaraz sprawdzę, gdzie to jest. Nie mam pojęcia, jak to daleko. Może dojadę za pięć minut, a może za pół godziny. Zostań tam albo przynajmniej trzymaj się gdzieś w pobliżu, byle nie na widoku. Wjadę od strony stacji i dam ci znak prawym kierunkowskazem. Jak wszystko będzie w porządku, to wyjdiesz i wsiądziesz, a jeśli nie, to okrążę parę przecznic i wrócę. Jasne?

— T-tak — odparłem i rozłączyłem się. Poszedłem w zacienione miejsce na zapleczu stacji i oparłem się o mur. Skóra bolała mnie na całym ciele i wyobrażałem sobie, że tak bardzo muszą boleć guzki

przy podagrze. To niemożliwe, żebym zamarzał, pomyślałem; wtedy człowiek nie czuje bólu. Mijały minuty. Zacząłem sobie marzyć, że stoję na mostku na *Dancy* nieopodal Hatteras w czasie sztormu. Nie, to nie tak. Na mostku nigdy nie byłem przemoczony. Nosiliśmy przecież sztormiaki... Wtedy usłyszałem nadjeżdżający samochód. Wszedłem za róg i wyjrzałem na ulicę. Zamigał prawy kierunkowskaz. Wybiegłem. Od razu zahamowała i wsiadłem. Skuliłem się, trzymając się za ramiona, drżąc gwałtownie i pilnując, by mokre ubranie nie przylegało mi do skóry.

Jechała szybko. — To tylko parę minut, Rudy — orzekła. W odrętwieniu uznałem, że pewnie usłyszała to od Reda. On zawsze mówił na mnie „Rudy”.

Nie wiem, ile upłynęło czasu, nim zjechaliśmy do garażu. Było tam ciemno jak w jakiejś ogromnej jaskini. Pomogła mi wysiąść, a potem szedłem za nią, unikając kontaktu ze swym ubraniem. Minęliśmy jakiś trawnik, od którego odbijały się krople deszczu ze śniegiem, a po chwili Suzy włożyła klucz do zamka wielkich, szklanych drzwi. Za nimi mieścił się mały hol z palmą w donicy i dwojgiem drzwi do windy. Było bardzo cicho. Jedna z wind stała otwarta. Weszliśmy do środka i Suzy nacisnęła guzik. Kiedy już wysiedliśmy, zdjęła swój ciemny płaszcz i starła wodę z gołej podłogi windy. Na dywanie w korytarzu prawie nic nie było widać. Nikogo nie spotkaliśmy. Zaraz potem otworzyła następne drzwi.

Miałem niejasne wrażenie, że jesteśmy w jakimś wielkim pokoju, z tysiącem książek, szarym dywanikiem i kolorowymi zasłonami, ale ona zaprowadziła mnie do innego. Tam też były zasłony i podwójne łóżko, małżeńskie, a za nim drzwi do łazienki. Łazienka też była ogromna. Zaprowadziła mnie do środka. Za szklanymi drzwiami znajdował się prysznic. Sięgnęła ręką, odkręciła kurki i nastawiła wodę. Ja tymczasem ciągle się trząsałem. Próbowiałem coś powiedzieć, ale ona popatrzyła na mnie kręcąc głową i pchnęła mnie pod prysznic. — Siadaj — nakazała.

Usiadłem. Gorąca woda lała mi się na głowę i ramiona. Suzy zdjęła mi buty. — Możesz wstać? — poprosiła, więc się podniosłem. Woda sprawiała wrażenie ukropu, a mimo to jeszcze się trząsałem. Zdjęła ze mnie płaszcz i rzuciła na podłogę. A potem marynarkę. Chciałem rozpiąć koszulę, ale ona chwyciła za poły i rozdarła, obry-

wając przy tym guziki. Po chwili byłem całkiem nagi, stojąc na mokrym ubraniu, a parująca woda spływała po moim ciele. — Zaraz wracam — oznajmiła i zasunęła drzwi kabiny.

Skórę miałem całkiem białą i pościaganą w mnóstwo fałdek i zmarszczek jak na zdjęciach odcisków palców, i nie przestawałem szcząkać zębami. Drzwi rozsunęły się, a Suzy podała mi szklankę na wpełnię wypełnioną whisky. Wypiłem ją.

— W porządku — powiedziała. — A teraz wychodź. Bo jak mi padniesz, zanim cię zdążę zaprowadzić do łóżka, to za nic cię nie udźwignę.

Podała mi ręcznik i sama wzięła jeden. Miałem wrażenie, że jestem obdzierany ze skóry. Zaprowadziła mnie do sypialni. Łóżko było już rozłożone. Pchnęła mnie na nie i przykryła, a potem wyszła i zaraz wróciła z jeszcze jednym drinkiem. Podsunęła mi szklankę do ust. Zęby dzwoniły mi o szkło jak kastaniety, ale udało mi się przełknąć whisky.

— Biedny Rudy — powiedziała. Pstryknięciem zgasiła światło, zostawiając tylko blady poblask z drzwi pokoju dziennego. Wtedy zobaczyłem, że się rozbiera. Rzuciła na krzesło sweter, spódnicę i halkę i usiadła, żeby ściągnąć pończochy. Cały pokój zawirował mi przed oczami. Suzy tymczasem rzuciła ostatnią część garderoby na krzesło i wślizgnęła się tuż obok mnie.

— To ci chyba pomoże — powiedziała. Przytuliła moją głowę do swoich piersi, a jej długie, gładkie udo uniosło się nad moją nogą i opłotło ją. Przyciskała mnie tak, że nasze ciała dotykały się w wielu miejscach. — To tylko dreszcze, zaraz ci przejdzie.

Zmagałem się z ciemnością, która powoli zaczęła mnie ogarniać.

— Spokojnie, Rudy — mruknęła kojąco. — Po prostu zaśnij. Ściany pokoju znowu zawirowały. Usiłowałem objąć ją ramionami, ale ciągle się trzęsłem.

— Nic z tego — powiedziała łagodnie. — Wiesz przecież. Miała rację. Nie dałbym rady. Jeszcze raz sięgnąłem do krawędzi przepaści i runąłem w dół, spadając w ciemność.

Czułem się, jakbym się obudził w innym świecie. Usiadłem i rozejrzałem się dookoła wzrokiem niemal tak ogłupiałym jak na kacu. Oprócz zbyt wielkiego łoża pokój był bardzo kobiecy. Światło przenikało przez blad różowe zasłony na ścianie po mojej lewej stronie. Chodnik był koloru delikatnej kości słoniowej, a przesuwane drzwi wiszącej szafki miały lustra na całej długości. Wezłowie łoża obite było satyną, u podnóża leżała zwinięta złota narzuta i dakronowa kołdra. Po obu stronach stały małe stoliki nocne, a na nich identyczne lampki o różowych abażurach i hebanowych podstawach. Na stoliku po mojej lewej stronie stał biały telefon, na którym leżał niedbale czarny daszek na oczy, nylonowy albo jedwabny, z gumką. Było tu ciepło i bardzo cicho, tylko od czasu do czasu gdzieś z dołu dochodziły odgłosy ulicznego ruchu. Naprzeciw mnie, obok toaletki z lustrami bocznymi i całą masą słoiczków i buteleczek, znajdowały się drzwi do sąsiedniego pokoju. Były zamknięte.

Po krótkim czasie otworzyły się i zajrzała Suzy. Widząc, że już się obudziłem, uśmiechnęła się i weszła. Miała na sobie białą koszulę i czarne rybaczki, a stopy bose. Jej białe włosy były niedbale zmierzwione i wyglądała jak żywcem wyjęta z fantazji jakiegoś Wikinga.

— No i jak się czujesz? — zapytała.

— Przymulony — odparłem. — Jak na kacu.

— To by się nawet zgadzało. Zdaje się, że wlałam w ciebie pół litra whisky.

— Chyba na serio odpłynąłem, co?

— Masz szczęście, że żyjesz — skwitowała. — Cztery dni bez jedzenia, nie licząc dwóch puszek peklowanej wołowiny, a potem dzie-

więc godzin na dworze, przemoczony do suchej nitki. — Przysiadła na krawędzi łóżka i położyła mi dłoń na czole. — Masz gorączkę?

— Chyba nie — odparłem. — A gdzie ja w ogóle jestem?

— Na siódmym piętrze Lancaster Apartments, przy Beechwood Drive dwadzieścia jeden dziesięć. Apartament numer siedemset trzy. Jest wpół do piątej po południu, spałeś jedenaście godzin. Tu przynajmniej jesteś bezpieczny. Nikt nie widział, jak wchodziłeś, a przez ściany nas nie słyszą.

— I myślisz, że wczoraj wieczorem mogli cię nie widzieć? — dociekałem.

Pokręciła głową. — Najwyraźniej skupili się tylko na tobie. A nawet gdyby mnie widzieli, to i tak nie zdołaliby spisać moich numerów. Do następnej przecznicy miałam zgaszone światła. Z tego, co pisali w porannej prasie, uważają, że wcale nie wyjechałeś z miasta.

— A co oznaczają litery A. H.?

— Amelia Holly Patton. Tak się naprawdę nazywam, tyle że nie wie o tym nikt prócz paru najbliższych przyjaciół. To mniej więcej to samo co zastrzeżony numer.

— A to ci cwana sztuczka — zauważyłem.

— Tylko w ten sposób mogłam do ciebie dotrzeć, nie mówiąc nic Redowi. Byłam pewna, że jeśli szukałeś mnie w książce telefonicznej, to od razu załapiesz, w czym rzecz.

Chwyciłem ją za ramiona i przyciągnąłem do siebie.

— Jedną chwileczkę, irlandzki języku — rzuciła. — Już mnie podrapałeś tą brodą...

— Niby gdzie? — spytałem.

W jej szarych oczach tuż nad moimi pojawiło się cyniczne rozbawienie. — Już ty dobrze wiesz, do cholery. Leżałeś mi głową na pierśsiach, a ja trzymałam cię tak przez jakąś godzinę, dopóki nie przestałeś się trząść.

— To był cudowny sposób, żeby mnie rozgrzać.

— Może niezbyt oryginalny — dodała. — Ale na pewno skuteczny. No i przynajmniej nie jest ci już zimno...

— Nie jest — przyznałem.

— Musisz jeszcze odpocząć i coś zjeść. Na dobrą sprawę to powinienś leżeć w szpitalu...

Przyciągnąłem ją za głowę i pocałowałem. Jej usta były ciepłe i miękkie na moich wargach, spragnione, wręcz żądne. Usiłowałem rozpiąć jej koszulę, ale leżała mi na piersi. Objęła mnie mocno za szyję. Czuję się, jak gdyby mnie pożerała. Po chwili uniosła się nieco i zaczęła sama gwałtownie rozpinąć guziki koszuli. Zsunęła ją z siebie i rzuciła na podłogę. Nie miała stanika.

— Widzisz? — spytała.

— Przykro mi.

— Akurat.

— Wybacz, ale przecież wtedy spałem. Czy to boli? Uśmiechnęła się. — Nie bardzo. Przesadziłam trochę, żeby wywołać twoje współczucie.

— Nie wiem, jak tam ze współczuciem, ale może wystarczy ci mój podziw...

— Zdaje się, że Irlandczycy wiedzą, jak się wywinąć od śmierci — stwierdziła.

Wziąłem ją w ramiona i raz jeszcze pocałowałem. Z jej gardła wydobył się cichy, ochoczy pomruk i kiedy zacząłem szukać zamka u jej spodni, wzięła moją dłoń i nakierowała na właściwą stronę.

Wyszła do sąsiedniego pokoju. Gdzieś z jego głębi dobiegła mnie muzyka, a po chwili Suzy pojawiła się w drzwiach z paczką papierosów. Zapaliła jednego i wsunęła mi między palce.

— Przytrzymaj go jeszcze chwilę — powiedziałem. — Zaczekaj, aż dojdę do siebie.

Uśmiechnęła się. — Biedny Rudy. Tak to już w życiu bywa, że jeden poluje na drugiego.

Zamyśliłem się nad uczuciem ogarniającego mnie ciepła, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze nabiorę sił, by móc się znowu poruszać. Próbowałem unieść głowę, ale zaraz dopadły mnie zawroty. Suzy zapaliła sobie papierosa i stanęła, patrząc na mnie. Nie miała na sobie zupełnie nic i najwyraźniej wcale jej to nie przeszkadzało. Byłem niemal pewien, że nigdy przedtem nie widziałem tak posągowej urody i nieskazitelnego, jasnowłosego piękna w jednej osobie.

— Śliczna jesteś — orzekłem. — Ile ty właściwie masz wzrostu?

— Metr siedemdziesiąt siedem — odparła. — Fatalnie, co?

— Bynajmniej. Doskonale — oto słowo, którego szukałem.

Położyła się przy mnie. — Bajerujesz.

— No skąd. Tak mi słabo, że nie mam siły zmyślać. Ale dlaczego ty aż tak mi pomagasz?

— Po co ciągle o tym nudzisz? — spytała. — Już raz ci powiedziałam. Po prostu mnie intrygujesz.

— To chyba nie jest wystarczający powód.

— Zależy, jak na to patrzeć — odrzekła. — Znałam kiedyś staruszkę, który przez osiem miesięcy przesiadywał na ławce przed biblioteką, próbując odkryć, dlaczego gołębie kiwają łebkami, kiedy chodzą.

— I udało mu się? — dociekałam.

— Nie. Ale przynajmniej to go trzymało przy zdrowych zmysłach.

— Co za brednie — skwitowałam. — Dziewczyna, która ma wszystko? Urodę, figurę, energię, talent do pisania...

— To nie za wiele chyba przeczytałeś, co? Nieważne zresztą; mówiłam ci, że tego się nie da wyjaśnić komuś, kto nie jest pisarzem; pomówmy lepiej o tobie i zróbmy sobie coś w rodzaju wstępnej sesji burzy mózgów. Czy masz jakieś pieniądze?

— Jakies sto siedemdziesiąt dolarów.

— Tylko tyle?

— To wszystko, co mam przy sobie. Może jeszcze trochę w banku, jakieś oszczędności i akcje przedsiębiorstwa naftowego Southlands, w sumie będzie tego jakieś sześć tysięcy, ale nie ma szans, żebym się dostał do tych pieniędzy.

— To bez znaczenia — odparła. — Pieniądze mogę ci pożyczyć, to zresztą żaden problem. Ale jeśli chcesz zniknąć na dobre, to będziesz musiał zacząć nowe życie pod innym nazwiskiem. No i, rzecz jasna, nie wypłyniesz już w morze.

— Nic z tego — zaprotestowałam. — Praca na morzu to jedyne, co potrafię i lubię. Na łodzi czułbym się jak ryba bez wody. To właśnie było powodem ciągłych sprzeczek z moją żoną.

— No dobrze, zostawmy to na razie i zastanówmy się nad innym wyjściem. Nie wierzę, że zabiłeś Stedmana, dlatego spróbujmy dociec, kto tak naprawdę to zrobił. Co dokładnie powiedział ci Lanigan?

Powtórzyłam jej.

— Hmmm — mruknęła w zamyśleniu. Dmuchnęła kłęb dymu do sufitu i uważnie mu się przyjrzała. — Sprawa zatacza naprawdę intrygujące kręgi. A zwłaszcza ten zbieg okoliczności z partnerem Stedmana. Jak mu tam było?

— Purcell — odparłem. — Jack Purcell.

Pokiwała głową. — Głowę daję, że gdzieś o tym czytałam. Ta dziewczyna to też ciekawy przypadek.

— Tyle że w tak wielkim mieście ładnych brunetek jest chyba z parę tysięcy — zauważyłem. — A zresztą może wcale nie miała z tym nic wspólnego.

— Nie da się odgadnąć, dlaczego gołębie kiwają łebkami, jeśli odrzuca się złudzenie optyczne... Trzeba po prostu ją odszukać. Ale nie ma mowy, żebyś się stąd ruszył, dopóki nie zagoi ci się to podbite oko. — Oparła się na łokciu i popatrzyła krytycznym wzrokiem na moją twarz.

Przyjrzałem się fascynującej krągłości, jaką nadawała jej piersiom ta pozycja, i wsunąłem dłoń pod jedną z nich.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową. — Wiecznie niepokromiony i przynajmniej nie traci nadziei. A co się tyczy tego oka, to potrwa pewnie kolejne trzy dni, jeśli nie dłużej. Na pewno mają już twój dokładny rysopis, rude włosy tylko pogarszają sprawę, a do tego jeszcze twój wzrost i te sińce; to tak, jakbyś miał nazwisko wypisane na twarzy.

— Muszę też coś zrobić z moim ubraniem...

— To się jakoś załatwi — odparła. — Tyle tylko, że będę musiała kupić ci nowy kapelusz i płaszcz, bo te, które miałeś na sobie wczoraj, podali już w rysopisie. Niech pomyślę: płaszcz miałeś tweedowy, więc załatwię ci jasnożółty, gabardynowy...

— A skąd miałaś resztę ubrań?

— Po moim byłym mężu, drugim z moich dwóch byłych. Po wyprowadzce zostawił w schowku całą walizkę rzeczy osobistych i jakoś nikogo po to wszystko nie przysłał. Zeszłam tam wczoraj i włamałam się, żeby zobaczyć, co się tam znajdzie. Nosił mniej więcej taki sam rozmiar. Były dwie marynarki, obie raczej skromne, z ciemnoszarej flaneli, mnóstwo koszul i innych rzeczy. Przyniosłam też jakąś pizamę i flanelowy szlafrok, żebyś miał co nosić w mieszkaniu. Wszystko leży w szafce, w drugiej szufladzie.

Wstała i wyszła do łazienki. Słyszałem, jak bierze kąpiel. Po chwili wyszła w staniku i majtkach z paskiem do pończoch, usiadła przy toaletce i zaczęła je naciągać.

— W szafce w łazience jest maszynka do golenia — oznajmiła.

— Dzięki — odparłem. Usiadłem na krawędzi łóżka, ale zrobiło mi się słabo i dostałem zawrotów głowy, i omal się nie przewróciłem. Udało mi się jednak podeprzeć i wyprostować. Obserwowałem, jak naciąga nylonową pończochę na swoje gładkie, krągłe udo, a następnie przypina do paska. — Fascynująca z ciebie dziewczyna.

Obróciła nogę w kostce i wyrównała pończochę. — Lepiej zbieraj siły — powiedziała. — I tak miałeś już za dużo wrażeń.

— A gdzie ty się wybierasz? — dociekałem.

— Na zakupy — odparła. — Muszę wtłoczyć w ciebie trochę jeźdzenia, zanim mi tu zemdlejesz. Idę jeszcze do biblioteki. Wrócę za jakąś godzinę.

Podeszła do szafki, włożyła halkę i dzianą suknię. Przysiadając znowu na toaletce, wsunęła buty i naniosła na wargi trochę szminki.

— Opowiedz mi o swojej żonie — poprosiła nagle, zerkając na mnie w lustrze. — Byłeś w niej zakochany?

— No jasne — przyznałem. — Ale nasza miłość wygasła przez te wszystkie sprzeczki. Ona chciała, żebym przestał wypływać w morze i znalazł sobie jakąś pracę na lądzie. Tylko gdzie tutaj zarobiłbym tyle pieniędzy, do cholery. Zresztą i tak bym tego nie wytrzymał.

— Ajaka ona była?

— Sympatyczna, ale wybuchowa. Rudowłosa kobieta o niemal przezroczyściej cerze. Jest parę lat starsza ode mnie. Śpiewa w nocnych klubach. Zdaje się, że nie jest w tym zbyt dobra, a kiedy ją poznałem, występowała w jakichś podrzędnych spelunach, ale za nic nie chciała tego rzucić. Przedtem już raz była mężatką.

Suzy zmarszczyła czoło w zadumie, przyglądając się swoim umalowanym ustom. — A skoro wasza miłość wygasła i tak czy inaczej mieliście się rozejść, to po co się tak wziąłeś na tego Stedmana? Przecież to dziecinada.

— No wiem, wiem. Głupio się zachowałem. Po prostu nie cierpiałem tego nadętego gnojka.

Zacmokała z dezaprobatą. — De mortuis...

— Co takiego?

— Ten nadęty gnojek jest już trupem. Wyrażaj się o nim inaczej.

— Jasne, w porządku.

Wyjęła z szafy jakieś szarawe futro i narzuciła na ramiona. — Tylko się nie zapomnij i nie odbieraj, gdyby dzwonił telefon. Albo domofon. — I wyszła.

Na nogach miękkich jak rozgotowane spaghetti dowlokłem się do łazienki i wziąłem prysznic. Znalazłem też maszynkę do golenia, włożyłem do niej nową żyletkę i ogoliłem się. Twarz miałem tak wychudłą, jakbym przez ostatnie cztery dni zrzucił jakieś pięć kilo. Opuchlizna na policzku wyglądała nieco lepiej i prawie nie było jej widać, ale oko wciąż miałem sine, choć już nie tak nabrzmiałe. Włożyłem piżamę i szlafrok, o którym wspomniała Suzy, i poszedłem do salonu.

Pokój był duży, z szarą wykładziną na podłodze i długim wykuszowym oknem po lewej stronie. Różowe zasłony były zaciągnięte, przepuszczały jednak odrobinę światła, a kiedy lekko je rozchyliłem i wyjrzałem na zewnątrz, zorientowałem się, że budynek wychodzi na park. Na dworze zdążyło już się wypogodzić, ale właśnie zmierchało i nagie drzewa stanowiły smętny widok. Odwróciłem się i zapaliłem światło.

Przy oknie stał kominek z rzymskiej cegły, opatrzony szybą, a cała ściana dzieląca pokój i sypialnię była zastawiona książkami. Naprzeciw okna, obok drzwi, stała długa, jasna konsola, która najwyraźniej była zestawem hi-fi, a na ścianie wisiały trzy akwarele, oprawione w ciężkie ramy z bielonego drewna. Sofa i fotele były lekkie i nowoczesne. W głębi pokoju widać było dwoje drzwi. Podszedłem i zajrzałem za te po lewej stronie. Mieścił się tam mały gabinet, sownicie obstawiony szeregami książek, nie licząc okna zakrytego ciemnozielonymi zasłonami. Stało też biurko z maszyną do pisania, a nad nim wisiała przysłonięta abażurem lampa.

Drugie drzwi prowadziły do małej jadalni, zaraz za nią była długa i nieco wąska kuchnia. Wszedłem tam i zapaliłem światło, czując spowodowane głodem mdłości. Jedyne, co w lodówce nadawało się do spożycia, to kawałek sera i pół butelki mleka. Zjadłem plaster sera, wypilem szklankę mleka i zacząłem buszować po szafkach. Wyszukałem jakiś wermut i gin, i nietkniętą puszkę solonych orzeszków. Znalazłem jakiś dzbanek, nasypałem do niego kostek lodu, zmieszałem parę kieliszków martini, nalałem sobie drinka, a resztę wstawiłem

do lodówki. Następnie otworzyłem puszkę orzeszków i zabrałem je ze sobą do salonu.

Coś upadło za wycieraczkę za drzwiami. Zdawało mi się, że to gazeta. Odstawiłem martini i orzeszki i nasłuchiwałem chwilę, po czym wyjrzałem za drzwi. Na korytarzu było pusto, a tuż przy moich stopach leżała wieczorna gazeta. Wziąłem ją i zamknąłem drzwi. Zapaliłem lampkę do czytania przy sofie, łyknąłem martini i otworzyłem gazetę. Pisali o mnie w dwóch kolumnach na pierwszej stronie.

MARYNARZ WYMYKA SIĘ Z OBŁAWY 21 lutego... *Russell Foley* — miejscowy marynarz poszukiwany w związku z zabójstwem funkcjonariusza policji, *Charlesa L. Stedmana*, które miało miejsce w zeszły wtorek — ciągle pozostaje na wolności mimo intensywnych trzydniowych poszukiwań. Policja jest przekonana, że *Foley* nadal ukrywa się w mieście, w związku z czym zamknięto wszystkie dworce autobusowe i kolejowe, gdzie przeprowadza się ścisłe kontrole.

Dalej relacjonowali okoliczności, w których ostatnio dwukrotnie mnie widziano. Mój rysopis był przerażająco dokładny, uwzględniono nawet podbite oko. Mieszkanie też znajdowało się pod stałą obserwacją. Wystarczyłoby, żebym w któryś z najbliższych paru dni tylko wyściubił nos, a dopadliby mnie w ciągu godziny. Przeszukiwali kolejno tanie hotele i noclegownie. Wiedzieli, że gdzieś tam musiałem się zaszyć, inaczej w nocy zamarzyłbym na śmierć. Komisarz i komendant policji obiecywali, że będą działać. Niech no tylko dorwą mnie w swoje ręce, a nie będzie zmiłuj; w końcu byłem mordercą gliny i od czterech dni robiłem w balona całą miejską policję.

Na drugiej stronie pisali o bójce i o tym, jak policja znalazła ciało *Stedmana* z nożem myśliwskim w szyi. Ogólnie raport przedstawiał to samo, co poskładałem sobie w całość z relacji *Reda* i wiadomości w radiu, tyle tylko, że policja wcale nie wyważyła drzwi. Wpuścił ich dozorca. Nie było wzmianki o żadnych innych osobach. Nic więcej. Muszą tylko dorwać mnie w swoje ręce i sprawa zostanie załatwiona. Jedyne, co mnie teraz od nich dzieliło, to dziewczyna, która zainteresowała się mną tylko dlatego, że jej się nudziło.

Od martini zakręciło mi się w głowie i wszystko nagle wydało się jakieś ulotne. Nie odważyłem się nalać sobie następnego, bo przy moim osłabieniu i pustym żołądku od razu powaliłoby mnie na podłogę.

Suzy wróciła po przeszło godzinie z wielką torbą pełną jedzenia i podekscytowaną miną. Chciałem jej pomóc, ale pokręciła głową. Weszliśmy jednak razem do kuchni i zaczęliśmy rozpakowywać torbę. Były w niej między innymi największy kawał polędwicy wołowej, jaki w życiu widziałem, mrożone frytki i dwulitrowy karton mleka.

— Muszę ci coś powiedzieć — oznajmiła — ale najpierw ugotujemy. Weźmiesz mój płaszcz, Rudy?

Zaniósłem go do sypialni i powiesiłem w szafie. Kiedy wróciłem do kuchni, Suzy wkładała frytki do piekarnika i włączyła palnik. Otworzyła pudełko mrożonych brokuł, postawiła na kuchence i zajęła się parzeniem kawy. Oparłem się o lodówkę i obserwowałem ją. Na obcasach prawie dorównywała mi wzrostem, a sposób, w jaki jej dziana suknia podkreślała rzeźbę jej sylwetki, był naprawdę przyjemny dla oka.

— Wprawdzie kiepsko gotuję — oznajmiła — ale zdaje mi się, że ten stek musi trochę poleżeć w temperaturze pokojowej.

— Proszę — nalałem jej martini i podałem. — No, to mów, co to za wieści.

— A ty się nie napijesz? — spytała.

— Już to zrobiłem. Po następnym musiałabyś mi wstrzyknąć ten stek w ramię.

Poszliśmy do salonu. Zrzuciła buty i oparła stopy o podnóżek. W zaciętym spojrzeniu szarych oczu pojawił się błysk zaciekawienia.

— Chodzi o tego Purcella — wyjaśniła. — Podobno popełnił samobójstwo. Tyle że to niemożliwe.

— To po to poszłaś do biblioteki?

Skinęła głową. — Przeglądałam segregatory z prasą wstecz, a potem dzwoniłam do mojego znajomego dziennikarza. Policja to jego działka, znał Purcella. Podasz mi torebkę, Rudy?

Sięgnąłem po nią i Suzy wyjęła z niej mały portfelik.

— Posłuchaj — powiedziała. — Oficjalnie uznano, że popełnił samobójstwo, ale policji ten werdykt nie zadowalał. Lanigan całkiem nieźle to ujął, twierdząc, że Purcell był totalnym luzakiem. Był twardy, ale w pewien kulturalny sposób, jeden z niewielu policjantów po studiach, typowy karierowicz, ale za to wyjątkowo kompetentny. Był zwykłym detektywem, ale przy najbliższej okazji awans na sierżanta miał jak w banku. Od trzech lat żonaty z bardzo sympatyczną kobietą. Cieszył się dobrym zdrowiem i, o ile wiadomo, nie miał żadnych poważnych problemów finansowych. Żadnych przekrętów na swoim koncie. Podczas dziesięcioletniej służby w policji był zmuszony zabić dwie osoby, ale takie jest ryzyko wliczone w ten zawód. To, że cierpiał z tego powodu jakieś rozterki, jest mało prawdopodobne. Obaj zabici byli groźni i wielokrotnie notowani, i w obu przypadkach Purcella oczyszczono z zarzutów...

Tu przerwała i upiła łyk martini.

— A co się tyczy samobójstwa, Purcell mieszkał na osiedlu Bellehaven, jakieś dziesięć kilometrów na północ od miasta...

— Wiem, gdzie to jest — wtrąciłem. — Dwu i trzypokojowe mieszkania, od piętnastu tysięcy wwyż.

Skinęła głową. — No, to wiesz pewnie, gdzie jest to wielkie centrum handlowe. Właśnie stamtąd wracam; kupiłam tam ten stek. Purcell mieszkał przy Winston Drive dwadzieścia pięć trzydzieści jeden. To ostatnia ulica na osiedlu, biegnie równoległe do centrum handlowego. Część parkingu supermarketu na dobrą sprawę leży dokładnie za domami przy tej ulicy...

— Czyli można zaparkować przy supermarkecie i wejść od podwórza?

Zaprzeczyła ruchem głowy. — To nie takie proste. Cały parking jest oświetlony, a podwórza domów ogrodzone dwumetrowym, plecionkowym płotem, obrośniętym dzikim winem. Są wprawdzie furt-

ki, ale klamki mają tylko od wewnątrz. Furtka Purcella była zamknięta na kłódkę. Można by, oczywiście, przedostać się przez płot, ale z samego rana ktoś z parkingu łatwo by to zauważył.

To się zdarzyło wieczorem dwudziestego ósmego stycznia, trochę ponad trzy tygodnie temu. Pani Purcell wybrała się z sąsiadką do kina. Często to robiła; Purcella filmy jakoś nie bawiły. Wyszła około ósmej i nie ma wątpliwości, że wtedy Purcell jeszcze żył, bo mniej więcej o tej samej porze wpadł do niego sąsiad. Wypili po piwie i do dziewiątej z minutami oglądali jakąś walkę w telewizji. Po tym, jak sąsiad wyszedł, około wpół do dziesiątej, do Purcella dzwonił jeszcze w jakiejś sprawie jego szef, porucznik Shriver z sekcji od rabunków. Zeznał, że głos Purcella przez telefon nie budził żadnych podejrzeń. I, jak wynika z oficjalnych ustaleń, czterdzieści pięć minut później Purcell ze sobą skończył. Lokatorzy z obu sąsiednich mieszkań słyszeli huk. Zeznali, że było to mniej więcej kwadrans po dziesiątej. Myśleli, że to strzał z gaźnika samochodu.

W kinie grali podwójny seans i pani Purcell była w domu dopiero dziesięć minut po północy. Wstawiła auto do garażu, po czym kobiety się pożegnały. Tamta ledwo zdążyła wejść do swojego mieszkania, gdy usłyszała wrzask pani Purcell. Wybiegła na korytarz.

W ciągu dziesięciu minut policja była już na miejscu. Purcell siedział pochylony nad biurkiem z dziurą w skroni po kuli wystrzelonej z jego własnej trzydziestki ósemki. Kabura była w tym samym miejscu, gdzie zwykle zostawiał ją po powrocie do domu; wisiała na wieszaku w szafie w przedpokoju. Spluwa leżała na dywanie przy krześle. Udało się z niej zdjąć tylko fragmenty odcisków palców, i wszystkie należały do niego. Nigdzie nie było widać żadnych śladów szamotaniny ani nic nie wskazywało na obecność innych osób. Brama prowadząca na tylne podwórze była zamknięta na kłódkę, a żaden lokator nie widział nikogo, kto wchodziłby do bloku lub z niego wychodził frontowymi drzwiami. Nie mógł to być wypadek, bo sprzęt do czyszczenia broni leżał schowany w kuchni. Nie było żadnego listu, a na biurku, pod jego głową, znaleziono tylko czystą kartkę i długopis, jak gdyby Purcell zamierzał coś napisać, ale zmienił zdanie.

Ta cała sprawa była jednak dziwna, pomyślałem.

— I co ty o tym sądzisz? — spytałem.

— Po mojemu to morderstwo.

— A powód?

— Jest ich kilka, w tym coś, o czym jeszcze nie wiesz. Przede wszystkim sam fakt, że brama podwórza była zamknięta na kłódkę, wcale o niczym nie świadczy. Ktoś mógł ją zamknąć po zamordowaniu Purcella. Załóżmy, że on został w domu, bo spodziewał się gościa, na przykład jakiejś kobiety? No i zostawił bramę otwartą.

— A jak się potem wydostała?

— Zaryzykowała i wyszła frontowymi drzwiami. Wystarczy, że przeszłaby pół przecznicy i przy następnym skrzyżowaniu skręciła w prawo, a już znalazłaby się na parkingu. Po jedenastej wieczorem na tym osiedlu jest raczej spokojnie.

— No dobrze. A poza tym?

— Nie ma czegoś takiego jak samobójstwo pod wpływem impulsu. Kiedy człowiek chce się zabić, to przyczyna tej decyzji, jakakolwiek by ona nie była, gnębi go znacznie dłużej niż przez czterdzieści pięć minut. Człowiek samotny mógłby się z tym maskować, ale Purcell był żonaty, a jego żona twierdzi, że w jego zachowaniu nie było nic niezwykłego.

— Jasne, ale, do diabła, ciągle mówimy o Purcellu. To nie ma żadnego związku ze Stedmanem, może oprócz tego, że byli partnerami w sekcji od rabunków.

Zamachała papierosem. — Nie zapominaj też, że obaj nie żyją. Ale jest jeszcze coś, co ich łączyło: i właśnie o tym jeszcze nie wiesz. Pamiętasz, jak wspomniałam, że Purcell zabił na służbie dwóch ludzi?

— Tak.

— No więc w jednej z tych akcji brał udział też Stedman. To było dwudziestego drugiego grudnia. Widzisz tu ciąg dalszy zbiegu okoliczności? Po przeszło miesiącu Purcell popełnia samobójstwo, a niepełna trzy tygodnie później zostaje zamordowany Stedman.

Popatrzyłem na nią. — No dobrze, ale policja musiała dokładnie to zbadać, zwłaszcza przy tak oczywistym zbiegu okoliczności, sama rozumiesz...

Pokiwała głową. — Do pewnego stopnia tak. Ale pamiętaj, że aby zaistniał zbieg okoliczności, potrzeba przynajmniej dwóch podobnych zdarzeń, a podobno to ty zabiłeś Stedmana. Jeśli przyjąć tę wersję, to wszystko bierze w łeb.

Wstałem, przeszedłem po pokoju i z powrotem. — Na litość boską, musieli przecież próbować zbadać inne przyczyny.

— I próbowali — przyznała. — Tyle tylko, że żadnych nie odkryli. Człowiek, którego zabili Stedman i Purcell, był tylko podłym mętem. Nazywał się Danny Bullard i miał za sobą dziesięć lat odsiadki, w tym dwa wyroki za napad z bronią w ręku. Stedman i Purcell mieli zabrać go na przesłuchanie w związku z napadem na sklep monopolowy, a wtedy on wyjął broń, no i musieli strzelać.

— A jakaś bliższa rodzina?

Zaprzeczyła ruchem głowy. — Miał starszego brata, zbira z wybrzeża. Nazywał się Ryan Bullard, ale od lat nikt go nie widział. Miał sprawę za zabicie marynarza podczas jakiegoś strajku, ale został uniewinniony i zaraz potem zniknął.

Zapaliłem papierosa. — To może miał dziewczynę?

— Jesteś coraz bliżej. Bo musi być jakaś dziewczyna. Zakładając, a przynajmniej na razie, że obaj zostali zamordowani, i to w podobnych okolicznościach, zabójca musiał zakraść się potajemnie i zjawił się na ich zaproszenie. A to, rzecz jasna, oznacza tylko jedno. Problem w tym, że nie było żadnej dziewczyny...

— Tylko ta, o której mówił mi Red — wtrąciłem. — Muszę ją namierzyć.

Przytaknęła głową. — Jasne. Nie bardzo wiem, jakie zyskamy dowody, jeśli nawet ją znajdziemy, ale od czegoś trzeba zacząć. Tyle że przynajmniej do poniedziałku nie wolno ci się stąd ruszać, bo to za duże ryzyko.

Przyrzędziliśmy stek. Czulem, jak wraz z jedzeniem wracają mi siły. Słuchaliśmy hi-fi i trafiliśmy na wiadomości w radiu. Nadal mnie szukali, przetrząsając całe miasto, ulica po ulicy. Po jakimś czasie poszliśmy do łóżka. Jeśli bohaterki wszystkich powieści Suzy były seksowne, pomyślałem, to przychodziło im to naturalnie. Suzy była utalentowana, namiętna i naprawdę rozkoszna, a jednak, z jakiegoś niejasnego powodu, po tym, jak już wykrzyczała się w ekstazie i opadała na plecy, ciągle wyczuwało się to rozpaczliwe nieszczęście i znudzenie, które ją dręczyło, jak gdyby seks nie dawał jej żadnej radości.

W nocy obudziłem się, ale jej nie było. Zapaliłem światło i spojrzełem na zegarek. Dopiero co minęła trzecia nad ranem.

Drzwi do salonu były uchylone. Paliły się tam wszystkie światła, a ona siedziała na środku podłogi i wrzucała karty do stojącej jakieś trzy metry dalej szklanej salaterki. Miała na sobie swoje czarne rybaczki, a od pasa w górę była naga, oprócz czarnego, jedwabnego daszka na oczy —jedynej rzeczy, jaką zakładała do łóżka. Podsunęła go aż na czoło i wyglądała wręcz olśniewająco z tymi swoimi włosami srebrnoblond i jasną skórą. Paliła długiego, czarnego papierosa, meksykańskiego czy kubańskiego, a przy niej na podłodze stała butelka wódki i kieliszek. Suzy była niezłe wstawiona.

Popatrzyła na mnie mętным wzrokiem. — Co jest, Rudy? Nie możesz spać?

— Nie — odparłem i usiadłem na podłodze obok niej. Rzuciła w stronę salaterki następną kartę, ale nie trafiła. Zaklęła takim słowem, że za nic bym nie podejrzewał, że w ogóle je знаła.

— W czym problem? — dociekałem.

— Problem? — Przyjrzała mi się poważnie, po czym dołała sobie wódki. — Nie ma żadnego. — Podała mi butelkę. — Zażyj trochę opium dla próżnych, przyjacielu, i chodźmy się pławić w cielesnych rozkoszach. — Przerwała i czknęła, po czym zaczęła z namaszczeniem oglądać swój nagi tułów i krągłe piersi o ciemnych sutkach. — A propos cielesnych rozkoszy, to czy kiedykolwiek miałeś ich tyle, co teraz? Siedemdziesiąt trzy kilogramy próżności...

— Czy ty przypadkiem nie za dużo wypijaś?

Puściła to mimo uszu. — Może wódki? A potem amfetamina? Marihuana? Seks? Kto i na co ma ochotę?

Zachwiała się. Chwyciłem ją i trzymając ją w ramionach, jakoś zdołałem wstać. Zaprowadziłem ją do sąsiedniego pokoju, położyłem na łóżku i przykryłem. — Ocal sześciu, żeby miał kto trumny nosić — mruknęła i odpłynęła na dobre. Stałem i patrzyłem na nią. Co za wielka szkoda, pomyślałem.

Kiedy obudziłem się rano, było po dziewiątej, a Suzy zdążyła już wstać i ubrać się do wyjścia. Stała przy toaletce, nakładając szminkę, a gdy zauważyła w lustrze, że już nie śpię, odwróciła się i uśmiechnęła, na oko bez śladu kaca, jak zawsze elegancka blondynka o jasnym spojrzeniu.

Zbliżyła się i przysiadła na krawędzi łóżka. — Przepraszam za tamto w nocy.

— Nie ma sprawy — odrzekłem. — I bardzo chciałbym ci jakoś pomóc. Dokąd się wybierasz?

Podeszła do szafy, wyjęła szare futro i założyła je. — Na Denton Street — uśmiechnęła się. — Nie sądzisz, że to właściwe miejsce? Brunetka, którą śledzi jej jedyny naturalny wróg?

— Zostaw to mnie — powiedziałem. — To mój gołąb...

Nie zważając na moje słowa, wyszła z mieszkania. Jej jedynym naturalnym wrogiem była nuda; musiała coś ze sobą zrobić, bo inaczej by zwariowała. Wróciła krótko przed jedenastą. W sobotę w przemysłowej dzielnicy wokół Denton Street wszystko było zamknięte. Mimo to udało jej się zrobić gdzieś zakupy, bo przyniosła dwa pakunki, a w nich płaszcz z gabardyny i nowy kapelusz.

No dobrze, a teraz pokaż się, jak wyglądasz — nakazała. Odwróciłem się, a ona przyjrzała mi się krytycznym wzrokiem. Był poniedziałek, siódma rano.

Pokiwała głową. — Marynarka jest trochę przyciasna w obwodzie, a rękawy o jakiś centymetr za krótkie, ale w płaszczu nawet nie będzie widać.

Popatrzyłem na siebie w lustrze odbijającym całą sylwetkę. Ślad po podbitym oku całkiem już zniknął, a kapelusz na głowie przysłaniał rude włosy na tyle, by zbyt nie przykuwały uwagi. Buty miałem wypolerowane. Stałem w białej koszuli z kołnierzykiem o przypinanych rogach, w klasycznym krawacie, a znad krawędzi górnej kieszeni marynarki wystawały złożona chustka i wieczne pióro. Włożyłem jeszcze płaszcz.

— A oto kluczowy atut — oznajmiła i podała mi teczkę. Była płaska, typu bez rączki, zamykana na zamek, na oko stara i sfatygowana. Zawierała parę czasopism, jakieś ulotki reklamowe i dwa czy trzy nic nie znaczące listy, napisane na maszynie przez Suzy. Jak sama podkreśliła, był to idealny kamuflaż.

Uśmiechnęła się szeroko. — Kochanie, daję głowę, że wyczyścisz to konto w Fickelfinger i sprawisz sobie premię.

— Myślę, że dam radę — odparłem — o ile nie będą zanadto przyglądać się mojej twarzy.

— A kto by się tam gapił na facetów?

— Rasowi gliniarze — odparłem. — Ci sami, których próbujemy wyrolować.

Zaprzeczyła ruchem głowy. — Z tego, co wiemy, nie mają nawet twojego zdjęcia. Mógłbyś podejść do byle policjanta w mieście i poprosić o ogień, o ile nie posuniesz się do niczego, co mogłoby budzić podejrzenia. Tylko nie okazuj zdenerwowania. A przede wszystkim nie biegnij, jeśli nikt cię nie goni. Ciebie też ktoś może prosić o ogień. Nie przejmuj się tym, że musisz wyjść z bloku czy do niego wrócić. Tu są trzydzieści trzy mieszkania i nikt z lokatorów nie zna innych nawet w dziesięciu procentach, choćby z widzenia. Gotowy?

— Tak — odparłem.

— W takim razie ty idź pierwszy. Wiesz, gdzie się spotykamy.

— Wolałbym pójść całkiem sam. Jak mnie ucapią razem z tobą, to zrobi się naprawdę gorąco. Mogłabyś trafić do więzienia.

— W aucie będzie o wiele bezpieczniej. A przynajmniej ten pierwszy raz, dopóki nie opanujesz nerwów. Jadę z tobą.

Nie było sensu się z nią wyklócać. — No dobra — zgodziłem się. — Tylko pamiętaj: jak już wpadnę w tarapaty, to zmykaj w diabły, byle szybko.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. — Droga wolna — rzekła cicho. Wszedłem. Schody były tuż za zakrętem. Zszedłem piętro niżej i wcisnąłem guzik jednej z wind. Przyjechała. Na dole przeszedłem przez niewielki hol. Był chłodny, pogodny ranek, bezwietrzny, a na trawie przed budynkiem widniał szron.

Na ulicy, biegnącej równolegle do parku, wzmagął się poranny ruch. Skierowałem się chodnikiem na prawo. Tu i ówdzie kroczyło energicznie paru przechodniów. Przez pierwsze chwile czułem się obnażony i wystraszony, pragnąłem zaszyć się w płaszczu i ukryć twarz pod kapeluszem. Na rogu był przystanek autobusowy. Minąłem go, kierując się do następnego, dwie przecznice dalej.

Czekało tam parę osób i stał automat z prasą. Wrzuciłem do środka dziesięciocentówkę i wziąłem gazetę. Nikt nie zwracał na mnie uwagi.

O zabójstwie Stedmana nadal pisano na pierwszej stronie. W przytułkach zatrzymano trzech mężczyzn odpowiadających mojemu rysopisowi, których później zwolniono. Przeszył mnie lekki dreszcz. Największym zagrożeniem było to, że co najmniej pół tuzina

ludzi z policji mogło mnie znać z widzenia z baru Sidelines. Jeśli natknąłbym się na któregoś z nich, to byłoby już po mnie.

Dostrzegłem nadjeżdżającego niebieskiego oldsmobile'a. Zatrzymał się przy krawężniku i wsiadłem do środka. W schowku leżała mapa miasta. Otworzyłem ją, po części po to, żeby zakryć twarz.

— Wiem, jak tam dojechać — oznajmiła. — W sobotę bardzo dokładnie zlustrowałam to miejsce. Denton Street to dzielnica przemysłowa parę przecznic od kanału morskiego. Widzisz, o tu, za miejskimi dokami, jakieś trzy kilometry od centrum i pięć czy sześć od rafinerii Southlands.

— Już widzę — oznajmiłem. Zatrzymaliśmy się na światłach.

— O ile przy odrobinie szczęścia uda nam się zaparkować gdzieś w pobliżu tego lokalu, to moglibyśmy obserwować oba przystanki autobusowe na raz.

Ruch uliczny zagęszczał się. Suzy zjechała z głównej drogi, omijając centrum, i po jakichś piętnastu minutach skręciła w Denton przy budynku numer tysiąc dwieście. — Jeszcze cztery przecznice — oznajmiła. — Firma Comet Boat Company mieści się pod tysiąc sześćset trzydzieści sześć.

Popatrzyłem na zegarek. Do ósmej zostało jeszcze dwadzieścia minut. Ulicą sunęły głównie autobusy i ciężarówki. Suzy wycofała auto, żeby zaparkować. Rozejrzałem się wokoło. Firma Comet zajmowała od naszej strony ulicy podłużny, ceglany budynek, ogrodzony metalową siatką. Zaraz naprzeciw nas był niski budynek z mnóstwem małych okienek. Na szyldzie widniał napis U GEORGE'A. Tam pewnie był ten lokal. Tuż obok mieściła się firma zaopatrzeniowa z branży instalacyjnej.

Suzy zapaliła papierosa. — W budynku za nami jest jedna kawiarnia, a jeszcze inna dwie przecznice stąd. Skoro ta kobieta przyszła do George'a, to całkiem możliwe, że pracuje w jednym z czterech biur w tych dwóch budynkach. Tu mamy Comet i zakład instalacji wodno-kanalizacyjnych Hildebrand Plumbing Supply, w następnym budynku po drugiej stronie ulicy mieści się Warren Point Company, a zaraz na wprost, za rogiem, jest fabryka obrabiarek, Shiloh Machine Company. Ta mi wygląda na największą.

Mniej więcej naprzeciw kawiarni po drugiej stronie ulicy znajdował się przystanek autobusowy, i jeszcze jeden na rogu na wprost.

Mieliśmy dobry widok na każdy z nich. Przed nami stał zaparkowany samochód, ale był to nieduży, importowany sedan, który nie przysłaniał nam pola widzenia. Słońce zaczęło już wylewać się na ulicę i zrobiło się cieplej. Skręciłem szybę.

— Coś jedzie — oznajmiła Suzy. Autobus minął nas i zatrzymał się nieco dalej przy krawężniku. Wsiadło z niego jakieś piętnaście czy dwadzieścia osób, ale byli to sami mężczyźni, z których każdy niósł pojemnik z drugim śniadaniem.

— Na administrację jeszcze za wcześnie — uspokoiła mnie.

— No racja — przyznałem. Zastanawiałem się, jak daleko się posuniemy, zanim napotkamy na jakiś mur. Szukaliśmy dziewczyny, której nigdy przedtem nie widzieliśmy. Nie mieliśmy nawet pewności, czy naprawdę istnieje. Red mógł się przecież mylić. A gdyby nawet miał rację, to minął już przeszło miesiąc. Nie było żadnych dowodów na to, że dziewczyna, którą widział w Sidelines, miała cokolwiek wspólnego ze Stedmanem poza tym, że ten ją poderwał. Robił to przecież na okrągło.

Nadjechało parę następnych autobusów wypełnionych robotnikami. Było już po ósmej. Wysunąłem się i wrzuciłem monetę do parko-metru.

— Shiloh — powtórzyła Suzy w zamyśleniu. — Mam wrażenie, że już gdzieś to słyszałam...

— Czy to nie miejsce jakiejś bitwy z czasów wojny secesyjnej? — spytałem.

Machnęła ręką, zniecierpliwiona. — No jasne. Kwiecień, sześćdziesiąty drugi, na południe od Pittsburgh Landing nad rzeką Tennessee, Grant i Buell przeciwko Johnstonowi i Beauregardowi. Strasznie krwawa i źle zorganizowana walka, niedoświadczeni żołnierze, zaszyli w krzakach w małych, odosobnionych grupkach, wyrzynali się w pień... — przerwała. — Ale nie to miałam na myśli. Po prostu gdzieś już widziałam tę nazwę, i to całkiem niedawno. A teraz ciągle mnie to dręczy. No cóż, pewnie to nic ważnego.

Na parking firmy Comet zaczęły się zjeżdżać samochody, a z autobusów wysiadali pracownicy biur. Było wśród nich parę ciemnowłosych dziewcząt. Na widok każdej z nich rosła we mnie nadzieja, ale żadna nie odpowiadała opisowi, jaki otrzymałem od Reda.

— W ciągu miesiąca mogła przecież zmienić fryzurę — zauważyła Suzy. — Dajmy na to, ściąć włosy.

— Albo rozjaśnić na blond.

Uśmiechnęła się. — Na to cię weźmie, dopóki nie zobaczysz odrostów.

Około dziewiątej wiedzieliśmy już, że nic z tego. Suzy wyjechała z parkingu i ruszyła w stronę plaży. Po drodze mijaliśmy ogromną rafinerię Southlands. Popatrzyłem tęsknie na bramę Działu Morskiego. Suzy zauważyła to. — Wszystko jeszcze przed tobą, Rudy — rzuciła.

Nie odpowiedziałem. Czułem się tak fatalnie, że nie chciało mi się gadać.

— A co z twoim mundurem, licencją i tak dalej? — spytała. — No, wiesz, po tym, jak statek musiał odpłynąć bez ciebie?

— Zabrali je i odstawili do Działu Morskiego — odparłem. — Do biura kapitana Bryce'a...

Tu przerwałem i zastygłem ze strachu. Niespełna sto metrów za nami rozległ się krótki, urywany jęk policyjnej syreny.

— Tylko bez paniki — szepnęła. — Po prostu za szybko jechałam.

Radiowóz skręcił tuż przed nami na wewnętrzny pas i kierowca zatrzymał nas ruchem ręki. Suzy zjechała w żwirową zatoczkę i zatrzymała samochód. Radiowóz stanął przed nami, kierowca wysiadł i ruszył w naszą stronę. Poczulem suchość w ustach, ręce wepchnąłem do kieszeni płaszcza, żeby ukryć ich drżenie.

Policjant oparł się ramieniem o okno Suzy i zajrzał do środka. Stłumiłem odruch odwrócenia twarzy. Tamten mógł mieć około trzydziestki, był szczupły, bystry, o cerze zarumienionej od wiatru i szarych, chłodnych oczach. Prawie na mnie nie spojrział. — Proszę pani, za rafinerią jest ograniczenie do pięćdziesięciu kilometrów.

— A tak — przyznała ze skruchą. — No cóż... bardzo przepraszam. Zdaje się, że jechałam trochę szybciej?

— Siedemdziesiąt — przyznał nieco łagodniejszym tonem. Była taka śliczna i pokorna, a zarazem zbyt inteligentna, żeby się wdzięczyc. — Poproszę o prawo jazdy.

Oddychając cicho, nadal usiłowałem opanować chęć odwrócenia głowy i ukrycia twarzy. Dzięki Bogu, Suzy była tak zjawiskowa, że

tamten nie mógł oderwać od niej wzroku. Podała mu prawo jazdy. Obejrzał, postukał w zamyśleniu paznokciem w druk i oddał.

— W porządku — powiedział. — Tym razem przymkniemy na to oko. Ale proszę uważać. Te znaki po coś tu stoją.

— Dziękuję panu. Będę ostrożna.

Dopiero wtedy wyminął ją wzrokiem i spojrzał w moją stronę. Przez chwilę przypatrywał się mojej twarzy. Zdawało się, że trwa to całą wieczność. Wreszcie odwrócił się i odszedł do radiowozu. Po drodze zatrzymał się jeszcze, jakby chciał zawrócić. Suzy tymczasem skręciła z powrotem na jezdnię. Kiedy go mijaliśmy, ciągle stał, zamyślony, i patrzył za nami.

Oddalaliśmy się z wolna, a ja obserwowałem go w lusterku, wstrzymując oddech. Po chwili zobaczyłem, jak wskakuje do radiowozu i zatrzaskuje drzwi. Śmignął z powrotem na drogę i gnał za nami jak dziki kot.

— Jedzie tu! — zawołałem. — Musiał mnie rozpoznać.

— Spróbuję mu uciec, żebyś mógł wyskoczyć...

— Nie — zaprotestowałem ostro. — Posłuchaj... zatrzymasz się, jak tylko da ci znak. A jak już mnie dostanie, udawaj, że puściły ci nerwy. Mów, że groziłem ci spluwą i że mam ją w kieszeni. Dalej sama coś wymyślisz.

Tym razem nie włączył syreny, tylko podjechał do nas, kiedy staliśmy na światłach. Wyprzedził nas i dał znak ręką. Suzy zjechała na pobocze, a radiowóz stanął tuż za nami. Nie było sensu próbować ucieczki; powaliliby mnie, zanim zdążyłbym przebiec parę metrów.

— Wybacz mi — szepnęła.

— Pamiętaj: wdarłem się siłą do samochodu...

Policjant podszedł do Suzy i zajrzał przez okno. Na twarzy miał zażenowany uśmiech. — Z początku nie skojarzyłem — powiedział.

— Zmyliły mnie te pani imiona. Pani Suzy Patton, prawda?

Następnie zapytał, czy nie podpisałaby książki jego żonie, która uwielbiają do szaleństwa, i czy żona mogłaby się do niej zgłosić. Suzy podała swój adres, a policjant podziękował jej i uchylił czapki. Odjechaliśmy. Jakiś kilometr dalej wyjąłem papierosy i próbowałem zapalić jednego, ale moje bezwładne dłonie trzęsły się jak galareta.

Żadne z nas nie odzywało się ani słowem, aż wreszcie dotarliśmy do plaży i Suzy zaparkowała samochód przy pomostach do kanału portowego.

— Teraz już wiem, dlaczego każdy zbieg po jakimś czasie fiksuje i daje się złapać — orzekła.

Pokiwałem głową. — Żaden nie wytrzyma tylu takich akcji.

Robiło się coraz cieplej. Niebieska woda iskrzyła się wraz z lekkim powiewem nadmorskiej bryzy. Kanałem wypływał tankowiec, sunąc na pełne morze. Widziałem ludzi na mostku, którzy wyprowadzali go w rejs, i zrobiło mi się słabo. Już nigdy mnie tam nie będzie. W końcu i tak mnie dopadną. Dziś, jutro, któregoś dnia... I resztę życia spędzę w celi.

Suzy też zamilkła.

— O czym tak rozmyślasz? — zagadnąłem.

— O Shiloh — odparła.

— To znaczy, o bitwie czy o tej firmie handlującej obrabiarkami?

— Chyba o każdej z nich po trochu. No i o zbiegach. O tym, jak to jest być zbiegiem... — Zaczęła w roztargnieniu szukać w torebce papierosa. Podałem jej ogień.

— Weźmy, na przykład, takiego żołnierza armii Północy — ciągnęła. — Załóżmy, że wzięto go do niewoli po odcięciu dywizji generała Prentissa i odesłano na tyły, a on dał drapakę za linie Konfederatów po działaniach Bragga w celu zabezpieczenia zaplecza... I tak został ranny na terytorium wroga... — Tu głos jej się urwał i zapatrzyła się gdzieś w dal, nad wodą.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z tą firmą?

— Właściwie to nic. — Po chwili zerknęła na zegarek. — No, ale na nas już czas, skoro mamy wrócić na przerwę na kawę.

— Teraz już sam się tym zajmę — oświadczyłem. — A ty mnie tylko podwieź i wracaj do mieszkania.

Wysadziła mnie trzy przecznice dalej i ruszyłem z wolna po rozświetlonej słońcem Denton Street. Był kwadrans po dziesiątej. Kiedy doszedłem do kawiarni U George'a, z bramy firmy Comet po drugiej stronie ulicy wyszły dwie dziewczyny. Jedna miała brązowe włosy, druga była blondynką. Otworzyłem siatkowane drzwi i wszedłem do środka.

Prostopadle do drzwi stał długi bar, a na prawo dziesięć czy dwaście boksów. Przeszedłem na sam koniec lokalu i usiadłem twarzą do wejścia. Przy barze siedziało dwóch mężczyzn i dziewczyna, zauważyłem też parę osób w boksach, ale na razie się im nie przyglądałem. Położyłem teczkę na blacie, nacisnąłem jej zamek i wyjąłem jeden z listów, które Suzy stworzyła dla mnie na maszynie.

Podeszła kelnerka. — Słucham pana? Co podać?

Podniosłem wzrok. — A tak, poproszę o kawę. I jedną słodką bułkę.

— Już przynoszę. — Nalała kawę i postawiła przede mną, a bułkę położyła na talerzu. Upiłem łyk kawy, odsunąłem filiżankę 'na bok i otworzyłem list, a przy okazji niby od niechcienia rozejrzałem się po lokalu. Dziewczyna przy barze była ciemną blondynką. W jednym z boksów siedziały dwie młode kobiety, a w innym jakaś dziewczyna z mężczyzną, ale żadna bynajmniej nie odpowiadała opisowi, jaki podał mi Red. Zdjąłem nakrętkę z pióra i zacząłem coś notować na dole kartki z listem. Dwie dziewczyny z firmy Comet weszły do środka. Po jakichś pięciu czy dziesięciu minutach zaczęło się robić tłoczno. Zjadłem trochę bułki, możliwie najdłużej sącząc kawę, po czym zamówiłem następną.

Wchodziły po dwie i po trzy, przeważnie młode dziewczęta, rozgadane i roześmiane. Ze swojego miejsca mogłem ukradkiem obserwować wejście. Spojrzałem na zegarek. Było pięć po wpół do jedenastej. Cała ta akcja to wydumana bzdura, pomyślałem. Siatkowane drzwi otworzyły się ponownie. Podniosłem wzrok i spojrzałem prosto na nią.

Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Ani do tego, że Red ma naprawdę niezłe oko. Była w towarzystwie dwóch innych dziewcząt, na które nikt pewnie nawet nie zwróciłby uwagi, chyba że wyskoczyłyby z ubrań albo przefarbowały się na fioletowo. Usiadły w boksie przy drzwiach i zamówiły kawę, a ja wciąż notowałem coś na odwrocie listu, starannie maskując swoje ożywienie.

Po chwili znowu zerknąłem w jej stronę. Siedziała sama po jednej stronie stolika, naprzeciw tamtych dwóch, ukazując mi lewy profil. Nie nosiła obrączki. Miała na sobie brązową, dopasowaną garsonkę, białą bluzkę, cienkie pończochy i szpilki — te ostatnie ze skóry aligatora, podobnie jak jej wielka torba. Kruczoczarne włosy o podwiniętych końcówkach opadały jej na ramiona. Miała jakieś metr sześćdziesiąt pięć czy siedem wzrostu, co najwyżej dwadzieścia pięć lat i figurę jak marzenie. Jej cera była lekko śniada, a wargi pełne i pomalowane na oszałamiający odcień czerwieni. Kiedy odwróciła głowę, rozglądając się wokół, musnęła mnie wzrokiem.

Zauważyła, że na nią patrzę, ale to nic. Dziwić by się mogła jedynie wtedy, gdyby jakiś mężczyzna nie zawiesił na niej oka. Oczy miała ciemnobrązowe i było w nich widać tłące się iskierki południowego temperamentu. Nie zwracała na mnie uwagi. Przestałem na nią patrzeć i wróciłem do swoich notatek, a po jakichś dziesięciu minutach dziewczęta zapłaciły i wyszły.

Schowałem papiery do teczki, zapaliłem papierosa i wyszedłem leniwym krokiem. Dziewczyny skręciły w lewo i szły chodnikiem po mojej stronie, jakieś pół przecznicy przede mną. Zdażyły już minąć bramę zakładu instalacji wodno-kanalizacyjnych, po czym zatrzymały się na rogu na światłach i przeszły na drugą stronę Denton Street. Skierowałem się powoli do rogu ulicy. Dziewczyny przeszły przez skrzyżowanie i w połowie następnej przecznicy skręciły. Była tam brama firmy Shiloh.

TOKARKI I FREZARKI, informował napis na tablicy. Fabryka ogrodzona była metalową siatką i zajmowała prawie całą posesję. Z przodu, zaraz przy wejściu, mieściło się biuro, a za nim jakiś większy budynek z ciemnoczerwonej cegły. Ruszyłem naprzód ulicą. Dwie przecznice dalej natknąłem się na pub. W środku był automat telefoniczny. Zadzwoiłem do Suzy.

— Mam ją — oznajmiłem, podniecony. — Pracuje w Shiloh.

— To świetnie — odparła. — Mam po ciebie podjechać?

— Nie. Teraz trzeba wywęszyć, gdzie ona mieszka. Po południu spróbuję ją wyśledzić...

— Jest dopiero jedenasta. Masz jeszcze sześć godzin.

— Wiem — odparłem. — Ale bezpieczniej będzie przeczekać w kinie.

Wsiadłem do autobusu i pojechałem do centrum. W gęstym tłumie idących na zakupy ludzi nie czułem się już taki obnażony i bezbronny. Parę razy mijalem funkcjonariuszy w mundurach i po jakimś czasie przestałem kulić się na ich widok. Kina były już otwarte. Zdecydowałem się na jakiś podwójny seans i wszedłem do środka.

O wpół do piątej wyszedłem, kupiłem popołudniową prasę i wsiadłem do autobusu jadącego na Denton Street. Rozłożyłem gazetę. „Marynarz poszukiwany w związku z zabójstwem policjanta wciąż na wolności” — widniał nagłówek na pierwszej stronie. Zacytowano porucznika Brannana z wydziału zabójstw, który twierdził, że ktoś z pewnością mnie ukrywa.

Ktokolwiek zna miejsce pobytu Foleya i nie ujawnia tych informacji, ponosi winę za ukrywanie zbiega, mówił. A to poważne przestępstwo.

Na następnym przystanku dosiadł się do mnie jakiś mężczyzna. Patrzyłem w gazetę, czując, że tamten czyta razem ze mną. — Ładne mi gliny — zagadnął. — Żeby cała policja w mieście nie mogła schwycić jednego głupiego marynarza.

— Może wyjechał z miasta — zauważyłem.

— Akurat. Pewnie snuje się gdzieś tu po ulicy. A co dopiero, gdyby mieli do czynienia z rasowym gangsterem?

— Pojęcia nie mam — mruknąłem. Chciałem, żeby się zamknął. Przewróciłem stronicę na historyjki obrazkowe, żeby sobie poczytał. Chyba ani razu na mnie nie spojrział. Wysiadłem z autobusu przy firmie Comet i przeszedłem na drugą stronę Denton Street. Była za pięć piąta.

Za ogrodzeniem znajdował się parking firmy Shiloh i naliczyłem tam jakieś trzydzieści samochodów. Skoro dziś rano nie widzieliśmy dziewczyny wśród wysiadających z autobusu, to niewykluczone, że do pracy jeździła autem. Jeśli tak, to miałem pecha, ale mogłem przynajmniej namierzyć jej samochód, a Suzy wyśledziłaby go naza-

jutrz. O piątej zawyła syrena i ludzie zaczęli tłumnie opuszczać fabrykę, ale nie było widać nikogo z administracji.

Wyszli dopiero o wpół do szóstej. Część ruszyła na parking do samochodów. Po chwili zobaczyłem ją. Szła chodnikiem. Miała na sobie lekki płaszczyk z materiału i tę swoją wielką torbę ze skóry aligatora. Dotarła do rogu, zatrzymała się na światłach, po czym przeszła na drugą stronę. Kierowała się na przystanek autobusowy przed kawiarnią.

Ruszyłem za nią. Na przystanku czekało pięć czy sześć osób i właśnie nadjeżdżał autobus. Był już dość zatłoczony, ale zatrzymał się przy krawężniku i drzwi się otworzyły. Dziewczyna wsiadła. Stałem na końcu kolejki, ale kierowca zawołał, żeby się posunąć i wtedy zdołałem przepchnąć się do środka.

Stała w przejściu, tuż przede mną, trzymając się poręczy. Widząc, że w tyle jest więcej miejsca, precyzyjnie przycisnąłem się obok niej i przez tłum stojących pasażerów. Nawet się nie obejrzała. Ruszyłem do tyłu. Stamtąd bez trudu widziałem jej ciemnowłosą głowę.

Autobus wyjechał z centrum i dziewczyna niespodziewanie wysiadła. Zeskoczyłem ze schodków w chwili, gdy kierowca zamykał już drzwi, i dogoniłem ją w spieszącym chodnikiem tłumie.

Od strony Second Avenue weszła do Waldmana, największego domu towarowego w mieście. Była już prawie szósta i zapalono uliczne latarnie. W środku dogoniłem ją i trzymałem się w pobliżu, idąc za nią w tłoku. Pomyślałem sobie, że zawodowcy pewnie krzywo patrzyliby na moje prymitywne metody śledzenia, ale póki co, dziewczyna się nie rozglądała i wszystko było w porządku. Wjechała ruchomymi schodami na pierwsze piętro i zatrzymała się przy stoisku pończoszniczym. Poszedłem za nią do sąsiedniego przejścia między półkami i udawałem, że oglądam perfumy. Ona tymczasem kupowała parę cienkich pończoch. Podała chyba sprzedawczyni dane do rachunku rozliczeniowego. Ta wydrukowała paragon i zapakowała pończochy do małej torebki.

Dziewczyna przeszła na drugi koniec korytarza i zniknęła w damskiej toalecie. Wybrałem miejsce, skąd mogłem dyskretnie obserwować drzwi toalety. Stało tam krzesło i popielniczka. Zapaliłem papierosa. Minęło jakieś dziesięć minut i zacząłem się niepokoić. Może było tam jakieś inne wyjście; pewnie zauważyła, że ją śledzę,

i chciała mi się wymknąć. Kiedy już prawie straciłem nadzieję wyszła z toalety. Zjechała schodami z powrotem na parter i wyszła od strony Butler Street. Było już wpół do siódmej i zrobiło się ciemno ale na ulicach wciąż panował ruch.

Nai następnej przecznicy zatrzymała się przy kiosku z prasą kupiła jakieś czasopismo, po czym weszła do restauracji na rogu. Z obu stron były wielkie szyby i nie musiałem wchodzić do środka żeby ją widzieć. Zamówiła kanapkę i kawę i wlepiała wzrok w czasopismo. Na rogu, gdzie stałem, był przystanek autobusowy. Po jakichś dwudziestu minutach zapłaciła i wyszła. Wycofałem się, a ona zatrzymała się na przystanku przy krawężniku, w miejscu, gdzie przedtem stałem. Westchnąłem. Może nareszcie pojedzie do domu.

Wsiadła do autobusu numer 7, jadącego do Montlake, a za nią dwoje innych pasażerów i na końcu ja. Znalazła wolne siedzenie otworzyła czasopismo i nawet nie spojrzała, kiedy przeszedłem obok mej. Udałem się na sam tył i też usiadłem.

Rozłożyłem gazetę, udając, że czytam, z pochyloną głową. Autobus skręcił na północ, w nadzwyczaj ruchliwą drogę. Minęliśmy dzielnicę apartamentowców. Kilkoro pasażerów wysiadło ale dziewczyna wciąż siedziała, zaczytana. Po chwili autobus skręcił w spokojniejszą ulicę i znaleźliśmy się na ogromnym osiedlu. Na każdym przystanku wysiadały jedna lub dwie osoby, aż w końcu w autobusie zostało nas pięcioro. Dziwiłem się, dlaczego dziewczyna mieszka tak daleko; byliśmy już kilka kilometrów za miastem. Wreszcie schowała czasopismo i zaczęła obserwować przystanki.

— Stevens - zawołał kierowca. Dziewczyna zabrała swoje rzeczy i skierowała się do tylnych drzwi. Kiedy autobus zatrzymał się wysiadła. Drzwi się prawie zamknęły, gdy zerknąłem szybko znad gazety.

— To już Stevens? — spytałem.

— Tak — odparł kierowca.

Chwyciłem teczkę i wysiadłem, a autobus odjechał.

Wyjąłem papierosa, stanąłem na rogu i zapaliłem. Była to podupadła dzielnica starych budynków. Na skos, po drugiej stronie skrzyżowania jakaś stacja benzynowa raziała w oczy oazą światła, ale na ulicy było niewiele aut. Dziewczyna przeszła przez skrzyżowanie i skręciła w prawo, naprzeciw stacji benzynowej, po czym ruszyła

chodnikiem pod drzewami na drugim końcu ulicy. Nie zauważyłem wprawdzie, żeby się oglądała; miałem tylko nadzieję, że mieszka gdzieś niedaleko. Na tym opustoszałym odludziu z pewnością zaraz by mnie dostrzegła. Gdy oddaliła się o jakieś pół przecznicy, przeszedłem na drugą stronę i ruszyłem w krok za nią.

Pod drzewami panował mrok; latarnie stały tylko przy skrzyżowaniach. Dziewczyna znów przeszła na drugą stronę ulicy i dalej szła prosto przed siebie. Jak na wczesne godziny wieczorne było bardzo cicho i słyszałem stukot jej obcasów o chodnik. Wokół było coraz mniej budynków. Jakiś samochód przejechał obok, omiatając nas reflektorami, ale dziewczyna nawet się nie obejrzała.

Przy trzeciej przecznicy nie było już żadnych domów. Był tam jakiś plac zabaw czy park, ogrodzony wysokim, drucianym płotem. Rosnące wzdłuż krawężnika drzewa eukaliptusowe rzucały na chodnik głęboki cień. Po drugiej stronie ulicy stał ciemny budynek, na oko jakaś szkoła. Dziewczyna wciąż szła w niezmiennym, spokojnym tempie jakieś pięćdziesiąt metrów przede mną. Gdzieś pośrodku przecznicy wypatrzyłem ciemny kształt jakiegoś samochodu, zaparkowanego przy krawężniku. Dziewczyna minęła go. Nagle zwątpiłem i zeszywniałem, ale było już za późno. Zza drzewa wysunął się czyjś ogromny cień, zatrzymując się na wprost mnie. Chciałem uskoczyć w bok, ale gdzieś z bliska wypaliła spluwa i maleńki języczek ognia musnął rękaw mojego płaszcza.

Poczułem cios pod żebrami, jakby ktoś walnął mnie w brzuch kijem baseballowym. Zachwiałem się do tyłu, zatoczyłem, a wtedy kolana ugięły się pode mną i upadłem. Usiłowałem krzyczeć, ale nie mogłem nawet złapać tchu. Twarz dotykała zimnego chodnika, czułem jego szorstkość na brodzie i policzku, otwierając i zamykając usta w pustych, bezdźwięcznych spazmach, zupełnie jakbym próbował gryźć i połykać powietrze. Słyszałem, jak dziewczyna biegnie, stukając obcasami, była coraz bliżej. Zachręściły buty, kiedy mężczyzna podszedł dwa kroki bliżej i przykucnął nade mną. Jego dłoń dotknęła mojego ramienia i zaczęła się przesuwać po mojej piersi.

Dziewczyna podbiegła. — Pospiesz się! — wysapała. — Co ty tam robisz? Spadajmy stąd.

— Dostał tylko w brzuch. Chcesz, żeby zaczął śpiewać, jak go znajdą?

Dłoń poruszyła się znowu i złapała mnie za gardło. Mężczyzna coś mruknął. Z zimną krwią próbował wymacać moją głowę, żeby przystawić do niej lufę. Mój tułów zdrętwiał, jakby przecięto go na pół, ale już po chwili złapałem oddech. Chwyciłem jego dłoń i szarpnąłem. Zwalił się prosto na mnie jak raniony koń. Spluwa wypaliła. Usłyszałem, jak z brzękiem upadła na chodnik i po chwili potoczyła się, jakby trącona machnięciem kończyny. Mężczyzna zamierzył się na mnie i słyszałem, jak jego pięść uderza w beton. Wciągnął gwałtownie oddech i zaklął.

— Szukaj tej cholерnej spluwy! — warknął.

Był silny jak goryl i gdyby tylko zdołał mnie przytrzymać, to przełamałby mnie na pół, ale rzucałem się jak opętany. Powaliliśmy się na ziemię i dalej się szamotaliśmy.

— Nie widzę jej — krzyknęła dziewczyna. — Nie wiem nawet, gdzie upadła...

— To wyjmij mi chociaż z kieszeni nóż! Sam nie dam rady teraz po niego sięgnąć...

— Nie mamy czasu. Ktoś idzie zza rogu.

Wyswobodziłem się na chwilę z jego chwytu, usiłując zerwać się na nogi, ale wielka dłoń chwyciła mnie za szyję i pchnęła do tyłu. Uderzyłem głową o chodnik tak, że zobaczyłem gwiazdy. Byłem na wpół przytomny i bezradny. Poczułem, jak ktoś podnosi mnie i ciągnie, wlokąc moje bezwładne nogi po ziemi.

— Otwórz drzwi — nakazał czyjś głos. Opadłem na plecy. Ktoś podkurczył mi nogi i zatrzasnął drzwi samochodu. Musiałem na chwilę stracić przytomność, bo obudził mnie przenikliwy pisk opon na zakręcie.

Było mi niedobrze i ciągle miałem wrażenie, że rozcięto mnie na pół. Uświadomiłem sobie jak przez mgłę, że leżę na podłodze pod tylnymi siedzeniami auta, a z przodu siedzą oni.

— Uważaj na niego — rzucił mężczyzna. — Jak tylko oprzytomnieje, zawołaj ahoj.

Dziwnym trafem jakoś nie czułem już bólu. Postrzał w brzuch był trochę jak zadyszka w czasie gry w piłkę nożną. Pewnie zaraz znowu się zacznie. Chyba że dokończą swój plan, jak tylko znajdą jakieś miejsce na postój. Przypomniałem sobie o nożu i poczułem, jak wzbierają we mnie mdłości.

— Chryste Panie, jak mogłeś go nie trafić? — dziwiła się.

— No coś ty, do cholery! Przecież ściałem go z nóg.

Zrobiła gwałtowny wdech. — Trafiłeś w teczkę! Mówiłam ci przecież, że trzymają pod pachą.

— O rany! — Znowu weszliśmy w zakręt. — No to proszę bardzo! Sama weź... — Usłyszałem metaliczny brzęk otwieranego sprężynowego noża. — Dosięgniesz go. Wbijasz pod gardło i tniesz...

— Tu, w samochodzie?

— No a gdzie, kretynko. Przecież się tu nie zatrzymamy.

— Będziesz musiał zrobić to sam. Zaczyna mnie już od tego mdlić.

— Rany, ale z ciebie cykor...!

— Nic nie poradzę! — krzyknęła. — Za długo to trwa.

— No dobrze już, dobrze. W takim razie miej go na oku, a ja rozejrzę się za jakimś ciemnym zaułkiem.

Powoli zacząłem odzyskiwać czucie i jasność umysłu. Leżałem na czymś twardym, co wpijało mi się w biodro. Przesuwając bardzo delikatnie dłońią, sięgnąłem w dół, żeby to wymacać. W dotyku wydawało się znajome, gładki kawałek drewna o jednej końcówce zwężonej w ostry czubek, a drugiej masywniejszej i zaokrąglonej. Zmacałem palcami ostrą końcówkę. Dziewczyna prawdopodobnie obserwowała mnie znad swojego oparcia, ale przy podłodze było tak ciemno, że nie widziała nic poza moją twarzą.

Teraz albo nigdy. Gwałtownym ruchem wyprostowałem się i wślizgnąłem na siedzenie. Dziewczyna krzyknęła coś ostrzegawczo, usiłując dosięgnąć mnie nożem, ale nie zważałem na nią, tylko z całej siły zamachnąłem się marspiklem na głowę tamtego. Zbyt lekko, żeby poważnie go uszkodzić, a mimo to jęknął i wcisnął hamulec. Uderzyłem też dziewczynę w ramię i nóż wypadł jej z dłoni. Klęcząc na przednim siedzeniu, wciąż usiłowała mnie chwycić i wydostać się jednocześnie z samochodu. Mężczyzna zwolnił hamulec, auto ruszyło naprzód, a po chwili stanęło. Zamierzyłem się szerokim ruchem, chwyciłem ją wpół i pchnąłem na niego i na kierownicę. Odezwał się ciągły dźwięk klaksonu. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że wokół pała się latarnie. Na przednim siedzeniu, tuż pod jej wierzgającymi nogami w jedwabnych pończochach, stała wielka torba ze skóry aligatora. Pochwyciłem ją, raz jeszcze pchnąłem dziewczynę na mężczyznę

i wyskoczyłem z auta. Zapiszczały hamulce, ktoś zaklął na mnie męskim głosem. Odbiłem się od jakiegoś zderzaka i mną zachwiało, ale nie upadłem. Zatoczyłem się tylko na bok, wymachując torbą dla utrzymania równowagi.

Byłem w samym centrum dzielnicy biznesu. Przede mną błyskały barwne neony jakiegoś kina, po drugiej stronie ulicy stała duża apteka. Samochody hamowały, trąbiąc klaksonami. Wbiegłem na chodnik.

Ktoś krzyknął: — Złodziej! — Jakiś mężczyzna wyskoczył z auta, żeby przeciąć mi drogę, ale go wyminąłem. Dwóch innych rzuciło się w pogoń za mną. — Policja! Wezwać policję! — wołała jakaś kobieta. Tuż na wprost, na rogu, była stacja benzynowa, z której wybiegli na ulicę dwaj mężczyźni w białych fartuchach, próbując mnie zatrzymać. I tak tę drogę miałem już odciętą. Na samym środku jezdni zrobiłem w tył zwrot i pogałem w przeciwnym kierunku, przeciskając się między samochodami. Udało mi się wbiec na chodnik za apteką. Jakiś człowiek chciał mnie pochwycić, ale zamachnąłem się i powaliłem go na ziemię. Na rogu usłyszałem gdzieś w tyle wycie syreny. Goniło mnie już ze sześć osób. Skręciłem za róg i przebiegłem jedną przecnicę, oddalając się od tamtych. Znalazłem się na jakimś słabo oświetlonym osiedlu, gdzie znowu mogłem zaszyć się pod drzewami. Przeszedłem przez kolejne skrzyżowanie i pobiegłem dalej. Ci, co gonili mnie pieszo, dali sobie spokój, ale syrena wciąż wyła i kiedy odwróciłem głowę, zobaczyłem reflektory. W połowie przecznicy dostrzegłem jakąś alejkę i od razu w nią czmychnąłem. Radiowóz przejechał. W głębi alejki stała brama prowadząca na tylne podwórze jakiegoś domu. Wślizgnąłem się przez nią z nadzieją, że nie ma tam żadnego psa, ale póki co, nic mnie nie zaatakowało. Pchnięciem zamknąłem bramę i zaszyłem się w gęstym cieniu pod kępką oleandrów. Od strony dzielnicy biznesu usłyszałem dźwięk innej syreny.

W domu paliły się światła, a w oknie wychodzącym na tylne podwórze wisiały zasłony, przez które widać było poruszające się sylwetki lokatorów. Z trudem łapałem oddech, a bok i brzuch bolały mnie jak zbite maczugami. Zgubiłem gdzieś kapelusz i teczkę, ale miałem przynajmniej tę torbę z aligatora, którą kurczowo ścisakałem pod pachą. Po paru minutach powoli złapałem oddech. Wymacałem swój bok tuż pod żebrami i skrzywiłem się.

Mniej więcej w tym miejscu pod ramieniem trzymałem wcześniej teczkę. Był w niej *New Yorker* i egzemplarz *Fortune*. Kula musiała trafić w nie pod lekkim kątem, a one zatrzymały ją i dzięki temu nie przebiła się głębiej, choć i tak przyjąłem na siebie całą siłę uderzenia. Nic dziwnego, że mną zachwiało i upadłem.

Światła z tyłu domu zgasły i gdzieś z wewnątrz dochodziła mnie muzyka. Odgłosy pościgu ucichły, ale żeby zaryzykować i wrócić na ulicę, musiałem się jakoś pozbyć tej torby. Była tak wielka, że nie dało się jej ukryć. Otworzyłem ją, przykląknęłam w cieniu oleandrów i pstryknąłem zapalniczkę, osłaniając płomień całym sobą. Kiedy otworzyłem portfel, jako pierwsze rzuciło mi się w oczy prawo jazdy. Wyjąłem je, a portfel wrzuciłem z powrotem do torby. Francés Celaya, wydrukowane było na dokumencie. Randall Street 2712 m. 203. Na samym dnie, wraz z rozsypanymi wsuwkami do włosów, szminką, lusterkiem i grzebieniem, leżał klucz. A więc miałem to, co chciałem, choć o mały włos nie przyjąłem za to kulki. Wsunąłem prawo jazdy i klucz do kieszeni płaszcza i cisnąłem torbę daleko w krzewy oleandrów. Bezpieczniej byłoby zaczekać tu jeszcze z pół godziny, ale nie miałem czasu do stracenia. Wyślizgnąłem się przez bramę i ruszyłem alejką. Kiedy wyszedłem na następną ulicę, było już spokojnie. Pięć czy sześć przecznic dalej zacząłem oddychać swobodniej. Pewnie policja potraktowała tę sprawę jak zwyczajną uliczną kradzież; gdyby rozpoznali mnie z rysopisu, w całej okolicy już dawno roiłoby się od radiowozów. Bez kapelusza nie mogłem już bezpiecznie poruszać się po otwartym terenie. Musiałem poszukać budki telefonicznej. Szedłem dalej cichymi ulicami osiedla. Dziesięć czy piętnaście minut później, jakieś cztery czy pięć przecznic za skrzyżowaniem dostrzegłem sygnalizator świetlny i ruszyłem w tamtym kierunku.

Ulica nazywała się Octavia, a ja byłem przy numerze 700. Zaraz za rogiem znajdowało się niewielkie centrum handlowe; zauważyłem, że supermarket, piekarnia i apteka są jeszcze otwarte. W zasięgu wzroku nie było żadnych radiowozów. Wemknąłem się do apteki, czując się wyeksponowany w blasku światła, jednak nikt na mnie nie zważał. Były tam dwie budki telefoniczne. Wszedłem do jednej z nich i wybrałem numer do mieszkania Suzy. Odebrała po pierwszym sygnale.

— Gdzie jesteś? — spytała od razu. — Wszystko w porządku?

— Na razie tak — odparłem. — Miałem tylko mały problem, no i zgubiłem kapelusz. Odbierzesz mnie?

— Już jadę. Gdzie jesteś?

Wyjaśniłem jej. — Zaparkuj tylko przy supermarkecie, a ja dojdę do ciebie i wsiądę.

— Chyba wiem, gdzie jest Octavia. Będę za jakieś dwadzieścia minut. Do tego czasu spróbuj nie rzucać się w oczy.

— Jasne — zapewniłem. I rozłączyła się. Wtedy wrzuciłem jeszcze jedną monetę i wybrałem numer aparatu w barze Sidelines. Odebrał jakiś mężczyzna.

— Zastałem Reda?

— Chwileczkę.

Czekałem. Po chwili ktoś wziął słuchawkę i usłyszałem odgłos zamykanych drzwi. — Red? — spytałem cicho.

— Taa. Co u ciebie, chłopie?

— Cały czas w biegu — rzuciłem. — Posłuchaj... Możesz mieć kłopoty. Uważaj na siebie i nie włócz się po ciemnych uliczkach.

— A o co chodzi?

— Ta dziewczyna, o której mi mówiłeś... to podejrzana i groźna sztuka. Namierzyłem ją, chciałem wyśledzić i dowiedzieć się, kim jest i gdzie mieszka, a ona pomieszała mi szyki, i to jak. A do tego jej facet to straszny brutal. Dziewczyna może się pokapować, że to ty mnie na nią nasłałeś, a wtedy lepiej zarygluj drzwi i zaszyj się pod łóżkiem.

— Dzięki za dobrą radę. A co ty kombinujesz?

— Wybiorę się do niej. Mam już jej nazwisko i adres.

— Nie, poczekaj... a gdybyś wynajął adwokata i zgłosił się na policję? Umówię cię z Wittnerem. Jest najlepszy w całym stanie.

— Wykluczone — uciałem. — Nie ma najmniejszego dowodu na to, że cokolwiek łączyło tę dziewczynę ze Stedmanem. Nie wiem, kim jest jej facet, i możesz mi wierzyć, że nie uda im się z niej tego wyciągnąć...

— A jednak musiała cię widzieć w mieszkaniu Stedmana, skoro cię rozpoznała.

— Jasne, tylko stamtąd mogła mnie znać. Ale tego jej nie udowodnimy, jak zresztą niczego innego, a przynajmniej na razie. Mam za to klucz do jej mieszkania i chcę się przekonać, co tam znajdę.

— W takim razie uważaj na siebie, jasne?

Rozłączyłem się i spojrzałem na zegarek. Była za pięć dziewiąta; upłynie jeszcze co najmniej piętnaście minut, zanim Suzy tu dotrze, a budka telefoniczna to dobre miejsce na to, żeby nie rzucać się w oczy. Wyszperałem kolejną monetę z dwudziestu dziesięciocentówek, które Suzy dała mi rano.

Odnalazłem numer Związku Marynarzy, wybrałem i połączyłem się z centralą. — Szukam człowieka nazwiskiem Bullard — oznajmiłem.

— Mógłby pan zajrzeć, czy jest teraz na łądzie?

— A imię? — spytał mężczyzna z centrali.

— Tu mnie pan zagiął — przyznałem. — Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, czy on w ogóle należy do związku i czy nadal wypływa w morze. W każdym razie to potężny facet o sylwetce jak kabestan. Jeśli jeszcze pływa, to pewnie jako pokładowy.

— Hm, już sprawdzam... niestety, w tej chwili na łądzie nie ma żadnego Bullarda, ale jest paru członków o takim nazwisku. Dwóch znam osobiście. Johnny i Kulawy Raymond. Ten drugi ma kłopoty z kolanem, to z czasów drugiej wojny światowej...

— A Johnny? — zagadnąłem.

— To młody chłopak, ma jakieś dwadzieścia pięć lat. Służy jako starszy marynarz. Aktualnie na morzu. W zeszłym tygodniu wysłaliśmy go na *Victory* do Rio i Buenos.

— Nie, nie — mruknąłem. — Ten, którego szukam, parę lat temu wpakował się w kłopoty podczas jakiegoś strajku...

— Już wiem, ten drań i łajdak. Posłuchaj no, przyjacielu, on nie jest członkiem naszego związku i nigdy nim nie był. Ale coś panu powiem: jeśli kiedykolwiek się tu przypaleta, to może pan śmiało go dorwać. Tylko proszę przynieść ze sobą nakaz aresztowania.

— To może wie pan, gdzie on teraz jest?

— A po co to panu?

— Załóżmy, że chciałbym się z nim skontaktować. I że przygotowałem już ten nakaz. No więc co pan o nim wie?

— Nazywa się Ryan Bullard. Poza tym, że to padalec, szuja, łamistrąjk, kanalia i chamidło, to pewnie uroczy facet... Aha, i z tego, co wiem, siedział kiedyś w pace. Zatłukł marynarza na śmierć kijem baseballowym.

— A kiedy to było? — dociekałem.

— Jakieś pięć lat temu, podczas strajku przewoźników. Bullard miał go rozbić, no i ukatrupił jednego z pikietujących. Aresztowali go i oskarżyli o morderstwo, ale przed procesem obaj świadkowie zniknęli, a po jakimś czasie jednego z nich znaleziono w zatoce.

— Czyli zabójstwo?

— Na to wygląda. No chyba że poszedł sobie popływać ze skrzynią biegów od forda uwiązaną u nogi. A wracając do Bullarda: z początku ława przysięgłych nie wydała werdyktu, a potem facet zwiął. Od lat nikt go tu nie widział. Zaraz po procesie wypłynął jakaś łajbą pod panamską banderą. Słyszałem, zdaje się, jakiś czas temu, że jest na odsiadce w kubańskim kiciu za to, że naprał któregoś z osiłków Batisty. Chodziły słuchy, że łowił krewetki gdzieś na wybrzeżu Pensacoli czy Tampy. Zresztą sam nie wiem; ludzie różnie gadają.

— Jasne, wielkie dzięki — rzuciłem.

A więc trafiliśmy jak kulą w płot, pomyślałem. Bo jak tu doszukać się związku między Frances Celayą a Ryanem Bullardem i Stedmanem? Bullard zniknął dawno temu, Frances Celaya pracuje w fabryce obrabiarek, a Stedman był funkcjonariuszem policji, który żył w przekonaniu, że żadna kobieta mu się nie oprze. Pokręciłem głową i wyszedłem z budki. W brzuchu i żebrach czułem taki ból, jakby przejechał po mnie czołg.

Nie było sensu tak stać. Przechadzałem się po osiedlowych ulicach przez jakieś dziesięć minut, a gdy wróciłem na miejsce, niebieski oldsmobile właśnie wjeżdżał na parking. Suzy miała na sobie szare futro z wywiniętym na szyję kołnierzem. Pocałowałem ją, a ona przytuliła się do mnie na chwilę.

— Bałam się — przyznała. — Co się z tobą działo?

— Opowiem ci po drodze — odparłem. — Wiesz może, jak dojechać na Randall Street dwa tysiące siedemset?

— Randall? Owszem. To gdzieś w okolicy centrum. A czemu pytasz?

— To w drogę — rzuciłem. — Tam mieszka nasza brunetka. Chcę jej złożyć wizytę.

Skręciła z Octavii w drogę szybkiego ruchu, prowadzącą do centrum. Opowiedziałem jej, co mi się przydarzyło.

— Rany boskie — jęknęła, przerażona. — W życiu nie słyszałam czegoś tak strasznego i okrutnego. Nie możesz tam jechać...

— Muszę — upierałem się. — Może się czegoś o niej dowiem. Na pewno jest jakiś trop, który prowadzi do Stedmana.

— Ajeśli oni tam są?

— Tak czy inaczej spróbuję. Zresztą on i tak nie ma już broni. Zatrzymała się na światłach. — Jak myślisz, dlaczego nie powiadomiła policji, skoro cię rozpoznała?

— Bo to za duże ryzyko — odparłem. — Uznała, że skoro ją śledziłem, to pewnie coś wiem. Ajeśli zwinie mnie policja, to mogę im wszystko wyśpiewać. Słuchaj, czy w toalecie u Waldmana jest jakiś telefon?

— Oczywiście.

— Bystra z niej laleczka — zauważyłem. — Uznała, że głupi marynarz się nie połapie, no i nie myliła się. Gdybym ją dojrzał przy telefonie, to zacząłbym coś podejrzewać, zwłaszcza gdy znaleźliśmy się w tej zapyziałej dzielnicy.

— A najgorsze jest to, że kiedy zaczęliście się szamotać ze Stedmanem, ona była u niego w mieszkaniu, i ty o tym wiesz...

— No, niby wiem, ale nijak nie mogę tego udowodnić.

Ruch przerzedzał się i droga zabrała nam zaledwie niecałe dwadzieścia minut. Tuż przed wjazdem do centrum Suzy skręciła z głównej drogi na Randall numer trzy tysiące sto. Ruszyliśmy w lewo. Na oko była to dzielnica niskoczynszowych kamienic. Suzy zwolniła i oto

minęliśmy numer dwa tysiące siedemset dwanaście, dwupiętrowy budynek z wyblakłej czerwonej cegły.

— Skręć zaraz za rogiem — nakazałem. — I zaparkuj przynajmniej przecznicę dalej. Jakbym wpadł w kłopoty i zjadą się tu gliny, to wiej stąd jak najszybciej.

— Tylko błagam, uważaj — rzuciła. Przecznicę dalej znaleźliśmy miejsce do zaparkowania. Ścisnąłem ją za rękę, po czym wysiadłem i cofnąłem się na Randall. Wokół kręciło się paru przechodniów, ale radiowozów nie było widać. Od frontu budynku numer 2712 prawie we wszystkich oknach paliło się światło. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i ruszyłem do holu.

Na prawo od wejścia widniał szereg przycisków, a obok nich małe plakietki z nazwiskami. Niektóre z nich były puste, jak ta z numerem 203. Nacisnąłem guzik i czekałem. Żadnej odpowiedzi. Dla pewności spróbowałem jeszcze dwa razy. W porządku, a więc nie ma jej w domu. Wyjąłem klucz, ale nie dał się wpasować do zamka. Dziwna sprawa; zwykle każdy klucz do mieszkania otwierał też drzwi budynku, żeby nie trzeba było nosić dwóch. No cóż, nieważne. Wyciągnąłem rękę i nacisnąłem kilka guzików. Zabzyczały otwierane drzwi, pchnąłem je i wszedłem do środka. Na całej długości ciągnął się główny hol, a z obu stron prowadziły na górę schody.

Pierwsze piętro miało taki sam układ. Mieszkanie numer 203 było za drugimi drzwiami po lewej stronie. Nikogo nie było widać, ale z różnych drzwi dobiegała muzyka i odgłosy z telewizji. Liczyłem na to, że każde mieszkanie ma tylne wyjście. Gdyby dziewczyna i ten jej wielki osiłek mnie tu nakryli, to byłbym trupem. Być może mieszkają tu razem. No cóż, to się okaże, jak tylko dostanę się do środka.

Wkładając klucz do zamka, usłyszałem na dole odgłos otwieranych drzwi wejściowych, a po chwili ciężkie kroki na schodach. Klucz nie pasował. Pewnie trzymałem go dołem do góry. Obróciłem go, ale wciąż nie chciał wejść. Spojrzałem na numer mieszkania. Wszystko się zgadzało: 203. Tymczasem kroki na schodach były już coraz bliżej i poczułem paniczny strach. Zaraz, może ten ktoś pójdzie wyżej. Obróciłem się lekko plecami do schodów i zapukałem do drzwi, udając, że czekam, aż ktoś mi otworzy.

Kroki rozległy się tuż za mną. — Pan kogoś szuka? — spytał męski głos.

Musiałem się odwrócić. Mężczyzna był wysoki, miał kościstą twarz, czapkę kierowcy autobusu i kurtkę z diagonalnej tkaniny. — Zdaje się, że nikogo nie zastałem — odparłem.

Obrzucił mnie lodowatym spojrzeniem. — Przecież tu jestem. Czego pan chce?

Zanim zdążyłem pomyśleć nad odpowiedzią, dostrzegłem w mojej dłoni klucz i chwycił mnie za poły płaszcza. — O, ty wredny złodziejaszku!

Szarpnąłem go za nadgarstki, odrywając jego dłonie od mojego płaszcza, i próbowałem go wyminąć, ale znowu mnie złapał. Wtedy uderzyłem go w twarz. Zachwiał się na piętach, nie tracąc równowagi. — Złodziej! — krzyknął na całe gardło. — Włamywacz! — I rzucił się na mnie, wymachując rękami tak, jakby miał ich sześć czy siedem par. Walnąłem go w brzuch. Zgiął się wpół i upadł na mnie, chwytając mnie za nogi. Padliśmy obaj na podłogę. Ludzie zaczęli otwierać drzwi i wychodzić na korytarz. Usiłowałem wstać, ale on rzucił się na mnie jak stado ogarów.

— Wezwać policję! — wydierał się. Raz jeszcze wyturlałem się spod niego, odepchnąłem jego ręce i wstałem z podłogi. Tamten próbował się podnieść. Zamachnąłem się i trafiłem go prosto w szczękę. Tym razem zwałem go z nóg. Zrobiłem w tył zwrot i popędziłem do schodów. Z mieszkania numer 201 wyskoczył jakiś mężczyzna, próbując zablokować mi drogę. Pchnąłem go wyprostowanym ramieniem i prześlizgnąłem się obok, a wtedy ktoś chwycił mnie z tyłu. Runęliśmy na podłogę. Przetoczyłem się na niego i trzasnąłem go w twarz. Tamten jęknął. Znowu zerwałem się na równe nogi, wśród chaosu, który przypominał pożar w domu wariatów, i puściłem się po schodach.

Ten, który nie zdołał mnie zablokować, gnał teraz za mną. Zatrzymałem się gwałtownie na półpiętrze, cofając się do ściany, i jak tylko mnie dogonił, wymierzyłem mu cios. Uderzył w poręcz, zatoczył się i runął ze schodów, a ja przeskoczyłem przez niego i pomknąłem do wyjścia. Lokatorzy z parteru wybiegli na korytarz i jakiś pulchny mężczyzna chciał przeciąć mi drogę.

Nie wiem, czemu nie pomyślałem o tym wcześniej. Wsunąłem dłoń do kieszeni płaszcza. — Uwaga! — krzyknąłem. — Niech wszyscy się cofną! — Pulchny facet zatrzymał się gwałtownie jak jakiś bo-

hater kreskówki,omal na mnie nie wpadając, oczy miał wielkie ze strachu. Tamten drugi, co spadł ze schodów, dał sobie spokój z dalszym pościgiem i zamarł w bezruchu. Przemknąłem bokiem do drzwi i chwyciłem za klamkę.

— Ktokolwiek się ruszy, dostanie kulkę — oznajmiłem i wyszedłem. Na ulicy było pusto i cicho, ale wiedziałem już, że to nie potrwa długo. Gdzieś w oddali usłyszałem wycie syreny. Puściłem się biegiem na drugą stronę ulicy, a potem na prawo. Co odważniejsi lokatorzy wyszli z budynku zobaczyć, którędy uciekam.

Skręciłem za róg i znalazłem się na ulicy równoległej do tej, gdzie zaparkowała Suzy. Syrena wyła jakieś pięć czy sześć przecznic za mną. Biegając, znów przyśpieszyłem kroku i przed następnym zakrętem zerknąłem za siebie. Nigdzie nie było widać radiowozu ani nikt mnie nie gonił. Skręciłem w lewo i pobiegłem ulicą równoległą do Randall w stronę samochodu Suzy. Co prawda, mogła już odjechać, a poza tym na widok policji i tak musiałbym ją wyminąć i uciekać dalej, ale może jest tam jeszcze. Dobiegłem do rogu. Oldsmobile wciąż stał na swoim miejscu.

Obejrzałem się. Z tyłu wyjeżdżał z ulicy jakiś samochód, ale bez oznakowań policyjnych. Pognałem chodnikiem i wsiałem do auta. Zdążyła już zapalić silnik i odbiliśmy od krawężnika. Z trudem łapałem oddech. Suzy o nic nie pytała. Za rogiem skręciliśmy w lewo i w szybkim tempie ruszyliśmy cichą uliczką. Przejechaliśmy dwie przecznice, a ja obserwowałem sytuację w lusterku. Za nami jechały dwa czy trzy auta, nigdzie żadnych kogutów ani syren. Suzy ponownie skręciła w lewo i gdy przejeżdżaliśmy przez Randall, rzuciłem wzrokiem na ulicę dalej. Przed apartamentowcem stał radiowóz i tłum ludzi, a zza rogu, gdzie skręciłem uciekając, wyłaniał się z piskiem opon drugi wóz policyjny. A więc mieliśmy wolną drogę. Wziąłem głębszy oddech. Zwalniając nieco, Suzy ruszyła prosto, aż do głównej drogi. Tam skręciła w lewo i tak oddalaliśmy się od centrum.

Sięgając do kieszeni po papierosy, odkryłem, że znowu zraniłem się w dłoń; miałem zdartą skórę na knykciach, które zdążyły już spuchnąć. Zapaliłem dwa papierosy, jednego podałem Suzy.

— Dzięki — rzuciłem. — Ale mogłaś nie czekać. Za wiele ryzykujesz.

— Co się stało? — dociekała.

— Nakryli mnie, jak próbowałem wejść do mieszkania. — Wyjąłem z kieszeni prawo jazdy dziewczyny i sprawdziłem: Randall Street 2712, mieszkanie 203. — Ten adres jest nieaktualny — zauważyłem, znużony. — Musiała się przeprowadzić.

— Az tyłu nie ma nowego?

— Niestety, nie — odparłem.

W jednej chwili musieliśmy oboje pomyśleć to samo, ale zerknęliśmy tylko na siebie i wzruszyliśmy ramionami bez słowa. Może to coś nielegalnego. Jak zresztą mordowanie gliniarzy.

— No i co teraz? — spytała.

— Nie wiem — odparłem. — Może powinienem dać się postrzelić jeszcze raz, żeby zdobyć ich aktualny adres.

— A w torbie nie było żadnych innych papierów? Dajmy na to, jakiegoś listu?

Zaprzeciłem ruchem głowy. — Chyba nie. Zresztą torby i tak już nie mam. Nie wiem, co mi odbiło, żeby ją zostawić w krzakach na podwórzu.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu.

— Lepiej poszukajmy telefonu — odezwał się wreszcie. — Muszę zadzwonić.

— A ode mnie nie możesz? Za dziesięć minut będziemy na miejscu.

— Wykluczone. Mogliby mnie namierzyć. Chcę zadzwonić na policję.

Odwróciła się, by na mnie spojrzeć, i pokiwała głową. — To chyba najlepsze, co do tej pory udało ci się wymyślić. Lepiej niech sami ją odszukają.

— W każdym razie warto spróbować.

Jakieś trzy kilometry dalej po prawej stronie było ogromne centrum handlowe. Na chodniku między ulicą a parkingiem stały obok siebie dwie budki telefoniczne. Suzy zatrzymała się przy krawężniku tuż obok nich. Część sklepów była jeszcze otwarta, wokół paliło się mnóstwo lamp i przechadzało się sporo ludzi, ale i tak było tam w miarę bezpiecznie. W budce przynajmniej nie rzucałem się w oczy.

Jedna była zajęta, więc wszedłem do drugiej, zamknąłem drzwi i sięgnąłem po książkę telefoniczną. Najlepiej skontaktować się z którymś z nich pod numerem domowym; może wtedy trudniej bę-

dzie wyśledzić, skąd dzwoniłem. Jak się nazywał ten porucznik z wydziału zabójstw, o którym pisali w gazecie? Brennan? Nie. Brannan — no właśnie. A poza tym lepiej na tym wyjdę, jeśli pogadam z którymś z szefów. Zacząłem szukać go w spisie. Brannanów było piętnastu czy dwudziestu, ale tylko jeden figurował jako porucznik. Wybrałem numer.

Odebrała jego żona. — Niestety, przykro mi. Jakiś czas temu wezwano go na komendę.

— Dziękuję — odparłem.

Już miałem się rozłączyć, kiedy dodała spieszenie: — Chwileczkę, bo chyba właśnie wrócił.

Czekałem. Po chwili odezwała się znowu: — Dopiero podjechał pod dom. Jeśli zechce pan jeszcze poczekać...

Podziękowałem jej i po chwili usłyszałem męski głos: — Słucham, tu Brannan. — Wydawał się jakby zmęczony.

— Mam dla pana pewną wskazówkę — odezwałem się. — Powiem panu, kto zabił Stedmana...

— Słucham? — W jego tonie zabrzmiała nuta zainteresowania. Wtedy przypomniałem sobie, że w każdym śledztwie otrzymywali setki takich wskazówek, przeważnie nic nieznaczących i zwykle od jakichś świrów. — Kto mówi?

— Nieważne — odparłem, szybko ciągnąc dalej: — Proszę tylko posłuchać. Zrobiła to pewna dziewczyna, nazywa się Frances Celaya. Pracuje w firmie obrabiarek Shiloh. Zapamiętał pan?

— Owszem — odparł znudzonym głosem. — Tylko proszę mi powiedzieć, kim pan jest. I skąd w ogóle ten pomysł.

— Moja tożsamość nie ma żadnego znaczenia — odparłem. — Ale mogę pana zapewnić, że ta dziewczyna była u Stedmana tamtego dnia wieczorem, kiedy został zabity. To typowa Latynoska, a przy tym niezły kociak. Ma jakieś dwadzieścia pięć lat i mieszkała przy Randall Street dwa tysiące siedemset dwanaście, mieszkania dwieście trzy, ale się przeprowadziła...

— Chwileczkę! — Znudzenie i zmęczenie znikły nagle, jakby w ogóle nigdy ich nie było. W jednej chwili głos mu się ożywił, nabrał energii i zawodowego tonu. — Jaki to adres?

— Randall dwa tysiące siedemset dwanaście, mieszkania dwieście trzy.

— No to szach... Tylko proszę się nie rozłączać. Pan pewnie jest Foley?

— Zgadza się, to ja. Ale niech pan nie próbuje mnie namierzyć.

— Daj pan spokój. Stąd i tak bym nie mógł. Ale coś panu powiem. Wpakował się pan w piekielną kabałę...

Westchnąłem. — Dzięki, że mnie pan uprzedził. No, to jak: chce pan posłuchać, co mam do powiedzenia? Bo jeśli nie, to się rozłączam.

— Proszę mówić. A jak już pan skończy, to przez chwilę wysłucha pan mnie. Jasne?

— Zgoda — odparłem. Zrelacjonowałem mu, jak śledziłem Frances Celayę w drodze do domu i co się wtedy wydarzyło. — A więc tamtego wieczoru musiała mnie widzieć w mieszkaniu Stedmana — skwitowałem. — I tylko dlatego mnie rozpoznała. Wiedziała, że jej szukam, no i próbowała mnie zabić.

— A widział ją pan u Stedmana?

— Nie. Nie widziałem nikogo oprócz niego samego.

— To jak pan wpadł na jej ślad?

— Tego nie mogę zdradzić — odparłem. — Chodzi o mojego przyjaciela.

— Ale ta pana historia nie ma sensu.

— Może i nie. Mówię tylko, co mi się przydarzyło. Nic a nic o niej nie wiem, pojęcia nie mam, po co chciała zabić Stedmana. Było tak ciemno, że nie umiem nawet powiedzieć panu, kim jest ten zbir ani jak wygląda. Ale dałbym głowę, że jest marynarzem albo był nim kiedyś.

— A niby dlaczego?

— Bo jak kazał dziewczynie mieć mnie na oku, powiedział, że jeśli oprzytomnieję, to ma zawołać ahoj. To typowy marynarski okrzyk, jeden z tych, co to marynarze używają na wodzie. A narzędzie, którym go uderzyłem, to był marspikiel.

— A co to takiego?

— Ciężki, drewniany szpikulec z jednym końcem ostrym, a drugim zaokrąglonym. Rozdziela się nim włókna lin. Prawdopodobnie ten facet jest takielarzem na wybrzeżu albo na małych łodziach.

— No dobra — uciął szorstko. — A teraz niech pan posłucha mojej rady, Foley. Zdaje się, że nie ma pan pojęcia, co panu grozi, więc

najlepiej będzie, jak sam to panu wyjaśnię. Od tygodnia miesza pan szyki całej policji w mieście; wygląda na to, że ma pan głupie szczęście. Poszukuje pana kilkaset ludzi. Niektórzy z nich nie byli w domu od kilku dni, jeszcze innych obsztorcowano na glans, a ja właśnie do nich należę. Wszyscy się wściekają i mają dość. Jest pan poszukiwany za zabójstwo gliniarza, a do tego jeszcze nanieśli pana na listę groźnych i uzbrojonych. Czy już do pana dotarło?

— Nie mam żadnej broni — odparłem.

— Może i nie, ale nie w tym rzecz. Lokatorom apartamentowca przy Randall Street powiedział pan co innego. Nasi ludzie nie mają innego wyjścia niż trzymać się ściśle przepisów. Uznano pana za uzbrojonego i wystarczy jeden fałszywy ruch, a zaraz pana dopadną. Proszę powiedzieć, gdzie pan jest...

Ktoś zaczął szarpać drzwiami budki.

— Chwileczkę — rzuciłem do Brannana. Drzwi otworzyły się i ukazała mi się czyjaś wielka, okrągła gęba o małych, czarnych oczkach, płaskim nosie i czarnych, przerzedzonych kosmykach wokół łysawej głowy. Emanowała z niej iście pijacka powaga.

— P-praszam, kolego — wybełkotała gęba. Zamrugowała oczkami, poruszyła się chwiejnie i wycofała. Była osadzona na potężnej, przysadzistej sylwetce osobnika w ciemnych spodniach i szarawym swetrze, pod którym nie było koszuli.

— Zaraz kończę — oznajmiłem, mając tylko nadzieję, że gość nie powali się na budkę i jej nie przewróci.

— Jest pan tam jeszcze? — spytał Brannan.

— Tak. No więc na czym stanęliśmy?

— Niech mi pan powie, gdzie pan jest. Na dźwięk syreny wyjdzie pan z rękami za głową...

Ktoś wyszedł z sąsiedniej budki i usłyszałem, jak pijany olbrzym wtoczył się chwiejnie do środka i próbował wybrać numer, mrużąc coś pod nosem. — Nic z tego — rzuciłem.

— Jak pan woli. Skoro jest pan na tyle głupi, że nie chce zrobić tego dla siebie, to proszę pomyśleć o pańskim przyjacielu. Ktoś najwyraźniej pana ukrywa. A wśród sędziów są tacy, co potrafią być wyjątkowo wredni, jeśli chodzi o ukrywanie zbiega.

— Wiem o tym — przyznałem. — Mój przyjaciel zresztą też. Ale może lepiej poświęćcie trochę waszego cennego czasu na schwytanie

prawdziwych zabójców Stedmana. Przypomnę panu jeszcze raz, proszę sobie to zapisać. Frances Celaya. C-e-l-a-y-a. Fabryka obrabiarek Shiloh, jak ta bitwa z wojny secesyjnej. — Odwiesiłem słuchawkę i wróciłem do samochodu, a po chwili włączyliśmy się do ruchu.

— No i jak, pomogło? — zagadnęła Suzy.

— Wątpię — odparłem. — Ale przynajmniej próbowaliśmy.

Wjechała na podziemny parking. — Idź pierwsza na górę — orzekłem. — W razie gdyby ktoś mnie rozpoznał, to przynajmniej nie zobaczy nas razem. Zaczekałem parę minut, po czym podszedłem do drzwi, wcisnąłem guzik domofonu i Suzy wpuściła mnie do środka. W korytarzu nikogo nie spotkałem. Zastukałem lekko do drzwi jej mieszkania, a ona otworzyła je.

Zdążyła już zrzucić futro w sypialni i miała na sobie spódnicę i sweter. Cały salon i gabinet były zawałone książkami, notesami, rozłożonymi mapami i kartkami papieru.

— Jakieś tornado tu przeszło czy co? — zagadnąłem. Pokręciła głową. — Po prostu zbieram informacje. No, ale sprawdźmy lepiej, czy nie jesteś ranny.

Przeszliśmy do sypialni. Rzuciłem płaszcz na łóżko i rozebrałem się do pasa. — Rany boskie, Rudy — jęknęła. Cały mój bok, od żeber aż po pachwinę, zsiniał na czarno. Dotknąłem go, zabolalo.

— Może by wezwać lekarza? — zaproponowała.

— Nie ma mowy. Zaraz musiałyby to zgłosić. Po mojemu to tylko stłuczenie bez żadnych wewnętrznych uszkodzeń.

— To się okaże jutro rano. Na razie połóż się w salonie, a ja przyrządę ci drinka. Zaparzę też kawy i zrobię kanapkę.

Zsunęła z sofy jakieś książki i mapy i wyciągnąłem się. Byłem padnięty, obolały i przygnębiony. Chwilę potem Suzy przyniosła mi martini, a kiedy usiadłem i wypilem je, świat od razu wyglądał jakby lepiej. Suzy postawiła przede mną kawę i talerz z kanapką na niskim stoliku, a sama usiadła z papierosem na podłodze naprzeciwko mnie.

— No więc sprawa wygląda tak — zaczęła, zamyślona. — Dziewczyna nie wróci już do pracy i prawdopodobnie wyjedzie z miasta. Wciąż nie wiemy, kim jest jej facet. To, że była u Stedmana podczas waszej bójki, jest niemal pewne; musiała cię widzieć i po twoim wyjściu załatwiła Stedmana, a potem zmyła się tylnymi schodami tuż

przed przyjazdem policji. Tyle że jeśli nawet teraz policja ją zgarnie, to i tak nie mają przeciwko niej najmniejszych dowodów, a my nie mamy bladego pojęcia, co ją pchnęło do zabójstwa Stedmana. Może zazdrość? Załóżmy, że słyszała, jak zarzucasz Stedmanowi, że dał dyla z twoją żoną...

— Wykluczone — wtrąciłem, upijając kawę. — Nie pamiętam, żebym odezwał się do niego choć jednym słowem. Po prostu mu przyłożyłem. Dziewczyna umyślnie uwiodła Stedmana w barze Reda, żeby przy najbliższej okazji go załatwić. Tylko po co tyle zachodu? No wiesz, pogrywać nim przez dobrych parę dni? Przecież ona i ten zbir łatwo mogli go kropnąć.

Suzy zaczęła bębnić palcami o stół. — I tu mamy kilka wersji. Może chciała coś od niego wyciągnąć. Albo uknuła zwyczajną zemstę? Ofiara dowiaduje się o tym na samym końcu i wie, co ją czeka; inaczej to nie byłaby zemsta. Rozumiesz, do czego zmierzam? Dziewczyna musiała doprowadzić do sytuacji, w której mogła mu o tym powiedzieć, a potem załatwić go i bezkarnie zwiać. Coś mi się zdaje, że śmierć Stedmana miała wyglądać na samobójstwo, podobnie jak to było w przypadku Purcella, ale wtedy napatoczyłeś się ty. Może i nie planowała zrobić tego akurat wtedy, tylko jakoś w najbliższej przyszłości, ale twoja obecność dała jej ku temu świetną okazję. Stałeś się kozłem ofiarnym i bajeczka o samobójstwie nie była już potrzebna.

— Niezłe z nich towarzystwo — skwitowałem. — Ciekawe, co jeszcze kombinują? Ale podoba mi się ta wersja z zemstą. To nas zaprowadzi z powrotem do Danny'ego Bullarda, no i ma jakiś związek z Purcellem. Niewykluczone, że ten facet, co był z nią dziś wieczorem, to brat Danny'ego Bullarda.

Pokiwała głową. — Jest tylko kilka zastrzeżeń. Nic nie wskazuje, a przynajmniej na razie, że dziewczyna w ogóle знаła Danny'ego Bullarda. A poza tym jakoś nie wyobrażam sobie, żeby ona i ten jej brutalny twardziel wypowiedzieli wojnę dwóm policjantom za zabicie Danny'ego. — Tu przerwała, marszcząc brwi. — Załóżmy nawet, że dziewczyna zrobiła to z wielkiej miłości, ale wersja z bratem zdecydowanie odpada. Z tego, co ludzie mówią, on nie widział się z Danny'm od lat. Może i przestępcy słusznie nienawidzą policji, ale nie sądzę, żeby w takich sprawach działali z pobudek osobistych, a przynajmniej nie do tego stopnia, żeby się narażać kosztem zemsty.

— I tu się z tobą zgodzę — przyznałem. — To rzeczywiście nie ma sensu. Ale zostawmy to na chwilę i pomówmy o innej sprawie. Muszę stąd wiać, zanim wpakuję cię w poważne kłopoty. Brannan groził, że ten, kto mnie ukrywa, nie będzie miał lekko...

— Jasne, akurat — przerwała. — Zostaniesz tu, dopóki nie rozwiążemy całej tej sprawy.

— Wcale nie byłbym taki pewien, że nam się uda — rzuciłem niechętnie. — Nie dotrę już do tej dziewczyny. — Zapaliłem papierosa, wstałem i zacząłem przechadzać się po pokoju, omijając książki i mapy. — A jakie to informacje zbierasz?

— Na temat bitwy pod Shiloh — odparła, postukując bezmyślnie ołówkiem o zęby, a po chwili podskoczyła nagle. — Och, ależ ze mnie idiotka...

— Co z tobą?

— Właśnie przypomniałam sobie, skąd znam nazwę tej firmy. Natknęłam się na nią parę dni temu w bibliotece, kiedy przerzucałam stare gazety, szukając czegoś o samobójstwie Purcella.

Obróciłem się. — A więc to ma jakiś związek z Purcellem?

— Nie, nie. To nie tak... — Przygryzła wargę, skupiona. Zdusiłem niedopałek. — W takim razie jedźmy do biblioteki to sprawdzić.

Już miała wstać, ale zerknęła na zegarek i zaprzeczyła ruchem głowy. — Zamknęli godzinę temu.

— No, to pojedziemy z samego rana.

— Właściwie to jeszcze dzisiaj dałoby się to sprawdzić — stwierdziła, wciąż marszcząc brwi. — Mogę przecież pójść do redakcji przejrzeć stare numery gazet. Do diabła, o co tam chodziło? To była krótka wzmianka na ostatniej stronie, coś jakby komentarz do jakiejś dawnej sprawy...

W jednej chwili pstryknęła palcami i zerwała się na równe nogi. — Mam! Chodziło o kradzież — oznajmiła i pobiegła do sypialni po płaszczy.

— Tylko po co, na litość boską, okradać fabrykę obrabiarek? — dziwiłem się, pomagając jej włożyć płaszczy. — Żeby zwinąć tokarkę?

— A gdzie tam — machnęła niecierpliwie ręką. — Ukradli pensje. Czekaaj tu, wrócę za niecałą godzinę...

Chodziłem tam i z powrotem, wypalając jednego papierosa za drugim. Krótco po wpół do dwunastej usłyszałem zgrzyt klucza w zamku. Suzy weszła i szybko zamknęła drzwi, a jej oczy zdradzały wyraźne zaciekawienie i podekscytowanie. Wziąłem jej płaszcz.

— Nie musisz go odwieszać — powiedziała. — Po prostu rzuć na krzesło. Zdaje się, że coś mamy.

Przysunęła podnózek bliżej stolika i usiadła. Następnie otworzyła torbę i wyjęła dwie zapisane notatkami kartki. Ukląłem na podłodze naprzeciw niej i przyglądałem się niecierpliwie.

— A więc jednak kradzież? — zagadnąłem.

Skinęła głową. — Ale to nie wszystko. Na dobrą sprawę miały tam miejsce dwa zdarzenia, niby ze sobą niepowiązane, ale wystarczy odpowiednio je ze sobą zestawić, jakby się złączyło dwa przewody, a grzmotnie jak diabli. No to słuchaj...

Zajrzała do notatek. — Dwudziestego grudnia zeszłego roku, czyli trochę ponad dwa miesiące temu, okradziono opancerzony furgon, którym przewożone były pensje do firmy Shiloh. Wszystko wskazywało na fachową robotę i — jak to się mówi — gruntownie przemyślaną i zaplanowaną akcję. Po pierwsze, to miała być ostatnia wypłata przed świętami, wraz z premią dla wszystkich pracowników. W sumie było tego ponad czternaście tysięcy dolarów. Wygląda na to, że już wcześniej wybadano czas i dokładny sposób dostarczenia tych pieniędzy. W napadzie brało udział dwóch mężczyzn, trzeci kierował samochodem.

Coś jednak poszło nie tak. W ostatniej chwili niespodziewanie zjawił się radiowóz policyjny i jednego z dwóch bandytów zastrzelono. Wszyscy oni byli w maskach. Temu drugiemu i kierowcy udało się

zwiąc. Z pieniędzmi, rzecz jasna. Sprawa nigdy nie została wyjaśniona. Do dziś nie wiadomo, kim byli tamci dwaj. Pieniądzy też nie odzyskano...

— A co z tym, którego załatwili? — dociekałem. — Nie zidentyfikowali go?

Skinęła głową. — Owszem, ale to nie pomogło naprowadzić ich na trop tamtych dwóch. To był jakiś przyjezdny zbir, chyba z Oakland w Kalifornii. Policja ustaliła, że nigdy przedtem nie był w Sanport i nie miał tu żadnych kontaktów. Nazywał się Al Collins i miał za sobą długą przeszłość kryminalną. Równie dobrze mógł być z księżyca, bo ustalenie jego tożsamości i tak nie pomogło dotrzeć do dwóch pozostałych.

Policja, rzecz jasna, rutynowo skontrolowała wszystkich pracowników z działu płac i księgowości firmy Shiloh, ale niczego nie znaleźli. Jeśli ci gangsterzy dostali jakieś informacje z wewnątrz, to sprawę udało się przykryć. Tyle o pierwszym zdarzeniu.

Następnego dnia — czyli w sobotę dwudziestego pierwszego grudnia — późnym wieczorem doszło do napadu na sklep monopolowy w centrum handlowym za miastem. Taka tam szablonowa akcja: jeden rabuś, łup wysokości pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu dolarów, żadnych trupów. Tę sprawę wraz z paroma innymi przekazano Purcellowi i Stedmanowi.

Następnego dnia właściciel monopolowego wstępnie zidentyfikował ze zdjęcia sprawcę napadu jako Danny'ego Bullarda. Nic dziwnego zresztą, skoro facet obrabował już niejednego sklep i co najmniej raz przesiedział za to w pudle. Tamtego dnia późnym popołudniem Stedman i Purcell dostali cynk od jakiegoś kapusia, który wskazał im miejsce zamieszkania Bullarda. Było to w jakimś starym bloku w obokurnej dzielnicy, przy Mayberry Street. Pojechali tam wziąć go na przesłuchanie. Na miejscu nikt im nie otwierał, ale zdawało im się, że go słyszą, więc wyważyli drzwi. Tamten próbował uciekać przez okno. Na ich widok odwrócił się z bronią w rękę i już miał wypalić, a wtedy oni strzelili i go kropnęli. Spisali raport i odbyło się zwyczajowe przesłuchanie, po którym całkowicie oczyszczono ich z zarzutów. I tu się kończy druga historia. — Podniosła wzrok i spojrzała na mnie. — Teraz rozumiesz, ile to daje możliwości.

Przytaknąłem głową. — A udało im się ustalić, czy to Bullard okradł monopolowy?

— Na tym właśnie zamknięto całą tę sprawę. Jak by nie patrzeć, Bullard miał już na swoim koncie kilka włamań do sklepów monopolowych, no i właściciel tego ostatniego był przekonany, że go rozpoznał.

— Załóżmy, że masz rację — przyznałem. — A to znaczy, że ktoś — być może więcej niż jedna osoba — musiał wiedzieć, że to nie Bullard włamał się do monopolowego, bo w tym czasie ukrywał się z czternastoma tysiącami dolarów skradzionymi z Shiloh, które zresztą nie znalazły się po dziś dzień.

— Właśnie — odparła. — I stąd daleko nam do motywu zemsty. Uzasadnione zabójstwo podczas służby to jedno, ale morderstwo dokonane z zimną krwią przez dwóch skorumpowanych gliniarzy dla czternastu tysięcy dolarów to już inna sprawa. A jednak coś mi się zdaje, że policja może się mylić, przynajmniej co do zabójstwa.

— Całkiem niewykluczone — zgodziłem się. — Pewnie myślą, że Purcell i Stedman dowiedzieli się o kradzieży w Shiloh, a potem, żeby się wykpić, celowo namówili tamtego faceta od monopolowego do potwierdzenia tożsamość Bullarda.

— No, racja. Tak postąpiłby tylko nieprzeciętny brutal. Prawdopodobnie nie wiedzieli nawet, że Bullard był wplątany w kradzież w Shiloh; dopiero po tym, jak zastrzelili go za stawianie oporu podczas aresztowania, znaleźli w jego mieszkaniu pieniądze. A że pokusa była nie do odparcia i na pozór nic im nie groziło, to postanowili zaryzykować. Uznali pewnie, że tamten trzeci gangster to też przyjezdny, i być może mieli rację, tyle że on okazał się być bratem Danny'ego Bullarda.

— Ano tak — przyznałem. — A do tego bezwzględny zbirem, który miał już na swoim koncie dwa czy trzy morderstwa. Wybrali sobie niezłe miejsce na przekręt.

Suzy zapaliła papierosa. — Jest tylko jeden szkopuł: z tego, co na razie wiadomo, między Dannym Bullardem a Frances Celayą nie ma najmniejszego związku. Pamiętaj, że policja zbadła to z każdej strony. Po napadzie sprawdzali, czy nikt z pracowników Shiloh nie ma jakichś kontaktów ze światem przestępczym, a po śmierci Purcella przyjrzeni się bliżej paniom Bullarda.

— W takim razie musi coś być — orzekłem. Podniosłem się z miejsca i przeszedłem po pokoju. — Jezu, gdybym dostał się wtedy do jej mieszkania. Może znalazłbym jakiś list czy coś...

Suzy miała zamyśloną minę. — Jesteś pewien, że w jej torbie nie było nic oprócz adresu?

— Jak najbardziej — odparłem. — Tylko jakieś kosmetyki i inne rupiecie, no i para pończoch, które kupiła u Waldmana... — Tu prze-ważałem. — O słodki Jezu, ale ze mnie kretyn...

— Co się stało? — spytała.

— Paragon na pończochy! Głowę daję, że płaciła z konta, i zupełnie o tym zapomniałem.

Suzy od razu się ożywiła. — W takim razie trzeba odszukać tę torbę.

Pokręciłem głową. — Chyba nie mamy szans.

— Zastanów się — nakazała. — Spróbuj sobie przypomnieć, jak długo biegłeś po tym, jak wyskoczyłeś z samochodu, i w którym kie-runku.

— O, z tym akurat nie będzie problemu — zapewniłem. — To było trzy przecznice dalej, mógłbym tam dojść z zawiązanymi oczami. Tyle że nie wiem, w którym miejscu dokładnie wyskoczyłem im z wozu. Leżałem na ziemi. Nie mam pojęcia, jak długo. Możliwe, że na jakiś czas straciłem przytomność. Pamiętam tylko, że to była dzielnica biznesu i ciągnęła się przez jakieś dwie czy trzy przecznice. Po jednej stronie ulicy stało kino, po drugiej apteka, a na wprost stacja paliw. A takich dzielnic w tym mieście mamy całe setki.

— Ha! No, to ładny z ciebie nawigator — uśmiechnęła się. Zerwała się z miejsca, poszła do gabinetu i wróciła z mapą miasta, którą rozłożyła na stoliku. — Założę się, że znajdziemy to miejsce w ciągu pół godziny. Podejdz tutaj, żebyśmy widzieli mapę od tej samej strony.

Przysunąłem się bliżej. — Patrz — powiedziała. — Stąd cię ode-brałam: Octavia numer siedemset. Widzisz? No więc z której strony dotarłeś do Octavii?

— Od tej ulicy — odparłem i pokazałem jej, przesuwając palcem na mapie. — Biegłem jakieś cztery czy pięć przecznic.

— No dobrze, a z której strony: z prawej czy z lewej?

— Hm... Skręciłem w prawo.

Pokiwała głową. — Świetnie. W takim razie biegleś gdzieś stąd, od zachodniej części. A teraz przedłużmy kawałek tę linię, zostawmy to na chwilę i przesunmy się na drugi koniec. Pamiętasz, do jakiego autobusu wsiadła?

— Czekaj... — mruknąłem. — No jasne, do siódemki. A potem wysiedliśmy na Stevens Street.

— No, to chyba jesteśmy już blisko — oznajmiła. Podeszła do telefonu i wybrała numer firmy przewozowej. — Chciałabym się dowiedzieć, w którym miejscu autobus linii siedem przejeżdża przez Stevens. — Zaczekała chwilę, po czym skinęła głową. — Na Bedford? Bardzo dziękuję.

Wróciła, usiadła i przejrzała spis ulic na dole mapy. — Bedford Avenue... R siedem. Hmm. Już mam... Na Bedford biegleś na północ. A Stevens jest tutaj.

Przesunąłem palcem po trasie. — A tu, trzy przecznice za przystankiem, jest plac zabaw. Tam dokładnie mnie dorwali.

— Właśnie — przytaknęła i zaznaczyła miejsce ołówkiem na mapie. — Tutaj wpakowali cię do wozu, to na południe i zachód od Octavia Street. A skoro szedłeś do Octavii od zachodu, to musieli cię wieźć w kierunku północno-wschodnim. — Przedłużyła obie linie tak, aby przecięły się w jednym punkcie, po czym obrysowała kółkiem obszar w promieniu piętnastu czy dwudziestu przecznic. — A teraz podaj mi jeszcze książkę telefoniczną.

Położyłem ją przed nią. Przewertowała kartki do stronicy z numerami kin. — Czytaj mi kolejno razem z adresem — nakazała. — Znam prawie wszystkie w centrum miasta, więc te możesz pominąć; skup się po prostu na tych w pobliżu zaznaczonego punktu.

Zabrało nam to jakieś dziesięć minut. Ustaliliśmy, że w obrębie zakreślonego na mapie koła znajdują się dwa kina. — To musi być jedno z nich — podsumowała.

— Wszystko wskazuje na Vincent przy Stacy Avenue — odrzekłem. — To bliżej Octavii. Nie mogłem przecież przebiec dalej niż jakiś kilometr, dwa.

Suzy wstała z miejsca. — W takim razie jedziemy tam. Włożyłem koszulę, krawat i marynarkę i już miałem sięgnąć po płaszcz, gdy stanąłem jak wryty. — Klucz! — krzyknąłem. — Rany

boskie, pojęcia nie mam, gdzie go podziałem. Na nic nam ten adres, jeśli nie będziemy mogli się dostać do środka...

Trzymałem go, gdy tamten facet chwycił mnie za płaszcz. Czyżbym go upuścił? Wsunąłem rękę głęboko do prawej kieszeni i westchnąłem z ulgą. Klucz był na miejscu. Widocznie musiał tam trafić, gdy chowałem dłoń do kieszeni, udając, że mam broń.

— No i jak, masz go? — spytała.

— Taa. Chyba jestem przemęczony.

Wyszedłem pierwszy, a przecznicę dalej podjechała po mnie Suzy. — Posłuchaj — rzuciłem. — Jeśli tym razem będą kłopoty, to nie czekaj na mnie, tylko zmykaj.

Pokręciła głową. — Wyluzuj. I tak zaczynam się już przyzwyczajać do roli zbiega.

Po piętnastu minutach skręciliśmy z drogi głównej w Stacy Avenue. Była to typowa mieszkalna okolica. Jechaliśmy przed siebie jakieś dziesięć przecznic.

— To tutaj — rzuciłem, podekscytowany. — O tu, na wprost. Było już po północy i w kinie panował już mrok, podobnie jak

w wielkiej aptece po drugiej stronie, ale stacja paliw na wprost była jeszcze otwarta.

— Za apteką skrócić w prawo — poleciłem. — To niecałe trzy przecznice stąd.

Wjechała w zakręt. Na ulicach było pusto i prawie we wszystkich domach zgaszono już światła. Minęliśmy z wolna wylot alei przy drugiej przecznicy. — To tutaj — powtórzyłem. — Jedź trochę dalej, zaraz wrócę tu pieszo.

Przejechała przez następne skrzyżowanie, zaparkowała przy krawężniku pod drzewami i zgasiła reflektory. Wysiadłem, zamknąłem delikatnie drzwi i ruszyłem z powrotem. Dochodząc do wylotu alei, nie widziałem żywego ducha. Dałem nura w ciemność. To było gdzieś w połowie drogi, po lewej stronie, pomyślałem. Kiedy byłem już na miejscu, dostrzegłem znajomą furtkę. Wciąż była otwarta.

Na podwórzu było ciemno choć oko wykol, ale w kącie zauważyłem czarną gęstwinę oleandrów. Przemknąłem w ich stronę, uderzając w coś po drodze. To był pojemnik na śmieci. Przewrócił się, pokrywa opadła z łoskotem. Zamarłem, skulony pod wysokim płotem z paneli. Minęła minuta, i jeszcze jedna, ale w domu nadal było ciemno.

Omijając ostrożnie przewrócony śmietnik, dotarłem wreszcie do kępy oleandrów. Przykląkłem, wcisnąłem się w krzaki i zacząłem przesuwając ręką po omacku. Po chwili moje palce natknęły się na nią. Wydostałem się, ścisnąłem torbę pod pachą i pognałem do samochodu.

— Szybko ci poszło — zauważyła cicho, ruszając od krawężnika. Następnie skręciła z powrotem w Stacy Avenue, i dalej w lewo, do głównej ulicy.

Postawiłem torbę między nogami, schyliłem się nad nią i pstryknąłem zapalniczką. Wydobyłem torebkę z pończochami, a z niej paragon. Było na nim napisane: Frances Celaya, Keller Street 1910 m. 207.

— Keller Street — oznajmiłem na głos. — Wiesz, gdzie to jest?

— Nie wiem — odparła. — Trzeba będzie odszukać na mapie. Wyjąłem ją ze schowka i rozłożyłem. W tej samej chwili Suzy skręciła w główną drogę i zatrzymała się przy krawężniku pod latarnią. Oboje pochyliliśmy się nad mapą.

— No więc jesteśmy tutaj — rzekła szybko. — Na K trzy. — Przesunęła palcem po linii do właściwego punktu. — To w tej samej okolicy co Randall Street, tylko jakieś pięć czy sześć przecznic dalej.

— Może tym razem ją mamy — powiedziałem. — Rany boskie, oby tylko nie było przy niej tego osiłka. — I odłożyłem mapę.

Suzy tymczasem postawiła torbę na siedzeniu i zaczęła wyjmować całą jej zawartość. Przeszukałem portfel. Było tam pięć czy sześć dolarów w banknotach, ale żadnego dokumentu z nazwiskiem poza numerem ubezpieczenia społecznego. Już miałem wrzucić portfel z powrotem do torby, gdy dostrzegłem z tyłu kieszeń zamykaną na zamek. Otworzyłem ją. Na pierwszy rzut oka wydawała się pusta, ale po chwili zauważyłem wsunięty z boku świstek papieru. Zawierał zanotowany ołówkiem numer telefonu i imię jakiejś dziewczyny: GL 2-4378 Marilyn.

— Co tam masz? — spytała Suzy.

Pokazałem jej. Kartka najwyraźniej leżała w tym portfelu już od dłuższego czasu. — Jakoś dziwnie zapisane — zauważyła Suzy. — Numer jest na pierwszym miejscu.

To pewnie nie było nic ważnego, więc wzruszyłem tylko ramionami i wsunąłem kartkę do kieszeni płaszcza. — Masz coś jeszcze? — zapytałem.

Pokręciła głową i zaczęła wkładać wszystko kolejno z powrotem do torby. — I to chyba byłoby na tyle. — Odwróciła się, rzuciła torbę do tyłu, po czym ruszyliśmy dalej.

Zerknąłem na zegarek. Było po pierwszej w nocy. Czyli pewnie już i tak za późno. Gdybym za pierwszym razem trafił pod właściwy adres, to może udałoby mi się dostać do mieszkania jeszcze przed nimi. A teraz trudno było przewidzieć, co zastanę. Dziewczyna mogła przecież wyjechać z miasta albo czekała już na mnie razem z tym brutalnym bandytą? Dałem sobie spokój. I tak nie odgadłbym jej zamiarów.

Było to nieco bliżej niż tamten adres przy Randall Street: w obskurnej dzielnicy brudnych bloków i małych sklepów, ciemnej i opustoszałej o tej porze. Numer 1910 okazał się starym, dwupiętrowym budynkiem z cegły. Suzy minęła go z wolna. Tylko w dwóch czy trzech oknach jeszcze paliło się światło.

— Skręć za rogiem — poleciłem i tak też zrobiła. Trzeba było przejechać do następnej przecznicy, żeby znaleźć jakieś miejsce do zaparkowania. Widocznie lokatorzy bloków stawiali swoje auta na ulicy. Suzy wycofała i zgasiła reflektory.

— To potrwa najwyżej kwadrans — oznajmiłem.

— Tylko uważaj na siebie.

Wysiadłem i postawiłem kołnierz, by zasłonić twarz. Wystarczy, że na tym odludziu natknąłbym się na jakiś radiowóz, a niemal z pewnością by mnie nakryli. Wiedzieli już, że zgubiłem kapelusz, a jasnobrązowy płaszcz i rude włosy najpewniej wgrzyły im się w pamięć jak wypalone ogniem przekleństwo. Dotarłem do skrzyżowania z Keller i skręciłem. Nigdzie nie było widać żadnych samochodów. Szybkim krokiem wszedłem pod wiatrołap budynku 1910. Mała żarówka na suficie świeciła wystarczająco jasno, by móc widzieć szereg tabliczek z nazwiskami przy guzikach. Rzeczywiście, pod numerem 207 widniało: Frances Celaya. Wyciągnąłem rękę, ale w chwili zawahania cofnąłem ją. Jeśli czekają na mnie na górze, to i tak się nie odezwą i jedyne, co uda mi się zrobić, to ich ostrzec. Wyjąłem klucz i wypróbowałem. Zadziałało. Otworzyłem drzwi i wemknąłem się do środka, czując w żołądku pustkę i skurcze.

Na wprost prowadził słabo oświetlony korytarz. Na prawo były schody. Ruszyłem w ich stronę i zacząłem się wspinać na górę. Stop

nie były wyłożone wytartym chodnikiem, który tłumiał odgłos moich kroków. Piętro wyglądało identycznie jak parter: na suficie dwie lampy w starym stylu i pas wykładziny, biegnący pośrodku podłogi na całej długości korytarza. Panowała tu głucha cisza, tylko gdzieś zza drzwi dochodziło chrapanie mężczyzny. Sprawdziłem numery. Mieszkanie 207 znajdowało się na samym końcu korytarza.

Zakradłem się bliżej, przyłożyłem ucho do drzwi i nasłuchiwałem. Z wnętrza nie dobiegały żadne odgłosy, spod drzwi nie wydobywało się żadne światło. Wsunąłem do zamka klucz, przekręciłem delikatnie do oporu i zatrzymałem. Drugą ręką przekręciłem gałkę i lekko pchnąłem drzwi. W środku było ciemno. Obróciłem klucz, wyjąłem z zamka i wsunąłem do kieszeni, czując swój płytki oddech i napięte nerwy.

Popchnąłem dalej drzwi i zmacałem dłonią ścianę w przedpokoju. Palce natrafiły na przełącznik światła, ale nie włączyłem go. Sięgnąłem jeszcze dalej. Za drzwiami nikogo nie było, a przynajmniej nie od tej strony. Otworzyłem szerzej drzwi, wślizgnąłem się do środka i bardzo ostrożnie zamknąłem je za sobą, by uniknąć hałasu.

Co najmniej minutę stałem nieruchomo, oparty plecami o drzwi i nasłuchiwałem. Była kompletna cisza, tylko gdzieś w pomieszczeniu obok kapąca woda. Nawet jeśli w pobliżu stał jeszcze ktoś, to musiałby oddychać ciszej niż ja. Oczy z czasem przyzwyczyły się do ciemności. Na wprost w głębi pokoju, było małe okienko. Z zasłoną, ale światło z ulicy przenikało przez cienki materiał.

Po prawej stronie pod ścianą dostrzegłem sofę, krzesło i stojącą lampę. Dalej, w każdej ze ścian, widać było ciemniejsze, prostokątne zarysy otworów drzwiowych. Przesunąłem się ostrożnie w stronę tego po prawej, krocząc po omacku i delikatnie stawiając stopy na dywanie. Doszedłem do drzwi i znów wyteżyłem słuch. Wciąż nie było słychać niczych oddechów. Po chwili ujrzałem upiorny, zamazany kształt czegoś białego i wielkiego. Zorientowałem się, że to lodówka i że jestem w kuchni.

Odwróciłem się i pomału ruszyłem przez pokój do drugich drzwi. Uznałem, że to pewnie sypialnia. Ciszę wciąż przerywało tylko powolne kapanie wody, teraz nieco głośniejsze, gdzieś po lewej stronie. A więc musiała tam być łazienka. Na prawo było inne zasłonięte okno. Po ciemku dostrzegłem blady, prostokątny zarys łóżka.

Zrobiłem jeszcze krok i wszedłem do pokoju, spoglądając w stronę łóżka. Teraz już byłem pewien, że nikt na nim nie leży. Westchnąłem z ulgą i pstryknąłem zapalniczkę. Na stojaku obok łóżka stała mała lampka do czytania. Włączyłem ją i rozejrzałem się. Mieszkanie wyglądało tak, jakby harcowało tu stado małąp.

Za łóżkiem stała komoda. Dwie górne szuflady były na wpół wysunięte, a pod nimi, na dywaniku, leżały porozrzucane majtki, pończochy, halki i staniki. Na ścianie za komodą stała meblościanka. Na wieszakach wisiało tylko kilka sukien, a cała reszta leżała na podłodze obok dwóch pustych walizek i kartonu z książkami. Na lewo od meblościanki były drzwi łazienki, na wpół uchylone, skąd wyraźnie dobiegał odgłos kapiącej wody. Na lewo stała toaletka. Tu też wszystkie szuflady były wysunięte, a na blacie i na podłodze walały się chustki, sztuczna biżuteria i kosmetyki. Ktoś, kto przetrząsnął całe to mieszkanie, musiał się bardzo śpieszyć. Zawróciłem szybko i wszedłem do salonu. Tu wszystko stało nietknięte. Nie było zresztą czego przeszukiwać — żadnego biurka ani szafek — tylko ta ponura sofa i krzesła typowe dla tanio urządzonych mieszkań. Wszedłem do kuchni i włączyłem światło. Na oko wszystko było na miejscu.

Zgasilem światło, wróciłem do sypialni i zamarłem, gdy zabręczał domofon. Ktoś stał na dole przy drzwiach. Zadzwoił raz jeszcze i dźwięk brutalnie rozdarł ciszę. Po chwili uświadomiłem sobie, że ten człowiek nijak tu nie wejdzie i moje nerwy z wolna nieco się uspokoiły. Skoro dzwoni, to znaczy, że nie ma klucza. Czekałem. Dzwonek już się nie powtórzył; widocznie tamten dał sobie spokój.

Przeszedłem do sypialni i raz jeszcze popatrzyłem na ten cały bałagan. Czyja to sprawka? Czyżby jeszcze ktoś deptał jej po piętach? Zastanawiałem się, gdzie ona właściwie jest; przecież nie wyjechałaby z miasta bez spakowania przynajmniej części swoich rzeczy. Zacząłem szperać w szufladach toaletki. Na pewno trzyma tu gdzieś stare listy, kartki świąteczne, zdjęcia, notes adresowy, terminarz — cokolwiek, żebym mógł ustalić, z kim miała kontakty.

W toalecie nie było żadnych papierów. Sprawdziłem nawet pod dnem szuflady, tak jak to robią w filmach. Listy, listy — gdzie, do diabła, trzymała stare listy? Wyprostowałem się i obróciłem głowę, na próżno patrząc po pokoju. W jednej chwili wzrok mi zastygł. Wydałem z siebie niemy okrzyk i poczułem na głowie mrowienie.

Drzwi łazienki były lekko uchylone, tak że z tego miejsca widać było część wnętrza. Nawet przy tak słabym świetle nie miałem wątpliwości, że to, co zobaczyłem, było krawędzią wanny, z której zwisała bezwładnie szczupła i wyjątkowo zgrabna łydka. W dwóch susach znalazłem się przy drzwiach, pchnąłem je i zapaliłem światło, a gdy zajrzałem do wanny, ledwo powstrzymałem wymioty.

Leżała na plecach, z otwartymi oczami, wpatrzonymi prosto we mnie, zanurzona jakieś piętnaście centymetrów pod wodą, a jej włosy unosiły się wokół jej twarzy. Głowę miała prawie pod kranem, z którego raz po raz kapiała kropla i uderzała o tafelkę wody, zaburzając jej gładkość i dziwacznie wypaczając rysy dziewczyny. Była naga. Długie nogi leżały oparte ukośnie o pochyłą część wanny, zwisając poza krawędź, a pod ich naciskiem reszta ciała została zanurzona pod wodą. Na szyi miała paskudne sińce. Przełknąłem ślinę, siłą woli wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej. Noga jej drgnęła. Jakieś półtorej godziny przed moim przyjściem pewnie jeszcze żyła.

Sięgnąłem do wyłącznika, zgasilem światło i wyszedłem. I tu nastał koniec moich poszukiwań. Nawet jeśli to ona zabiła Stedmana, teraz już nijak nie dało się tego udowodnić. Stałem, osłupiały, gapiąc się na ten cały bałagan, który ktoś po sobie zostawił. Teraz już nie było żadnego sensu tego przeszukiwać; zrobił to tamten, dla pewności, żeby nic się nie uchowało. Musiałem czym prędzej się stąd wydostać i ruszać dalej w drogę. Przeszedłem przez pokój i zgasilem lampę przy łóżku. Skradając się po omacku do salonu, usłyszałem w korytarzu jakieś głosy.

Po chwili ktoś zastukał do drzwi. — Panno Celaya! — zawołał czyjś głos. Zamarłem, bałem się nawet oddychać.

Czyjaś pięść znowu zabębniła o drzwi. — Proszę otworzyć — nakazał głos. — Policja.

Jakimś cudem ruszyłem się z miejsca. Przemknąłem cicho po dywanie i rozchyliłem zasłony w oknie w głębi salonu. Nie było tam schodów przeciwpożarowych, żadnego tylnego wyjścia. Jeślibym skoczył, połamałbym obie nogi. Tymczasem w zamku zazgrzytał klucz i kiedy otworzyły się wejściowe drzwi, ruszyłem prosto do kuchni.

Pstryknął włącznik. Światło wlało się drzwiami tuż obok mnie. Przyłgnałem do ściany, stojąc na trzęsących się nogach.

— Na pewno wchodziła do mieszkania? — dociekał głos.

— Tak, proszę pana. Jakąś godzinę temu. Zgubiła klucz i musiałem dać jej zapasowy.

— No dobrze, w takim razie chodźmy się rozejrzeć — odezwał się jeszcze inny głos.

Było ich trzech: dwóch policjantów i gospodarz budynku, który wpuścił ich do środka. Byli coraz bliżej. Najbardziej zaintryguje ich sypialnia, a któryś z nich na pewno zajrzy też do kuchni.

Słyszałem zbliżające się do drzwi kroki. Chciałem otworzyć usta i krzyknąć, żeby nie strzelali. Było już za późno na to, by wyjść i się poddać. Gotowy prawie wyłoniłem się przy drzwiach... i nie zdołałem wydać z siebie żadnego dźwięku. Jakby mi mowę odjęło. Tymczasem kroki były już niemal przy mnie.

— Ej, spójrz na to! — zawołał nagle wtedy tamten drugi z sypialni.

Kroki zawróciły i oddaliły się. Podniosłem rękę, by otrzeć z twarzy pot, który szczypał mnie w oczy, po czym wyjrzałem zza framugi. W sypialni stał jakiś starszy mężczyzna bez kapelusza, jednego z policjantów nie było widać — pewnie stanął gdzieś przy szafce czy toaletce — a drugi właśnie do niego szedł. Żaden z nich nie patrzył w moją stronę. Przesunąłem się wzdłuż ściany, wyszedłem na palcach z kuchni i ruszyłem do frontowych drzwi. Drugi gliniarz dotarł do sypialni i zajrzał do środka, a ja skradałem się naprzód, stąpając jak po rozżarzonych węglach.

Zostały mi jeszcze jakieś trzy metry. Siłą woli powstrzymałem się od biegu i ukradkiem zerknąłem przez ramię.

— O rany boskie! — zawołał głos z głębi sypialni. Widocznie tamten pierwszy glina już ją znalazł. — Ej, Hoyt! Chodź tu szybko. Ktoś ją ukatrupił!

— Moment — rzucił Hoyt i już miał się obrócić. Dałem susa do wyjścia. Usłyszałem, jak tamten wciąga powietrze. — Foley...! — rozległ się jego przerażony krzyk. Wskoczyłem na korytarz i schyliłem się, przebierając gwałtownie nogami. — Stój, bo strzelam!

Gdzieś za mną wypaliła spluwa i szyba na końcu korytarza rozprysła się w drobny mak. Po kolejnym strzale poczułem szarpnięcie w boku, tuż pod lewym ramieniem. To mnie wytrąciło z równowagi. Do schodów po lewej stronie miałem jeszcze parę kroków. Uskoczyłem, czmychnąłem na schody, zatoczyłem się, ale chwyciłem za poręcz i zerwałem się na nogi. Popędziłem w dół, przeskakując po trzy i cztery stopnie na raz, aż dotarłem na parter. Na górze słyszałem ich kroki, dudniące na korytarzu. Do szklanych drzwi klatki schodowej miałem jakieś sześć metrów, a gdy już do nich dobiegłem i chwyciłem za klamkę, jeden z policjantów wyłonił się na schodach i strzelił, trafiając w drewnianą framugę drzwi tuż przy mojej twarzy. Poleciały drzazgi i coś mnie ukłuło w policzek. Byłem już na zewnątrz. Przed wejściem stał zaparkowany ich wóz. Zrobiłem zwrot w lewo i pognałem chodnikiem. Tamci wybiegli za mną, któryś oddał kolejny strzał. Mięśnie pleców miałem napięte jak węzły, spodziewając się, że lada chwila rozedrze je kula.

Dobiegłem do rogu i pognałem dalej w lewo. Nie było sensu wracać do Suzy. Tamci byli na tyle blisko, że dorwaliby i ją. Gdzieś w tyle zawyła syrena. Jeden z nich gonił mnie pieszo, drugi objechał przecznicę radiowozem, żeby odciąć mi drogę. Pewnie wezwie przez radio posiłki i za kilka minut obstawią całą okolicę. Zza rogu, za plecami, dobiegły mnie ciężkie kroki, a po chwili ucichły. Zaraz odda następny strzał. Wzdłuż chodnika rosło parę drzew, dałem więc nura w prawo od ulicy, żeby ich pnie znalazły się na linii ognia. Tamten jednak nie strzelił.

Tuż przed sobą zobaczyłem wylot alei i popędziłem naprzód. Nic już nie słyszałem, ale gdy odwróciłem głowę, tamten wciąż biegł jakieś pół przecznicy za mną. Po chwili gdzieś z przodu odezwała się

syrena. Byłem okrążony. Radiowóz minął jednak wylot alei, zanim zdążyłem z niej wybiec. Za nią była ulica, więc ruszyłem na drugą stronę, a potem dalej tą samą aleją wzdłuż następnej przecznicy. Pod koniec alei raz jeszcze się obejrzałem, ale tamten zniknął mi z pola widzenia. Wyszedłem na chodnik. Ulica świeciła pustkami, ale wciąż słychać było syreny. Ich dźwięk dobiegał teraz ze wszystkich stron.

Nogi miałem jak z waty, w boku czułem okropny ból. Z trudem łapałem oddech. To nie miało sensu; powinienem po prostu się poddać! I tak już mnie mieli. Pewnie otoczyli ludźmi i radiowozami całą okolicę, co do milimetra, w promieniu ośmiu czy dziesięciu przecznic. Tak bardzo chcieli mnie dorwać, że czuli już przedsmak tego, co miało się wydarzyć. Najpierw umykałem im od tygodnia, a teraz jeszcze załatwiłem tę dziewczynę. Z tego nijak nie uda mi się wyplątać. Byłem u niej na Randall Street, a kiedy zastali mnie w jej drugim mieszkaniu, ona już nie żyła.

Próbowałem przestać myśleć i, gnany wrodzonym instynktem, biegłem dalej. Skręciłem w lewo. Od następnej przecznicy odchodziła inna aleja i ruszyłem tamtędy. Za moimi plecami rozległ się pisk opon, gdy jakiś samochód wjechał w ulicę, z której przed chwilą zbiegłem. Gdzieś przede mną wyło coraz więcej syren. Na końcu cienistej alei paliły się latarnie, ale to nie było dobre miejsce na kryjówkę. Zatrzymałem się i powaliłem na ziemię za jakimiś śmietnikami, z jękiem łapiąc oddech.

Znajdowałem się na zapleczu jakiegoś piętrowego handlowego budynku. Tuż nade mną, jakieś dwa czy trzy metry nad ziemią, prowadziła drabina przeciwpożarowa. Podniosłem się, podskoczyłem i chwyciłem za najniższy szczebel. Wisiałem tak przez chwilę, a następnie podciągnąłem się wyżej i chwyciłem następny. Po jakiejś minucie byłem już na tyle wysoko, by oprzeć stopy na dolnych szczeblach. Wspiąłem się do góry, prześlizgnąłem się przez mur i wylądowałem na dachu. Obejrzałem się za siebie: tamci nie dotarli jeszcze do alei. Tu przynajmniej mogłem pozostać w ukryciu i poczekać, aż dadzą sobie spokój — w razie konieczności choćby do jutra, i dopiero potem się stąd wydostać. Rozejrzałem się wokół i serce mi zamarło.

Sąsiedni blok po lewej stronie był o dwa piętra wyższy, a jego okna wychodziły akurat na tę stronę. Jak tylko zacznie świtać, ktoś mnie tu nakryje. Zerknąłem w drugą stronę: budynek po prawej też

wznosił się wyżej o dwa piętra, a z boku, tuż przy frontowej ścianie, biegła stalowa drabina. Zmusiłem się, żeby wstać, podszedłem do niej, wziąłem jeszcze jeden głęboki oddech i rozpocząłem wspinaczkę. W połowie drogi spojrzałem w dół i zorientowałem się, że z ulicy każdy mógł mnie dojrzeć; wystarczy, żeby zadarł głowę. Na rogu stał radiowóz, z którego wysiadali dwaj umundurowani funkcjonariusze. Usiłowałem wbiec po drabinie, ale kolana mi drżały, a ręce były ciężkie jak z ołowiu. O mały włos moja dłoń ześlizgnęłaby się ze szczebla, ale trzymałem się mocno, spazmatycznie wciągając powietrze. Po chwili byłem już na szczycie. Przegramoliłem się przez mur i upadłem na zwirową powierzchnię dachu. Leżałem tam, wykończony, nie mogąc nawet się ruszyć, i wsłuchiwałem się w stłumiony jęk syren na ulicy, trzy piętra niżej.

— Ej, odsuń pan głowę, co? — odezwał się tuż nade mną jakiś głos. — Zasłaniasz mi pan efemerydę.

Chyba zaczynało mi już odbijać. Panowały tu egipskie ciemności, bo półtorametrowy mur wokół dachu przysłaniał uliczne światła. Jakaś latarka błysnęła mi prosto w twarz. Na szkle przymocowany miała czerwony papier i rzucała jedynie słabą poświatę. Następnie czyjaś dłoń zsunęła się, przesunęła mi głowę lekko na bok i wyciągnęła spod niej coś, co wyglądało na jakąś broszurkę.

Wciągnąłem nierówno powietrze. — Mam broń — ostrzegłem surowo. — Jeden krzyk i będę strzelał!

— W porządku — mruknął zamyślony głos. — Teraz dobrze... Hmm... To by było to... Deklinacja trzydzieści dwa czterdzieści siedem... — I światło zgasło.

Przewróciłem się na drugi bok i z trudem dźwignąłem się do siadu, oparty plecami o mur. Po chwili dostrzegłem w mroku trzy szarawe elementy podstawy trójnogu. Nad nim wznosiło się coś na kształt rury, skierowanej ukośnie w stronę nieba, a po boku, na małej ławeczce, widać było siedzącą ciemną sylwetkę mężczyzny. Był otulony kilkoma warstwami ubrań, żeby się uchronić przed chłodem, i tkwił przykucnięty przy skierowanej ku dołowi końcówce rury, przykładając do niej oko. Wreszcie pojąłem, co i jak: to teleskop, a ten facet to jakiś astronom amator.

— Co pan tam ogląda? — zagadnąłem.

Nie odpowiedział. Poprawił tylko lekko tubus teleskopu i dalej gapił się w niebo. — Teraz dobrze — mruknął.

Ten to na pewno nie wezwie policji; nie byłem nawet pewien, czy w ogóle wiedział o moim istnieniu. Był gdzieś daleko, o całe lata świetlne stąd. Wyjąłem papierosa i zapaliłem.

— Jak chcesz pan sobie błyskać, to idź pan gdzie indziej — rzucił, poirytowany.

— Oczywiście — odparłem. Zdążyłem już złapać oddech, więc podniosłem się z miejsca i przeszedłem do krawędzi dachu wyrzeć na ulicę. Radiowóz sunął z wolna aleją. Usiadłem plecami do muru i próbowałem pomyśleć. Biegając, cały zlałem się potem i zaczynałem odczuwać chłód. Wzdrygnąłem się.

Jak długo potrwa ten koszmar? I po co właściwie to wszystko? Z początku miałem jeszcze jakąś nadzieję, o ile istniała szansa znalezienia zabójcy Stedmana, ale teraz wszystko szlag trafił. To Frances Celaya go załatwiła, i to bez wątpienia, ale wciąż nie wiedziałem dlaczego ani nie miałem na to najmniejszych dowodów, a na domiar złego poszukiwali mnie jeszcze za jej morderstwo.

W całą tę sprawę był zamieszany tamten facet, ale nie miałem pojęcia, jak go wytropić; wiedziałem tylko, że jest wielki jak goryl i prawdopodobnie pracuje jako marynarz. Doskonale o wszystko zadbał, nie ma co. Jedyne sposb, w jaki dałoby się ustalić jego tożsamość, to skontaktować się z dziewczyną, dlatego ją załatwił i dopilnował, żeby w jej mieszkaniu nie pozostało nic, co wskazywałoby na niego. Wiedział, że mam jej torbę i adres i że w końcu się u niej zjawię. I że prędzej czy później policja mnie dopadnie, a ja im podpowiem, żeby przynajmniej ją sprawdzili. Zresztą zawsze mogłem zadzwonić na policję... I na tym stanąłem.

Pijany dryblas! Ten, co pakował mi się do budki telefonicznej! Taki przypadek jest jeden na tysiąc, a jednak wszystko by się zgadzało. Załóżmy, że mnie śledził, szukając okazji, żeby mnie kropnąć? Ale zaraz, chwileczkę... jakim cudem wpadł na mój ślad? Przecież po buchnięciu torby prysnąłem mu, a przy okazji też glinom. Wtedy do mnie dotarło; sprawa była absurdalnie prosta. Rzecz jasna, wytropił mnie w tym pierwszym mieszkaniu przy Randall Street.

Wiedział, że prawdopodobnie udam się pod adres, jaki znalazłem w prawie jazdy, więc pojechał tam i czekał. Wybiegłem z auta, więc

nie miał okazji mnie załatwić, ale potem śledził mnie i Suzy. Widziałem nawet za nami jakiś samochód, ale gdy tylko zorientowałem się, że to nie radiowóz, to nie zwracałem na niego uwagi. W żadnej z budek telefonicznych też nie mógł mnie kropnąć, bo stały na widoku, w oświetlonych miejscach, i wszędzie kręcili się klienci supermarketu. A zresztą miał przy sobie tylko nóż i cała akcja zajęłaby mu pewnie ładnych parę minut. Udawał więc pijanego i otworzył drzwi, żeby mi się lepiej przyjrzeć, a potem wszedł do budki obok i podsłuchiwał...

Na Boga, tak to właśnie wyglądało! Próbowałem sobie przypomnieć dokładny przebieg mojej rozmowy z Brannanem. Opowiedziałem mu o brutalnym osiłku i o moim domniemaniu, że to marynarz, tyle że zrobiłem to, jeszcze zanim zjawił się ten pijak. Po tym, jak przeszedł do budki obok, nie wspominałem o nim ani słowem. Rzuciłem tylko do Brannana: może lepiej poświęćcie trochę waszego cennego czasu na schwytanie prawdziwych zabójców Stedmana. Przeliterowałem nawet nazwisko dziewczyny i podałem jej miejsce pracy. Każdy, kto przysłuchiwałby się tej rozmowie, od razu by wiedział, że dzwonię na policję. Przerwałem i wzdrygnąłem się. Przecież równie dobrze ja sam mogłem ją udusić.

Tylko spokojnie, kiedyś będę tego żałował, jak tylko czas na to pozwoli. To ona wpakowała mnie w to bagno, bo zabiła Stedmana, żeby wszystko było na mnie, a potem próbowała mnie ukatrupić. Po mojemu zasłużyła sobie na taki koniec, a jedyne, co mnie w tym wszystkim bolało, to fakt, że tak fatalnie obarczono mnie winą za zabójstwo Stedmana, a teraz jeszcze jej samej. Szkoda, że nie pożyła trochę dłużej; może by co nieco wyśpiewała.

Zerwałem się gwałtownie. Trzeba ostrzec Suzy! Tamten osiłek wie przecież, gdzie ona mieszka, i pewnie ją także zechce dopaść. Skoro jechał za nami z Randall Street aż do budki telefonicznej, to musiał też nas śledzić przez całą drogę do domu. Suzy była ze mną, więc uznał, że i ona na niego dybie. Rany boskie, może jest już za późno. A zresztą jak miałbym ją teraz ostrzec? Przecież tu, na tym dachu, mogli mnie osaczyć jak jakąś antylopę.

Chyba że gdzieś w budynku był jakiś automat. Zdarzało się, że w tanich blokach, gdzie lokatorzy nie mieli własnych telefonów, na każdym piętrze w korytarzu wisiał aparat na monety. Zerwałem się

z miejsca i zamaszystym krokiem podszedłem do dryblasa z teleskopem. Zostałem go wciąż z okiem przyklejonym do okularu.

Moje oczy zdążyły już przyzwyczać się do ciemności i widziałem nieco lepiej. Facet mógł mieć koło czterdziestki, był nieco pyzaty, przysadzisty i barczysty, ale na oko raczej łagodny. Miał na głowie czapkę, szyję owiniętą szalem i kultową kurtkę, jaką zwykle noszą fani sportowych aut, długości trzy czwarte, z drewnianymi kołkami zamiast guzików.

— Czy w tym budynku jest jakiś telefon? — spytałem. Nic nie odpowiedział.

Sięgnąłem, chwyciłem go za ramiona i uniosłem, żeby wstał. — Słuchaj no, przyjacielu — powiedziałem. — Mówię do ciebie.

Popatrzył na mnie, zdziwiony, a zarazem oburzony. — Co pan mi tu? Nie widzisz pan, że jestem zajęty? Jak pan chcesz popatrzeć sobie na Saturna, to idź pan zawracać głowę komu innemu, bo ja właśnie badam cefeidy...

Potrząsnąłem nim. — To zejździe na chwilę na ziemię. Mnie interesuje tylko to, co się dzieje na tej planecie. Nie zapominaj o tym, jasne? Tu mieszkają ludzie. I czasem zdarza im się używać czegoś, co się nazywa telefonem. Czy jest tu jakiś w tym budynku?

— Nie ma — odrzekł.

— Au ciebie w mieszkaniu?

— Też nie — rzucił, poirytowany. — A teraz bądź pan tak miły i spadaj...

— Chwileczkę — przerwałem. — Najpierw ściągnij tę swoją bombową kufajkę i rzuć mi tutaj. I czapkę też.

Tym razem zareagował nieco nerwowo. — Przyszedłeś pan mnie okraść?

— Ależ skąd. Zamienimy się tylko kurtkami. A że w mojej jest dziura po kuli, to dorzucam jeszcze dwadzieścia dolców.

— W życiu nie słyszałem czegoś tak absurdalnego...

— Wyskakuj z kurtki — ponagliłem. — Bo zaraz rozwalę ci kopniakiem ten teleskop.

Widocznie uznał mnie za szaleńca, bo zdjął kurtkę i oddał mi razem z czapką. Wręczyłem mu dwie dziesięciodolarówki i poszperałem jeszcze w kieszeniach mojego gabardynowego płaszcza, sprawdzając, czy nic tam nie zostało. Znalazłem tylko maleńki, zwinięty świstek

papieru. Co to, u licha...? Nagle przypomniałem sobie: to numer i imię jakiejś dziewczyny; zabrałem to z torby Frances Celayi. Wzruszyłem ramionami i wsunąłem kartkę do kieszeni marynarki. Tamten założył mój gabardynowy płaszcz. — Najpierw przez dwanaście dni chmury i zakłócenia — mruczał pod nosem — a jak już trafisz na godzinę dobrej widoczności, to...

Włożyłem jego kurtkę. Czapka była nieco za duża, ale jakoś trzymała się na głowie. Facet tymczasem znowu usiadł, przyłożył oko do okularu i zapomniał o moim istnieniu. Zastanawiałem się, czy jest żonaty. Zresztą to i tak bez znaczenia, uznałem w myślach. Typowej żonie pewnie trudno byłoby zrozumieć, że jej mąż zamienił się z kimś kurtką na dachu trzypiętrowego bloku, i to o drugiej w nocy, ale jego małżonka zapewne przywykła już do różnych pokrętnych wymówek. „Było mi wszystko jedno, skarbie. Siedziałem tam i obserwowałem cefeidy, a wtedy napatoczył się ten gość i...”

Wypatrzyłem drzwi i zszedłem schodami na najwyższe piętro. Korytarze były słabo oświetlone, opustoszałe i nieco przygnębiające, na ścianach tanie, żółtawe tapety, a do tego cuchnęło starym obiadem. Na nikogo się nie natknąłem. W korytarzu na parterze, tuż przy drzwiach frontowych, wisiało na ścianie lustro, a pod nim stał mały stoliczek z jakąś rośliną w doniczce. Zatrzymałem się i przejrzałem. Kurtka i czapka leżały nawet nieźle i całkowicie odmieniły mój wygląd, tylko na lewym policzku miałem zadrapanie i małą strużkę zaschłej krwi. Potarłem ją najpierw zwilżonym palcem, a potem chustką tak, że prawie całkiem zeszła. Postawiłem kołnierz kurtki, przechyliłem zawadiacko czapkę i, potwornie przerażony, powoli opuściłem budynek. Czy mi się to uda, czy nie, musiałem dotrzeć do jakiegoś telefonu, nawet gdyby mieli mnie dopaść.

Ulice były niemal całkiem wyludnione, co tylko pogarszało sprawę, bo każda poruszająca się postać mogła budzić podejrzenia. Chwilowo jednak nie było widać ani jednego radiowozu. Ruszyłem do rogu i skręciłem w lewo. Na wprost, jakieś piętnaście czy dwadzieścia przecznic dalej, dojrzałem wysokie budynki centrum miasta. Jeśli zdołałbym tam dotrzeć, to o wczesnej rannej porze łatwo znajdę jakiś automat.

Właśnie przechodziłem przez skrzyżowanie, gdy trzy przecznice dalej dostrzegłem zakręcający patrol. Zatrzymał się i siedzący w nim

funkcjonariusze zamienili parę słów z umundurowanym gliniarzem na rogu. Po chwili wóz ruszył gwałtownie prosto w moją stronę. Musieli mnie zauważyć. Jedyne, co mogłem zrobić, to zachować zimną krew mimo ogromnego strachu. Jeśli podjadą i poproszą mnie o dowód tożsamości, to, rzecz jasna, już po mnie, ale jeśli nie okażą zderzenia, to może dadzą mi spokój. Szedłem dalej w tym samym tempie, wkroczyłem na krawężnik i zatrzymałem się, żeby zapalić papierosa. Wóz zwolnił, wjechał w zakręt i minął mnie z drugiej strony jezdni. Czuję na sobie ich wzrok. Zerknąłem przelotnie w ich kierunku, zaciągnąłem się dymem i ruszyłem przed siebie. Tamci sunęli dalej. Zrobiło mi się słabo. Na rogu ulicy skręcili w prawo i zniknęli mi z oczu.

Po pokonaniu całej przecznicy sytuacja powtórzyła się. Tym razem patrol jechał w moją stronę poboczem jezdni. Na mój widok przyśpieszył, a po chwili zwolnił. Szykował się do postoju, ale ich radio zatrzeszczało przerywanym dźwiękiem, więc włączyli syrenę i ruszyli naprzód. Kiedy oddalili się o parę przecznic, stanąłem i nasłuchiwałem. Dobięły mnie odgłosy trzech syren, zbliżających się gdzieś do tamtego miejsca. Westchnąłem. Widocznie dostali zgłoszenie, że wokół domu kręci się ktoś podejrzany, co odwróciło ich uwagę ode mnie, przynajmniej na jakiś czas. Przyśpieszyłem kroku. Pokonałem trzy przecznice, potem pięć, a po dziesięciu przestałem liczyć. Byłem już w innej części miasta.

Przeszedłem przez Pemberton Avenue na obrzeżu centrum. Po prawej stronie, zaledwie jedną przecznicę dalej, stał dworzec autobusowy linii Greyhound. Wszystkie bary były już zamknięte, ale tylko tam miałem szansę trafić na automat telefoniczny. Czy warto aż tak zaryzykować? Na pewno zdążyli już obstawić dworzec. Tyle że w tej kretyńskiej, sportowej kurtce i tak nie przykułbym niczyjej uwagi. Poza tym w tłumie jest zawsze bezpieczniej, a na dworcu zawsze znajdują się jacyś ludzie. Odwróciłem się i ruszyłem śpiesznie w jego stronę.

Na ławkach siedziało jakieś piętnaście czy dwadzieścia osób; jedni, znudzeni, czytali gazety, inni próbowali przysnąć, jeszcze inni popijali kawę w bufecie w głębi sali. Na lewo od bufetu stały budki telefoniczne. Wszedłem do pierwszej z brzegu, wrzuciłem dziesiątaka i wybrałem numer. Odezwał się sygnał, potem jeszcze jeden, a po

chwili przyłapałem się na tym, że odliczam sygnały, umierając przy tym ze strachu. Suzy udzieliła mi pomocy; mogła przecież przeze mnie zginąć...

Odwiesiłem słuchawkę. I co dalej? Gdybym nawet wrócił do jej mieszkania, to i tak nie dostałbym się do środka. Jeśli Suzy nadal krąży gdzieś po mieście, to nijak nie mógłbym jej ostrzec. A może w przyływie nudy znowu dorwała się do wódki. Postanowiłem poczekać chwilę i spróbować jeszcze raz.

Wtedy przypomniałem sobie o kartce z numerem telefonu, którą wyszperałem w torbie Frances Celayi. Wyjąłem ją z kieszeni i przyjrzałem się jej. „GL 2-4378 Marilyn”. Sądząc po zmiętym papierze, kartka musiała miesiącami leżeć w jej torbie. Nadal nie pojmowałem, co to ma wspólnego ze Stedmanem, ale to był jedyny ślad, jaki mi pozostał, więc uznałem, że przynajmniej warto spróbować.

Wrzuciłem monetę i wykręciłem numer z kartki. Odebrał jakiś mężczyzna.

— Czy jest Marilyn? — spytałem.

— Taa — rzucił.

Skupiłem uwagę; może wreszcie czegoś się dowiem. — A mógłbym ją prosić?

— Co pan, żarty sobie stroi? — burknął i rozłączył się. Osłupiały, wgapiłem się w słuchawkę, po czym odwiesiłem ją

z powrotem na widełki. Oto dowód, że zaczyna mi odbijać; wszystko po prostu traci sens. To zresztą całkiem logiczne, i to bez dwóch zdań...

Tu przerwałem rozmyślenia, nie mogąc dać wiary własnej głupocie. Już dawno powinienem był się domyślić. Prześlizgnąłem się obok budki i chwyciłem książkę telefoniczną. Przerzuciłem stronicę na listę firm, znalazłem to, czego szukałem, i przesunąłem palcem wzdłuż spisu numerów stróżówek w miejskich dokach.

Pirs Piąty nosił symbol Glenwood 2-4378. Marilyn okazała się nazwą statku.

A więc poławiacz krewetek albo zawodowy rybak, pomyślałem sobie. Pewnie cumuje przy Pirsie Piątym. Nareszcie jakiś ślad. Wtedy wróciłem myślami do Suzy i znów poczułem w środku ten dokuczliwy niepokój. Zanim odejdę, muszę spróbować jeszcze raz. Rzuciłem książkę telefoniczną, a kiedy odwróciłem się, by wejść z powrotem do

budki, natknąłem się na wzrok mężczyzny w bufecie. Miał przed sobą kubek z kawą i gazetę, ale jego oczy były zwrócone prosto na moją twarz. Po chwili odwrócił głowę i wziął gazetę. Wydał mi się dziwnie znajomy i jakiś słaby, ostrzegawczy szept rozedrgał mi nerwy. E, do diabła, kto by mnie tam rozpoznał w tym sportowym ciuchu. Wszedłem do budki i wybrałem numer Suzy. Sygnał buczał raz po raz, ale wciąż nikt nie odbierał. Czułem wzbierający we mnie lęk. Obejrzałem się; człowiek w bufecie siedział wpatrzony w budkę z zamysłonym wyrazem twarzy. Tym razem go rozpoznałem. Był to policjant, jeden z kumpli Stedmana, którego widywałem kilkakrotnie w barze Reda Lanigana.

Odwrociłem się, wsłuchany w uporczywy dźwięk sygnału w słuchawce, i usiłowałem myśleć. Już dłużej tego nie wytrzymam; tylko patrzeć, jak puszcza mi nerwy i całkiem skretynieję.

Może jednak tamten mnie nie rozpoznał i jakoś z tego wyjdę. U wylotu Pemberton Avenue był postój taksówek. Odwiesiłem słuchawkę, sięgnąłem po papierosa i wkładając go sobie do ust, wyszedłem z budki. Nie patrzyłem w stronę tamtego mężczyzny. Skręcając, ruszyłem z wolna do wyjścia, a po drodze zatrzymałem się jeszcze w kiosku, by przejrzeć półkę z książkami, a przy okazji zapalić papierosa. Nie bardzo mogłem zobaczyć, czy tamten wstał z miejsca; moje oglądanie się tylko przykułoby jego uwagę, równie dobrze mógłbym machać jakimś transparentem. Szedłem więc naprzód, czekając tylko, aż usłyszę za sobą głos. Dotarłem do drzwi. Na postoju stała jedna taksówka, której kierowca siedział akurat za kierownicą. Idąc w jej stronę, zerknąłem za siebie przez okno. Tamten zdążył już się podnieść i szedł w moją stronę. Dał znak komuś, kto siedział na ławce, i przyspieszył kroku.

Szarpnąłem drzwi taksówki i wskoczyłem do środka. — Do Pirsu Dziewiętnastego — rzuciłem.

— Proszę bardzo — odparł kierowca. Włączył licznik, uruchomił silnik i odbiliśmy od krawężnika. Dwaj policjanci wyłonili się zza drzwi i zaczęli biec chodnikiem za nami i krzyczeć coś do taksówkarza. Ten zauważył ich w lusterku.

— To pana koledzy? — spytał.

— Ależ skąd — zaprzeczyłem. — Pewnie jacyś pijaczkowie. Niech pan jedzie dalej.

Odjechaliśmy przecznicę dalej, nabierając prędkości. Widziałem, jak tamci zawracają i biegną do dworca. Wprawdzie nigdzie nie było widać radiowozów, ale zaraz na pewno podadzą w radiu numery taksówki. Po opustoszałych ulicach o trzeciej w nocy daleko nie zajedziemy; zaraz nas zatrzymają. Wyjąłem z portfela dwa dolarowe banknoty i trzymałem je w ręce.

Skręciliśmy w prawo na Walker, kierując się w stronę centrum. Minęliśmy patrol jadący w przeciwnym kierunku, ale nikt nie zwrócił na nas uwagi. Wszystkie światła wzdłuż Walker migały na żółto, więc nie musieliśmy się zatrzymywać. Dziesięć przecznic dalej zawinęliśmy w lewo na Western Avenue i jechaliśmy prosto na nabrzeże i kanał portowy, oddalone o niecałe trzy kilometry. Po drodze natknęliśmy się na inny patrol, który też nas wyminął. Obserwowałem go uważnie. Jakies osiem przecznic dalej zauważyłem, że nagle zawraca pośrodku ulicy i coraz szybciej sunie w naszą stronę.

— Niech pan skręci w prawo na następnym skrzyżowaniu — poleciłem.

— Ale...

— W prawo, mówię przecież.

Jeszcze nie było słycać syreny, ale radiowóz sunął na nas w szybkim tempie. Wjechaliśmy w zakręt. — Niech pan stanie! — krzyknąłem. Taksówkarz domyślił się już, że coś tu nie gra, i gwałtownie wcisnął hamulec. Rzuciłem mu na kolana dwa dolary i wyskoczyłem, zanim zdążył stanąć w miejscu. — A teraz proszę jechać dalej! — nakazałem. Posłuchał mnie.

Przemknąłem przez chodnik i uskoczyłem w cienisty zaułek między dwoma budynkami, gdzie nie docierało światło latarni. Radiowóz wszedł w zakręt z piskiem opon i mijając mnie, popędził naprzód. Taksówka była już jakies trzy przecznice dalej. Przekroczyłem jezdnię tuż za radiowozem i ruszyłem na skos do następnego skrzyżowania, biegnąc co sił w nogach. Kiedy już dotarłem do rogu, skręcając w ulicę prostopadłą do tej, którą biegłem, w oddali odezwała się syrena. Widocznie rzucili się w pogoń za jakąś taksówką, podobną do tej,

o której wspomniano w komunikacie. Chcieli sprawdzić numery i oświetlili ją reflektorami. Za chwilę pewnie będą wracać. Dobiegłem do następnego skrzyżowania, skąd skręciłem w prawo. Byłem już przecznicę dalej, równoległe do ulicy, po której jechali.

Była to dzielnica przemysłowa, nieopodal Denton Street, niespełna kilometr od stacji kolejowej. O tej porze było tu pusto i ciemno między rzadko rozstawionymi latarniami. Dotarłem do jakiegoś wielkiego magazynu przy następnym skrzyżowaniu i stanąłem, by się rozejrzeć po ulicy przecinającej tę, z której nadszedłem. Radiowóz śmignął po najbliższej przecznicy, nie włączając syreny. Puściłem się prosto przed siebie, na drugą stronę skrzyżowania, gnając ze wszystkich sił. Jediną moją szansą było uciekać stąd jak najdalej, zanim zjadą się tu policyjne wozy. Dwie przecznice dalej raz jeszcze skręciłem w lewo, w stronę stacji i kanału portowego. Usłyszałem syreny. Ten dźwięk będzie mnie dręczyć po nocach przez całe lata — jeśli w ogóle tak długo pożyję.

Wiedziałem, że po jakichś dwóch przecznicach nie zdołam biec dalej bez odpoczynku. Po drugiej stronie ulicy był jakiś opustoszały plac, zawalony fragmentami rur kanalizacyjnych składowanych na wielkich stosach. Pobieglem tam, rzuciłem się między dwa takie stosy i upadłem na rosnące za nimi chwasty. Było bardzo ciemno. Położyłem się na lewym boku, bo w prawym ciągle dokuczał mi ból, głowę oparłem na ramieniu i usiłowałem złapać oddech. Słyszałem, jak jakiś samochód wchodzi w zakręt z piskiem opon, ale było mi wszystko jedno. Tyle miałem już za sobą, że przestałem cokolwiek czuć; unikałem ich instynktownie jak tresowane zwierzę, które reaguje odruchowo na określony bodziec. Zależało mi tylko, aby dotrzeć do *Marilyn* i nie obchodziło mnie już, co będzie potem. Jeśli niczego bym tam nie znalazł, miałem zaniechać dalszej ucieczki.

Znowu zacząłem rozmyślać o Suzy, oczyma wyobraźni wciąż widząc ją leżącą na podłodze przy drzwiach salonu, zamordowaną przez tego bezlitosnego oprycha. Łatwo by mu poszło; wystarczyło zapukać, a ona otworzyłaby, myśląc, że to ja. Próbowiałem odrzucić tę myśl. Z Suzy na pewno wszystko w porządku. Miała mnóstwo innych powodów, żeby nie odbierać telefonu. Tyle że jakoś żaden nie przychodził mi do głowy.

Zresztą co mi po tym zadreczaniu się. Miałem przed sobą kawał drogi do Pirsu Piątego i próbowałem zorientować się, gdzie jestem. Pirs Dziewiętnasty znajdował się na końcu Walker Avenue, a ja byłem znacznie dalej, na południe, czyli gdzieś na wprost Pirsu Dziesiątego czy Dwunastego. Jeśli przy stacji kolejowej skręciłbym w prawo

i szedł przez niespełna dwa kilometry, to znalazłbym się gdzieś w pobliżu Pirsu Piątego. Czekala mnie niebezpieczna droga. Policja wprawdzie domyśli się, że adres, który podałem taksówkarzowi, był fałszywy, ale i tak przeszukają całe nabrzeże, skoro kierowaliśmy się w tamtą stronę. Włączyłem na chwilę zapalniczkę i spojrzałem na zegarek. Było dwadzieścia po trzeciej. Kwadrans później dźwignąłem się i ruszyłem dalej. Byłem wykończony. Pokonując siedem przecznic dzielących mnie od stacji, dwa razy omal nie zaliczyłem wpadki. Raz z ulicy tuż za mną wyjechał wóz patrolowy i ledwo zdążyłem czmychnąć pod platformę ładowniczą magazynu, zanim oświetlił mnie reflektorami.

Była czwarta dziesiąta. Zgasilem zapalniczkę i znowu znalazłem się w ciemności, między dwoma rzędami wagonów towarowych. Gdzieś za moimi plecami pracował silnik. Przykląkłem i wyjrzałem spod wagonu. Za mną ciągnęła się spokojna ulica, nieco na prawo widać było ciemny hangar pirsu, a za nim cienistą dżunglę masztów i suszących się sieci do połowu krewetek. Nie widziałem wejścia ani numeru pirsu, ale to na pewno był ten. Przeszedłem dalej wzdłuż tuzina wagonów, po czym wspiąłem się na sprzęg łączący dwa z nich.

To był Pirs Piąty. Zobaczyłem krąg światła u wejścia do hangaru, a w małej dyżurce tuż przy drzwiach siedział zaczytany stróż. Żeby dostać się na pirs lub z niego zejść, trzeba było przejść obok dyżurki, ale przynajmniej nie wymagano żadnej przepustki. Rozejrzałem się po ulicy w obu kierunkach i już miałem zeskoczyć ze sprzęgu, kiedy ujrzałem nadjeżdżający z prawej strony radiowóz. Zatrzymał się przy stróżówce na placu remontowym, który mieścił się zaraz za pirsem z numerem piątym. Policjanci zamienili słowo ze stróżem, po czym udali się na Pirs Piąty. Wezwali tam stróża i rozmawiali z nim przez chwilę. Zaczynało do mnie docierać. Widocznie tropiąc mnie, podawali mój rysopis stróżom wszystkich pirsów. Podjechali do następnego, a że był nieczynny, ruszyli dalej do numeru siedem, gdzie powtórzyli całą procedurę.

Być może chodziło im o coś innego, ale nie mogłem ryzykować. Trzeba by pójść do stróża, wyjaśnić, co i jak i na którą łódź chciałbym się dostać, ale jeśli tamten znał mój rysopis, to policja zjawi się tu,

jeszcze zanim zdążę dobiec na sam koniec pirsu. Zakląłem z frustracji. Co robić?

Zresztą z tego miejsca i tak nic bym nie wskórał. Cofnąłem się jakieś pięćdziesiąt metrów tam, gdzie niezauważony przez stróża mogłem przejść przez ulicę. Nie widząc wokół żadnych radiowozów, pognałem na drugą stronę. Zatrzymałem się w cieniu przed Pirsem Szóstym i rozejrzałem się po pochylni. Pirs Piąty ciągnął się na jakieś sto metrów i był zakończony wylotem w kształcie litery T. Stało przy nim około tuzina zacumowanych łodzi, prawie wszystkie do połowu krewetek. Tyle że nijak nie dało się obejść ogromnej pakowni i chłodni od strony lądu.

Ulicą przejechał jakiś samochód. Cofnąłem się do muru, żeby schować się w cieniu. Na końcu pochylni stała barka dźwigowa, której pokład znajdował się jakieś dwa metry niżej od miejsca, gdzie stałem. Spojrzałem w dół. Światło było słabe, ale zdawało mi się, że obok barki stoi jakaś mała łódź robocza. Zsunąłem się po krawędzi pochylni, aż natrafiłem na drabinę i po chwili znalazłem się na pokładzie barki. Na oko nikogo innego tam nie było. Prześlizgnąłem się na tył pokładówki. Rzeczywiście stała tam łódź robocza. Chwyciłem za faleń i przyciągnąłem ją. W środku było jedno wiosło.

Wszedłem na pokład, zrzuciłem faleń i powiosłowałem do cienia wzdłuż Pirsu Szóstego. Tam skręciłem i odbiłem od nabrzeża, trzymając się falochronu. U wylotu pirsu byłem już poza zasięgiem blasku ulicznych latarni. Prąd z wolna ustępował i dałem mu się ponieść w stronę wylotu Pirsu Piątego w kształcie litery T. Pośrodku stała jedna latarnia, a boczne końce pogrążone były w półmroku. Na żadnej z łodzi nie paliło się światło. Podpływając bliżej, próbowałem odczytać ich nazwy. Miałem szczęście. *Marilyn* stała pierwsza od wewnętrznej strony wylotu, zacumowana dziobem w stronę portu, a rufą do mnie. Ledwo dojrzałem po ciemku napis: MARILYN, SANPORT

Podpłynąłem do niej, chwyciłem dyszel steru i wciągnąłem się na prawą burtę. To nie była łódź do połowu krewetek; tamte wyglądały z grubsza identycznie, gdziekolwiek by ich nie napotkać. *Marilyn* była pełnomorską pokraką, starym, dwumasztowym szkunerem, najwyraźniej przerobionym na jacht motorowy. Miała ścięte maszty, a na śródkręciu dostawioną nadbudówkę, przypominającą kurnik.

Pewnie pływa nią jakiś zwyczajny rybak, pomyślałem sobie. Nawet z mrocznego wylotu pirsu było widać, że łódź jest brudna i zaniedbana. Cuchnęła też rybami; widocznie od ostatniego wyładunku połowu nikt się nie kwapił jej wyszorować. Na pokładzie stał jakiś karton pełen psujących się odpadów. Nigdzie nie było widać żadnych świateł ani słyszeć niczych głosów. Szybko zawiązałem faleń i powoli wszedłem na jej pokład.

Minąłem nadbudówkę. Na wprost leżała kładka prowadząca do ciemnej bryły pomostu. Panowała tam głęboka cisza. Gdzieś za stacją kolejową zahuczała syrena i wzdrygnąłem się. Ruszyłem na rufę, przesuwając się ostrożnie po omacku wzdłuż sterburty. Gdy znalazłem się w mrocznym cieniu nadbudówki, poczułem pod stopami ludzkie ciało. Poruszyło się, rozrzucając wokół puste puszki po piwie, które potoczyły się po pokładzie, wymamrotało coś wulgarnie pijackim głosem i znowu zapadło w sen.

Odskoczyłem w cień i skuliłem się bez ruchu, czekając, aż ustanie brzęk puszek. Nikt inny się nie odezwał. Pewnie tylko on jeden był na pokładzie, chyba że pozostali leżeli gdzieś, spici do nieprzytomności. Ten miał widocznie trzymać wartę, pomyślałem zgryźliwie, zgarniając na bok parę puszek, byle tylko nie potoczyły się dalej. Oczekałem jeszcze chwilę, przeszedłem nad nim i skierowałem się na rufę. Gdzieś z tyłu musiały znajdować się jakieś pomieszczenia dla załogi.

Po chwili natknąłem się na schodki zejściowe. Spuściłem się po nich w dół, wyczuwając drogę po omacku, a gdy już znalazłem się na dolnym pokładzie, stanąłem bez ruchu, nasłuchując ludzkiego oddechu, ale wszędzie panowała głucha cisza i ciemność jak w jakiejś kopalni, a powietrze przepełniał odór stęchlizny, smród brudnych ubrań i starego, zbutwiałego drewna. Pstryknąłem zapalniczką i spieszenie się rozejrzałem. Miejsce wyglądało na opuszczone. Była to mała, obskurna dziobówka z kojami po obu stronach i kilkoma metalowymi szafkami w przedniej grodzi. Poszukałem wzrokiem jakiegoś oświetlenia. Nieopodal szafek była zamontowana na kardanie lampa naftowa. Podeszedłem tam i zapaliłem ją. Jej mdły, żółtawy blask wypełnił pomieszczenie.

Było tam osiem koi, ale tylko na pięciu z nich leżały materace. Po pokładzie walały się niedopałki i dwie czy trzy pary kaloszy, częściowo-

wo wsunięte pod dolne koje. Na tylnej grodzi wisiały sztormiaki. Prawie nad każdą koją widniały plakaty z gołymi panienkami. Na dwóch górnych, tych bez materaców, leżały worki marynarskie i stare, zniszczone walizki, a na jednej z dolnych nowa, plastikowa torba podróżna.

Chwyciłem któryś z worków, wysypałem jego zawartość na materac i zacząłem w niej przebierać. Były tam same ubrania. Zapakowałem je z powrotem i przeszukałem następny, ale i tam niczego nie znalazłem. Następnie ściągnąłem na podłogę którąś ze starych walizek i otworzyłem. Oprócz ubrań zawierała przybory do golenia, kilka starych czasopism, talię kart, ale żadnych listów czy zdjęć.

Przeszukanie kolejnej też nie przyniosło żadnych skutków, tyle że była w niej książeczka oszczędnościowa na nazwisko Raoul Sanchez. W trzeciej znalazłem plik listów wykaligrafowanych dziewczęcym pismem. Ich adresatem był niejaki Karl Bjornsen. Westchnąłem niecierpliwie i odłożyłem wszystko na górną koję. Zostało mi jeszcze tylko to plastikowe cacko, ale miałem przecucie, że jest zamknięte na klucz. I tu się nie myliłem.

Zacząłem usilnie szukać czegoś do wyważenia zamka. Nie widziałem niczego, co mogłoby się nadawać, a wtedy zorientowałem się, że nie zajrzałem jeszcze do szafek. Podszedłem do nich i kolejno szarpnąłem za drzwiczki. Było w nich jeszcze więcej ubrań na wypadek fatalnej pogody, buty, stosy czasopism i książek w tanich wydaniach oraz kilka na wpół opróżnionych butelek po rumie. W jednej z szafek na samym dnie leżał ogromny śrubokręt i szpikulec.

Chwyciłem torbę i zabrałem się za zamek przy niej, wsuwając ostrze i podważając ku górze. Nie było łatwo, ale po paru minutach zamek puścił i wieko torby otworzyło się. Zajrzałem do środka i poczułem lekki dreszcz emocji; jej zawartość wyglądała obiecująco. Na samej górze leżał owinięty w jedwabną chustę niemiecki luger, obok plik sprośnych zdjęć związanych gumką i trzy listy ze stemplem pocztowym Hawany na Kubie, zaadresowane damską ręką do Sr Ernie-go Boyle'a. Pod nimi leżało zdjęcie mężczyzny i dziewczyny przy kawiarnianym stoliku. Mężczyzna wyglądał jakoś dziwnie znajomo. Wyjąłem zdjęcie, żeby mu się lepiej przyjrzeć, i zamarłem, nasłuchując. Ktoś był na pokładzie. Usłyszałem kroki, jak szedł tuż nad moją

głową w stronę rufy. W dwóch susach znalazłem się przy lampie i zgasilem ją.

Strumień światła wdarł się pod pokład, padając na stopnie schodków. Przywarłem plecami do koi przy sterburcie. Tamten zszedł na dół. Widziałem tylko jego czarne buty i skierowane w dół światło latarki. Zatrzymał się jakieś cztery metry ode mnie i powoli uniósł latarkę. Jej blask padał na koje przy bakburcie, a po chwili zatrzymał się gwałtownie na rozerwanym zamku plastikowej torby. Usłyszałem, jak wciąga powietrze. — Landrónes! — syknął i zaklął po hiszpańsku. Światło latarki przesunęło się i padło prosto na moją twarz.

Rzuciłem się na niego, ale blask mnie oślepił, a do tego tamten stał zbyt daleko. Kiedy się do niego zbliżyłem, napotkałem tylko pięść, która trzasnęła mnie gdzieś pod uchem, a potem poczułem twardość poręczy schodków. Rąbnąłem w nią lewym ramieniem i przez chwilę zdrętwiała mi cała ręka. Oparłem się o gródź, wyprostowałem się i ruszyłem na niego. Latarka znowu zaświeciła mi prosto w twarz, a jednocześnie dostałem w nią pięścią. Tym razem runąłem do przodu, wymachując rękami jak szalony, aż w końcu złapałem go za koszulę. Rozdarła się. Wtedy zamachnąłem się i zdołałem uderzyć go w policzek, ale tracąc równowagę, nie miałem za wiele siły. Po chwili światło zatoczyło szybki, gwałtowny łuk, coś trzasnęło mnie w głowę i upadłem.

W głowie czułem jeden wielki ból, a gdy próbowałem się ruszyć, coś mnie trzymało i ścigało moje stopy. Otworzyłem oczy. W pomieszczeniu było jasno od zapalanej lampy naftowej. Leżałem na prawym boku na jednej z koi, z rękami wykręconymi do tyłu. Dłonie miałem związane. Spojrzałem na swoje stopy.

Tamten okazał się roslym chłopakiem, Meksykaninem albo Kubańczykiem, krótko po dwudziestce. Miał na sobie kombinezon i skórzaną kurtkę. Mruczając coś pod nosem po hiszpańsku, przywiązywał mi stopy do pręta koi. Miał szerokie ramiona i kwadratową, dość sympatyczną twarz, ale kiedy na mnie spojrział, w jego oczach były gniew i pogarda.

— Landrón! — wycedził do mnie.

— Mówisz może po angielsku? — spytałem.

Sprawdził supły na linie i wyprostował się. — A pewnie, że mówię, koleś. Jak można tak nisko upaść? Żeby włązić do czyjejś łodzi i okradać załogę...

— Nie chciałem nic ukraść — przerwałem mu.

— Jasne, akurat — rzucił pogardliwie, obrócił się i ruszył po schodkach na górę.

— Gdzie idziesz? — dociekałem.

— A jak ci się zdaje? — odparł. — Do telefonu, zadzwonić po gliny.

Posłuchaj — zawołałem szybko. — Zaczekaj chwilę, co? Nie chciałem nic ukraść, mówię przecież.

— Masz mnie za głupka? — spytał, ale mimo wszystko zatrzymał się.

— A skądże znowu — odparłem. — Zastanów się chwilę, a sam zrozumiesz, że mówię prawdę. Po co, do diabła, traciłbym czas na otwieranie tej torby? Po prostu bym ją stąd wyniósł.

Tamten parsknął. — Myślisz, że stróż by cię wypuścił?

— Mam tu zacumowaną łódź. Zabrałbym te wszystkie twoje walizki pół godziny temu, gdyby mi tylko na nich zależało.

Nie odpowiedział, tylko wszedł po schodkach na górę. Usłyszałem na pokładzie jego kroki. No cóż, przynajmniej próbowałem. Po chwili jakimś cudem wrócił. Zszedł na dół i popatrzył na mnie, zadumany.

— A więc nie kradniesz walizek, tylko łodzie — podsumował. — Mów dalej, zaraz wzruszę się do łez.

— Oddam tę łódź — zapewniłem. — Chciałem też zapłacić za tę zniszczoną torbę, jeśli nie znalazłbym w niej tego, czego szukam. Pieńiądze mam w lewej kieszeni spodni...

Zapalił papierosa. — A czego niby szukasz?

— Faceta nazwiskiem Ryan Bullard.

— I łudziłeś się, że znajdziesz go w tej torbie?

— Właśnie — przytaknąłem.

— Czy tobie przypadkiem na mózg nie padło?

— Wcale nie, mówię całkiem poważnie — broniłem się. — Myślę, że on naprawdę tam jest. Na tym zdjęciu... No, ale nieważne. A więc nie pływa tu z wami nikt o takim nazwisku?

— Nie.

— To pewnie je zmienił. A może facet, którego szukam, to wcale nie Bullard, ale i tak muszę go dorwać. Macie tu wielkiego typu, jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu albo więcej, kawał chłopaka jak się patrzy, czarne oczy, płaski nos, prawie łysy, z kępką czarnej grzywki?

Tamten pokiwał głową. — To Ernie Boyle. Poczułem przyływ emocji. Może wreszcie trafiłem na właściwy trop. — W takim razie to jego szukam.

— Tyś chyba oszalał, koleś. Całkiem postradałeś zmysły. Lepiej już wezwę gliny. Gdybym to ja dobrał się do jego walizki, to wolałbym raczej mieć do czynienia z nimi, a nie z nim.

— Wiem, co to za jeden — orzekłem. — Już raz się na niego naknąłem. Ale siedzę w takim szambie, że Boyle może tylko skrócić moje męki.

— A kim w ogóle jesteś? I dlaczego przyplynałeś tu łodzią?

— Nazywam się Foley — odparłem.

Otworzył szeroko oczy. — Aha... Trzeci oficer tankowca, co zakatrupił gliniarza...

— Nie ja go zakatrupiłem. — Opowiedziałem mu o szamotaninie i o tym, jak wyszedłem z mieszkania Stedmana. Trudno było odgadnąć jego myśli.

— I sądzisz, że zrobił to Boyle?

— A przynajmniej mógł być w to jakoś wmieszany.

— Czekaj no, Foley. Kiedy to się stało? Jakiś tydzień temu?

— W zeszły wtorek.

— Uhm. Tak myślałem. Dopiero w piątek dobiliśmy do portu. Tego się właśnie obawiałem. — To znaczy, że był z wami na pokładzie?

— Taa. We wtorek byliśmy jeszcze u brzegów zatoki Campeche, jakieś czterysta mil stąd.

— Wcale nie twierdzę, że on to zrobił — skonstatowałem. — Właściwie to nawet wiem, kto jest sprawcą. Podejrzewam tylko, że miał z tym coś wspólnego. Nie słyszałeś przypadkiem, czy wspominał o niejkiej Frances Celayi?

— Nie-e, pierwsze słyszę.

— To może o Dannym?

— Ani razu.

— A ty? Jak się nazywasz? — dociekałem.

— Raoul Sanchez.

— No dobra, więc posłuchaj, Raoul... — Opowiedziałem mu o zasadzce przy placu zabaw i o zabójstwie Frances Celayi. — Ten facet Boyle musiał maczać w tym palce. Chcę się wywiedzieć, co i jak. W tej torbie może coś być. To jak, rozwiążesz mnie?

— Jasne. Świetny pomysł. A potem on wróci i zobaczy, jak siedzę i się gapię, podczas gdy ty grzebiesz w jego rzeczach. I załatwi nie tylko ciebie, ale nas obu. Wymyśl coś innego.

— Daj spokój — zachnąłem się. — Jak tylko tu zejdziesz, to rzucisz się na mnie i upozorujesz bójkę. Powiesz, że właśnie tu wszedłeś i mnie przyłapałeś.

Pomyślał nad tym przez chwilę, wzruszył ramionami i zaczął po-luźniać supły. — No dobra, ale nie próbuj żadnych sztuczek, Foley, bo dorwę cię, kiedy tylko zechcę. Byłem zawodowcem przez parę lat.

— Dzięki — rzuciłem. Usiadłem i poruszyłem rękami. — Wygląda na to, że i tobie nie podoba się ten cały Boyle?

Usiadł na jednej z koi i zdusił niedopałek w puszcze po sardynkach. — Może i nie. Ale przynajmniej nie wchodzę mu w drogę.

Przeszedłem na wprost do walizki na koi, wyjąłem lugera i sprawdziłem, czy jest naładowany. Nie był. Trzymając go w dłoni, już miałem się obrócić, ale oniemiałem na widok miny Raula.

Na jego twarzy malowały się gniew i rozgoryczenie. — Niezły numer, landrón. Dałem się nabrać jak frajer, co?

Wreszcie załapałem. — Trzymaj — powiedziałem, uśmiechnąłem się i rzuciłem mu broń. Złapał ją, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

— Nie jest nabity — oznajmiłem. — Ale jak tylko usłyszysz, że nadchodzi Boyle, to celuj we mnie. Powiedz, że wszedłeś tu przed chwilą i mi go wyrwałeś.

— Hmmmm — mruknął. — Ty chyba naprawdę mówisz serio, Foley. Ale lepiej będzie, jak poszukasz tu jakiejś amunicji, naładujesz go i zatrzymasz dla siebie. To jedyny sposób, żebyś wyszedł z tego cało, kiedy zjawi się tu Boyle.

— Nie chciałbym do niego strzelać — przyznałem. — To może być jedyny człowiek na tym świecie, który wie, że to nie ja załatwiłem tamtego glinę. Dopóki będzie żył, istnieje szansa jedna na milion, że

zacznie śpiewać. A jak padnie trupem... — Raz jeszcze podszedłem do walizki.

Najpierw było to zdjęcie. Mężczyzna na nim niewątpliwie wyglądał znajomo, ale dziewczyny nigdy przedtem nie widziałem: Latynoska, bardzo ładna zresztą, ale to nie była Frances Celaya. Podałem zdjęcie Sanchezowi. — Czy to Boyle?

Skinął głową. — Taa, tyle że chyba sprzed paru lat, bo miał jeszcze włosy.

— Tak też myślałem — zgodziłem się. — To ten sam facet, który zajrzał do budki telefonicznej, żeby mi się przyjrzeć. Jak myślisz, gdzie strzelono tę fotkę? W Hawanie?

— Możliwe — odparł. — Albo w Vera Cruz. Tam też mają takie kafejki.

— A czy Boyle kiedykolwiek wspominał o Kubie? Zaprzeczył. — On to w ogóle mało gada. Ale po hiszpańsku nawija aż miło, sam słyszałem.

A więc powoli wszystko zaczyna się układać, pomyślałem. Podobno Bullard odsiadywał wyrok w kubańskim więzieniu. Zabrałem się za przetrząsanie torby. Na sprośne zdjęcia nie zważałem; Hawana to nie jedyne miejsce, gdzie można takie kupić. W innej kopercie znalazłem trzy małe fotografie jakiejś łodzi. Nie było na nich żadnych osób ani notatek na odwrocie sugerujących, gdzie i kiedy je zrobiono. Była to żaglówka z keczem, długości na oko trzynastu czy piętnastu metrów.

I to by było na tyle. Nic innego oprócz zwyczajnych ubrań i przyborów toaletowych. Dla pewności przeszukałem raz jeszcze, szperając nawet w kieszeniach ubrań, po czym sprawdziłem, czy torba nie ma drugiego dna albo jakichś ukrytych przegródek. Amunicji do naładowania broni też tam nie znalazłem.

Nic, tylko te trzy listy. Popatrzyłem na koperty. Dwie nosiły stempel z października, trzecia z listopada. Wszystkie zaadresowano do Sr Erniego Boyle'a, zamieszkałego u Senory Jiminez w Ybor City na Florydzie, ale ostatni przekazano stamtąd do Boyle'a na *Marilyn*, z pocztą do firmy Tinsley Seafood Parking Co. W Sanport. Wyjąłem pierwszy z listów. Był napisany po hiszpańsku, a do tego nieczytelnym pismem. Kiedyś w szkole średniej uczyłem się tego języka przez rok i nie dość, że niewiele z tego wyniosłem, to i tak wszystko zapo-

niałem, a przy tym fatalnym charakterze pisma sprawa była beznadziejna. Przejrzałem dwa pozostałe i trafiłem na to samo. Jedyne, czego się dowiedziałem, to to, że napisała je ta sama dziewczyna. Podpisywała się jako Cecilia.

W jednej chwili pokręciłem głową, nie wierząc we własną głupotę. Podałem listy Sanchezowi. — Mógłbyś je przejrzeć i wyklarować mi, co tam jest napisane? Nie umiem czytać po hiszpańsku.

Uśmiechnął się szeroko. — Pewnie cię to rozbawi, Foley, ale ja też nie.

— Jak to?

— No wiesz, tu czy tam wyczaję jakieś słówko, ale nic poza tym.

— Żarty sobie stroisz? Przecież coś tam gadałeś... — Tu przerwałem, nieco skrepowany. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mógłby być analfabeta.

Wyczuł moje zawahanie i znowu się uśmiechnął. — Och, czytać i pisać umiem, ale tylko po angielsku. Moja rodzina pochodzi z Meksyku, sam rozumiesz. W domu mówiło się po hiszpańsku, ale ja się urodziłem w Corpus Christi i tam chodziłem do szkoły. Po hiszpańsku też mówiłem, ale nigdy nie nauczyłem się czytać.

— Ano tak — przyznałem. To by się nawet zgadzało.

— Parę słów może skapuję — dodał. — Ale...

— Ale co?

— Nie bardzo mi się widzi czytać listy kumpla ze statku. Co gorsza, jak tylko mnie przyłapie, to zakatrupi nas obu.

— Sam jestem marynarzem — zauważyłem. — I też nie lubię szperać w cudzych rzeczach. Ale tu nie chodzi o kumpla. Ten bezlitosny sukinsyn przed czterema godzinami utopił w wannie pewną dziewczynę. Głowę daje, że maczał też palce w zabójstwie policjanta nazwiskiem Purcell. I o ile się nie mylę, to on pięć lat temu zatłukł na śmierć marynarza kijem baseballowym. Więc może nie bądźmy tacy wrażliwi.

— No racja — przyznał.

Wyjął kolejno każdy list i przejrzał, marszcząc przy tym czoło. Zapadła martwa cisza, tylko owady uderzały cichutko o szkło naftowej lampy. Popatrzyłem niespokojnie dookoła, aż namierzyłem szpikulec; leżał tuż obok torby podróżnej z wyważonym zamkiem. Tak czy inaczej, jeśli zjawiłby się Boyle, miałem marne szanse wyjść stąd żywy.

Nie dość, że miał nóż, to przewyższał mnie wagą o ponad dwadzieścia kilogramów, no i w zabijaniu uchodził jakby za zawodowca.

Sanchez tymczasem wsunął ostatni list do koperty i podał mi je. — Prawie nic z tego nie kapuję — przyznał. — To listy miłosne, chyba nawet z pikantnymi szczegółami, ale to cię pewnie nie interesuje. Dziewczyna kilkakrotnie wspomina, co będzie po tym, jak on zdobędzie pieniądze. Nie wiem, o jakie pieniądze chodzi ani gdzie miał je zdobyć, ale zdaje się, że chcą za nie kupić jakąś łódź.

— W torbie są zdjęcia łodzi — zauważyłem. — To pewnie ta. Przytaknął. — W każdym razie dziewczyna pisze o tym w paru miejscach.

— A może jakieś nazwiska? — dociekałem.

— Tylko pani Jiminez. I raz pojawia się imię Frances.

Od razu podniosłem wzrok. — Frances? A nazwisko?

Pokręcił głową. — Nie. Jest tylko imię. Domyślam się, że chodziło jej o kogoś w Ybor City. No wiesz, to dzielnica Tamy. Mieszka tam całe mnóstwo Kubańczyków.

— Wiem — odparłem. — A pamiętasz może, od kiedy Boyle pływa na tej łodzi?

— Zaraz. Dołączył do nas w Tampie chyba jakoś we wrześniu. W każdym razie podczas sezonu huraganowego. Jak wypłynął z nami na pierwszy rejs, musieliśmy się wycofać i przeczekać jedną nawałnicę w Mobile. — A więc pływaliście z połowem do Tamy?

— Taa. I czasem też na Pensacola.

— A od jak dawna przypluwacie do Sanport?

— Jakoś od drugiej połowy listopada.

— A w czasie tych waszych postojów ktoś może odwiedzał Boyle[^] na tej łodzi?

— Nie, Foley. Nic o tym nie wiem.

— To może on się urywał na jakiś czas?

— Bynajmniej. Cały czas siedział na miejscu.

To mi się nie podobało. — Macie tu jakiś dziennik pokładowy?

Pokiwał głową. — Jasne. Codziennie odnotowujemy połowy. I nasze położenie, o ile je znamy. — Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. — To nie to, co wy i te wasze sekstanty, systemy LORAN, RDF-y, echosondy i inne takie. U nas się stosuje sondę ręczną.

— To może zajrzyjmy do dziennika?

— Oczywiście. — Wszedł po schodkach i usłyszałem jego kroki na pokładzie. Chwilę potem przyniósł jakąś starą, zniszczoną księgę.

— Sprawdź, gdzie *Marilyn* była dwudziestego grudnia — naka-
załem.

Przerzucił parę stron wstecz i przysunął się bliżej do lampy. — Hmmm. Tutaj, w Sanport. Zaczęliśmy przy siedemnastce i wypłynęliśmy dwudziestego pierwszego. O siódmej rano.

Skinąłem głową. — W porządku. A dwudziestego ósmego stycznia?

Przekartkował naprzód. — O, tu. Wtedy też staliśmy w Sanport. Przyplłynęliśmy dwudziestego siódmego, a trzydziestego odbiliśmy.

A więc kiedy doszło do napadu w Shiloh, Boyle był na miejscu, podobnie jak w dniu, gdy Purcell popełnił samobójstwo — czy raczej ktoś mu w tym pomógł. Ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. W tym samym czasie w mieście było jeszcze ponad pół miliona innych ludzi.

— Dzięki — rzuciłem do Sancheza, który wyszedł na pokład odnieść dziennik. Wziąłem jeden z listów i wgapiłem się w niego, próbując siłą woli przypomnieć sobie hiszpański, którego dziesięć lat temu trochę liznąłem. Coś *musi* w tym być. Usłyszałem kroki Sancheza na pokładzie i stukot jego butów po schodkach.

— To taki wścibski z ciebie typ, kolego?

Obróciłem się. To nie był Sanchez. U podnóża schodków stał Boyle, jego ogromne bary w szarym, brudnym swetrze zdawały się wypełniać całą przestrzeń między poręczami. Obwisłe wargi wykrzywiły się w uśmiechu, kiedy wyjął z kieszeni nóż i otworzył go. Chwyciłem szpikulce. Boyle oparł się o schodki, mierząc mnie chłodno swymi małymi, czarnymi oczkami. Nie było w nich wrogości. Po prostu miał do wykonania jeszcze jedną robotę. Zamachnąłem się szpikulcem na osłonę lampy i w całej dziobówce zapadł głęboki mrok.

Czekałem w napięciu, nasłuchując szurania butów o podłogę. Znowu zapanowała cisza.

Po chwili tamten odezwał się cicho od strony schodków. — Tylko wtedy możesz się wydostać, panie marynarzu. Chodź tu i spróbuj.

Nic nie odpowiedziałem. Nie było widać kompletnie nic, wokół ciemno jak w mogile. Odzywać się nie miałem po co, bo zaraz zorien-

towałby się, gdzie jestem. Za to ja wiedziałem, gdzie stoi Boyle i że się stamtąd nie ruszy: był między mną a schodkami.

Gdybym tylko miał czym rzucić... Byle nie szpikulcem, pomyślałem sobie. Musiałem trzymać go w ręce tak długo, jak tylko się dało; był moją jedyną szansą przeżycia. Luger! Sanchez położył go na koi, gdzie siedział. Usiłując po ciemku odtworzyć sobie to miejsce w pamięci, zrobiłem mały krok w lewo, a potem naprzód, i sięgnąłem ręką. Natrafiłem na poręcz koi, po czym przesunąłem dłonią po materacu, zataczając kręgi. Ile jeszcze Boyle będzie czekał? Wiedział, że gdziekolwiek by się nie ruszył, to w tej ciasnocie i tak nie precisnę się obok niego, bo zaraz by to poczuł. Chciał jednak, żebym krzyczał i błagał. Moje palce natrafiły na lugera. Przyciągnąłem go do siebie, przełożyłem szpikulce do lewej dłoni, a prawą wziąłem spluwę i cicho wróciłem na miejsce. Boyle tymczasem wciąż stał bez ruchu.

Opuszkami palców zmacałem poręcz górnej koi po lewej stronie, chcąc się upewnić, że już dotarłem na sam środek dziobówki. Teraz miałem Boyle'a na wprost, jakieś trzy i pół metra dalej. Nie byłem jednak pewien, czy nie klęczy. Przytrzymałem lugera na chwilę pod lewym ramieniem, prawą ręką sięgnąłem do kieszeni i dobyłem dwie monety. Rzuciłem je nieco na prawo, w stronę rufy. Zadźwięczały, uderzając gdzieś z boku o gródź.

Nie poruszył się, tylko wybuchnął śmiechem. — Stary, chyba nie myślałeś, że dam się nabrać na tak idiotyczne sztuczki, co?

Chwyciłem lugera prawą dłonią, cofnąłem się i cisnąłem z całej siły przed siebie, skąd dobiegał jego głos. W jednej chwili dał się słyszeć potworny odgłos uderzenia i jakieś ciche chrupnięcie, jakby łamanie kości. Boyle zawył z bólu i gniewu. Nóż uderzył o podłogę, a tamten powalił się na stopnie.

Ruszyłem naprzód, wymachując szpikulcem, który pobrzękiwał o poręcz przy schodkach. Cofnąłem rękę, po czym znowu wymierzyłem cios, z góry do dołu. Poczulem, że go trafiłem. Jego ramię otoczyło moje nogi. Roześmiał się. Brzmiało to okropnie, jak bulgot

i chrzęst żwiru, jakby usta miał pełne krwi i pokruszonych zębów. Dźwignął się z podłogi. Wskoczyłem na schodki i upadłem na plecy, czując jego ciężar. Powalił się na mnie. Próbowałem ugodzić go szpikulcem i trafiłem. Uniosłem rękę, żeby znaleźć jego głowę i walnąć go w strategiczne miejsce. Czułem, jak moja dłoń ślizga się po jego za-

krwawionej twarzy. Wymachiwałem stalowym ostrzem raz po raz. Wtedy wielka dłoń chwyciła mój nadgarstek, wykręcając go. Szpikulec wyslizgnął mi się z ręki i upadł na podłogę, zataczając w ciemności małe koło. Teraz już żaden z nas nie miał broni. Zastanawiałem się, jak go pokonam gołymi rękami, skoro nie zdołałem tego zrobić przy pomocy solidnego, stalowego pręta. W tym momencie wielka pięść trzasnęła mnie w twarz, aż zobaczyłem gwiazdy. Przeturlałem się, byle dalej od niego i zacząłem go kopać na oślep. Po chwili jakimś cudem znalazł się poza zasięgiem mojego dotyku. Rozdzieliliśmy się, pogrążeni w nieprzeniknionej ciemności, każdy osobno, jak dwie pozabawione oczu prymitywne formy życia, kołujące w walce gdzieś na mulistym morskim dnie. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy: ani Boyle, ani ja sam. Szlag trafił cały zmysł orientacji.

Kłęczałem, całkiem bez ruchu, usiłując opanować swój jękliwy oddech. Żebrami przywarłem do poręczy, nijak nie wiedząc, czy koja stoi od sterburty w stronę dziobu, czy od bakburty do rufy. Wstrzymałem oddech, usiłując wyłowić jakieś dźwięki, ale krew tak mi szumiała w uszach, że nic nie słyszałem. Boyle musiał leżeć gdzieś między mną a schodkami, tyle że pewnie wcale nie był tego świadom. Z jakiegoś powodu pomyślałem o Suzy Patton. Prawdopodobnie ją też załatwił. Ogarnęła mnie wściekłość i zapragnąłem dorwać go w swoje ręce. To było szaleństwo, dobrze o tym wiedziałem; jedyny sposób, żeby wyjść stąd żywy, to trzymać się od niego z daleka, byle się jakoś dostać do schodków. Nie mógłbym go pokonać. On był jak goryl; łatwo ukatrupiłby mnie gołymi rękami, tak jak to zrobił z Frances Celayą.

W pewnym momencie coś usłyszałem. To był głuchy, metaliczny dźwięk i domyśliłem się, że Boyle musiał otrzeć się o gródź albo trącić ją butem. Widocznie był z dala od schodków, gdzieś z przodu dziobówki. Odgłos dobiegł mnie z lewej strony, więc wstałem i ruszyłem z wolna w przeciwnym kierunku. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem poręczy schodków. Wtedy mnie dopadł. Upadłem na stalowe stopnie, a on na mnie, usiłując zacisnąć mi dłonie na szyi. Odpychałem go rękami i nogami, aż zsunęliśmy się ze stopni i poturlaliśmy po podłodze. Wpakowaliśmy się na pręt piętrowej koi, ten pękł i materace pospadały prosto na nas. Wygramoliłem się spod Boyle'a, usiadłem mu na plecach, zacieśniłem mu ramiona wokół szyi i szarpnąłem do sie-

bie. Dźwignął się na kolana, a po chwili wstał, wlokąc mnie za sobą. Zacisnąłem ręce, Boyle zatoczył się w bok, stracił równowagę i obaj runęliśmy na oślep prosto na blaszane szafki, które rozleciały się w mig i spadły na nas.

Boyle oderwał mi ręce od swojej szyi i zrzucił mnie. Metalowe półki szczękały i pobrzękiwały, kiedy usiłowaliśmy się spod nich wydostać. Jego pięść trafiła mnie w policzek, rzucając mną o gródź. Trochę mnie zamroczyło. Chciałem wstać, ale potknąłem się o półkę. Wtedy Boyle chwycił mnie i rąbnął tyłem mojej głowy o gródź. Jego wielka dłoń zacisnęła mi się na gardle. Zacząłem się dusić i tracić przytomność. Wtedy zdawało mi się, że słyszę, jak ktoś biegnie po pokładzie, tuż nad nami.

Z góry błysnęły latarki i na schodkach pojawili się jacyś mężczyźni. Boyle puścił mnie i odskoczył, a ja dźwignąłem się chwiejnie na kolana, widząc, jak tamten dopada jakiś przedmiot, który lśnił w świetle na podłodze. To był szpikulec.

— Policja! — krzyknął czyjś głos. — Nie ruszać się!

Boyle chwycił metalowe ostrze i ruszył w kierunku światła. — Rzuć to! — zawołał ostrzegawczo głos, ale tamten zdążył zrobić jeszcze krok. Rozległ się strzał. Boyle upadł na gródź przy schodkach i osunął się na podłogę.

Usiłowałem się podnieść, ale naraz opuściły mnie wszystkie siły i nie dałem rady. Odpływając w mrok, zdążyłem pomyśleć tylko jedno: straciłem ich wszystkich. Frances Celaya nie żyje, a teraz jeszcze zastrzelili tego Boyle'a. Nie było już nikogo, kto mógł wiedzieć, jak było naprawdę.

Otworzyłem oczy. Leżałem w łóżku szpitalnym na małej, białej sali. Był już dzień. Naprzeciw mnie, na opartym o ścianę krześle, siedział umundurowany policjant i czytał gazetę. Zerknął znad niej i dostrzegł, że się przebudziłem.

— Która to godzina? — spytałem.

— Wpół do dwunastej — odparł. Podeszedł do drzwi i przez chwilę rozmawiał z kimś na korytarzu. Nie słyszałem, co mówił. Następnie wrócił i usiadł na miejsce. Poruszyłem rękami i nogami. Wszystko zdawało się w porządku, tyle tylko, że byłem zeszywniały i obolały i kłuło mnie w boku. Dotknąłem prawego policzka i poczułem ból.

Pomyślałem o Suzy. Może tamci już wiedzą, co z nią, ale nie mogłem pytać. Niewykluczone, że miała się dobrze, a wspomnienie jej imienia oznaczałoby, że brała w tym wszystkim udział. Wiedzieli przecież, że ktoś mi pomagał.

— Czy mogę zadzwonić? — spytałem mundurowego.

— Nie — odparł.

— A czy Boyle nie żyje?

Odłożył gazetę. — Proszę nie zadawać mi żadnych pytań. Zaraz będzie tu ktoś, kto już od tygodnia chce zadać ich kilka panu. Ja mam tylko pilnować, by pan nie zwiął przez rurę umywalki albo dziurkę od klucza, bo znów będziemy szukać wiatru w polu.

Położyłem głowę z powrotem na poduszce. Po jakichś dwudziestu minutach drzwi się otworzyły i wszedł rostry mężczyzna w wygniecionej marynarce. Sprawiał wrażenie solidnego i kompetentnego. Miał na brodzie lekki zarost, a jego oczy, patrzące raczej surowym wzrokiem, były zaczerwienione, jakby od dawna nie spał. Skinął głową do mundurowego, który wstał i wyszedł.

Mężczyzna zapalił papierosa, popatrzył na mnie przez chwilę i wziął głęboki oddech. — Gdybym cię zabił, to pewnie okazałoby się, że zabrania tego jakieś głupie rozporządzenie. Ale przyjemnie jest o tym pomyśleć... No więc kto cię ukrywał?

— Po co wam to teraz? — spytałem.

Przetarł dłonią twarz. — Właściwie to sam nie wiem. Po prostu strach mnie ogarnia na samą myśl, że was dwoje grasuje na tym kontynencie. No więc kim ona jest?

— A skąd ta pewność, że to kobieta?

— Bo przez telefon twierdziłeś, że to mężczyzna. Wyjątkowo subtelna sztuczka, sam widzisz...

— A więc porucznik Brannan?

— Zgadza się. A czy jeszcze porucznik, to się okaże po powrocie na komendę. — Przysunął do łóżka krzesło i usiadł. — Słuchaj no, bracie, miałeś nie lada szczęście, że ten latynoski młodzik wyrwał się z łodzi i nas wezwał. Jeszcze chwila, a byłbyś trupem.

— A ten Boyle? Nie żyje? — dociekałem.

— Uhm.

Nic nie odpowiedziałem. Robiłem, co w mojej mocy, ale już od samego początku byłem skazany na porażkę.

Tamten westchnął i machnął papierosem. — No dobra, niech ci będzie. Chciałem cię trochę podręczyć, ty przekorny irlandzki draniu, ale jakoś nie mam serca. Boyle zmarł około godziny temu, a wcześniej złożył zeznanie.

Powietrze ze mnie uleciało i myślałem, że się rozpląnę. Próbowałem coś powiedzieć, ale nic z tego nie wyszło.

— Masz — powiedział, wsunął mi do ust papierosa i zapalił go.

— Czy to był Ryan Bullard? — spytałem, kiedy już odzyskałem mowę.

Skinął głową. — Dostał w pierś i lekarze stwierdzili, że nie ma żadnych szans. Chciał się widzieć z księdzem i wielebny O'Shea udzielił mu ostatniej spowiedzi. Po jego śmierci sprawdziliśmy, rzecz jasna, jego odciski i tożsamość. To był Bullard.

— A czy jego zeznanie w ogóle ma jakiś sens? — dociekałem. — Przecież nie było go przy tym, jak tamta dziewczyna załatwiła Stedmana. Wypłynął wtedy w morze.

— Racja — zgodził się. — Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości, ale to była spowiedź na łożu śmierci i jedno zązębia się z drugim. Bullard przyznał się, że spiskował z dziewczyną, by zabić Stedmana. Tak samo zresztą załatwili Purcella. Tyle tylko, że dziewczyna trochę się pośpieszyła, bo widząc tę waszą durną bijatykę w mieszkaniu Stedmana, uznała, że to dobra okazja. Jak Bullard się o tym dowiedział, to o mały włos jej nie ukatrupił za ten idiotyczny pomysł. Gdybyś poddał się po tym, jak dowiedziałeś się o śmierci Stedmana, i złożył sensowne zeznanie, to może wszczęlibyśmy śledztwo i dotarli do tych dwojga. Pewnie trochę by to trwało, ale przynajmniej byłbyś czysty. Ale ty wolałeś ulotnić się jak pusty balon, a my ganialiśmy za tobą przez kolejne siedem dni po całym cholernym kraju. Nic dziwnego, że wszyscy uznali cię za sprawcę.

— Wiem — odparłem. — Po prostu spanikowałem. A więc wszystko zaczęło się od tego napadu w fabryce narzędzi Shiloh?

Przytaknął głową. — Frances Celaya była bratanicą znajomej Ryana Bullarda z Tamy, kobiety nazwiskiem Jiminez. Znalazł ją, kiedy przyplłynął tu w listopadzie podczas swego pierwszego rejsu. Wtedy właśnie wymyślił ten napad. Wraz ze swoją dziewczyną w Hawanie planowali kupić łódź. Zdaje się, że kombinowali jakiś przemyt; Bóg raczy wiedzieć, co dokładnie, ale znając Bullarda, na pewno chodziło o jakiś szemrany interes. No więc ugadał się z Dannyem co do tego napadu i przedstawił go Frances, a ta najwyraźniej zadurzyła się w nim jak małolata. Zapoznała go z całą procedurą dostarczania do firmy pieniędzy na wypłaty i tak uknuli cały plan. Okazali się przy tym nad wyraz przebiegli; nikt się nawet nie połapał, że tych troje się znało. Wiedzieli, że po całym zajściu policja zacznie przesłuchiwać pracowników. Danny wystawił tego kanciarza z Oakland, co wpadł tu z wizytą. No i udało im się. Opryszek z Kalifornii dostał kulkę, a obaj Bullardowie zwiali. Danny z czternastoma tysiącami dolarów udał się do swego mieszkania i ukrywał się tam aż do podziału forsy, bo Ryan nie bardzo mógł przechować ją na pokładzie łodzi *Marilyn*. Ale potem napatoczyli się Stedman i Purcell, żeby przesłuchać Danny'ego w sprawie napadu na sklep monopolowy...

Pokiwałem głową. — I kiedy jego brat dowiedział się, że Stedman i Purcell go stuknęli, a w raporcie napisali, że stawiał opór przy areztowaniu, nie wspominając ani słowem o napadzie w Shiloh i tych

czternastu tysiącach, uznał to za zabójstwo z zimną krwią dla pieniędzy?

— Właśnie.

— I myśli pan, że miał rację? — zagadnąłem.

Popatrzył markotnie na koniuszek papierosa. — Nie A przynajmniej mam taką nadzieję. To były sprzedajne typy, ale nie do tego stopnia. Widocznie tamten wyciągnął broń, no i musieli strzelić, a na pieniądze natrafili później, podczas przeszukiwania mieszkania.

— I macie już te pieniądze?

— Owszem. Trzymali je w skrytkach bankowych. Namierzyliśmy je dzisiaj rano.

— A jak pan sądzi, czy Ryan Bullard i ta dziewczyna liczyli na to, że znajdą tę forszę w ich domach?

— Nie mam pojęcia — odrzekł. — Ale po mojemu w przypadku dziewczyny to była wyłącznie zwyczajna, czysta zemsta. Chyba całkiem oszalała na punkcie Danny'ego Bullarda. Uwierzyła, że dwaj skorumpowani gliniarze stuknęli go z zimną krwią. A Ryan Bullard uznał po prostu, że został wystawiony do wiatru. To był urodzony brutalny zabójca.

Znowu pomyślałem o Suzy Patton i nerwy mi zadrgały. — A przyznał się też do innych morderstw? - dociekałem, spuszczać wzrok i wpatrując się w swój papieros.

— Do paru — odparł. — Ale tamte nie miały nic wspólnego z tą sprawą. ^

Wysiliłem się na obojętny ton. — To kogo jeszcze zabił?

— Marynarza podczas strajku parę lat temu. I jednego ze świadków tego zdarzenia. A o co chodzi?

Nie ojej bezpieczeństwo — już nie. Co najwyżej już nie żyła albo przeciwnie, miała się dobrze, tyle że wspominając jej nazwisko niczego bym nie wskórał ani nie zmienił. Tylko niepotrzebnie bym ją w to wmieszał.

— Och, właściwie to o nic — uciąłem. — A jak dopadli Purcella?

— Zostawił dziewczynie otwartą furtkę, a ona wpuściła Bullarda. Po tym, jak go załatwili, dziewczyna wyszła tylnym wyjściem a Bullard zablokował furtkę i przelazł przez płot. Żadne z nich nie pokazało się od frontu. Bullard przyznał, że to ona go kropnęła A więc sama załatwiła obu gliniarzy.

— A co macie na mnie? — spytałem.

Westchnął. — W sumie to nic, nie licząc tylko napadu z pobiciem, stawiania oporu policji, wtargnięcia na teren prywatny, kradzieży z włamaniem, ulicznego rabunku i bezprawnego wejścia do cudzego mieszkania. Aha, no i piractwa, tyle że Sanchez odprowadził już tę łódź na miejsce, skąd ją pożyczyłeś. Nie wiem tylko, gdzie buchnąłeś tę traperską kurtkę, w której cię przywieźliśmy, ale nie będę w to wnikał...

— Dostałem ją od pewnego astronoma — wyjaśniłem. — Dokonaliśmy wymiany.

— To by nawet miało sens.

— A więc chcecie mnie zatrzymać? — spytałem.

— Ależ skąd — odparł niechętnie. — Właśnie mieliśmy w tej sprawie konferencję u szypra i ktoś wpadł na niezły pomysł. Jeśli, dajmy na to, rada miasta przegłosuje jakąś zniżkę podatkową dla rafinerii Southlands, to może przyjmą cię tam z powrotem do roboty i wyślą w cholerę. A wtedy nasz wydział wróciłby do czterdziesto-ośmiogodzinnego tygodnia pracy i co niektórzy z nas mogliby wreszcie zjawić się w domu i sprawdzić, czy mają jeszcze żony. Jeśli się zgadzasz, oczywiście.

— Dzięki — rzuciłem.

Wstał z miejsca. — A przy okazji, lekarze twierdzą, że nie widzą u ciebie żadnych poważnych uszkodzeń poza kilkoma sińcami, guzami i ranami. Rzecz jasna, każdy inny na twoim miejscu byłby już trupem. Prześwietlili ci jamę brzuszną i najwyraźniej wszystko jest w porządku. A teraz napuszczę na ciebie dziennikarzy, a jak już skończą, to odwiozę cię do mieszkania.

I wyszedł. Do sali wtargnęło sześciu czy ośmiu dziennikarzy i fotoreporterów, którzy zaczęli pstrykać zdjęcia i bombardować mnie pytaniami. Trwało to jakieś dwadzieścia minut. Następnie ubrałem się, wyszedłem z Brannanem i wsiadłem do zaparkowanego przed szpitalem radiowozu. Kiedy w drodze na Forest Avenue przedzieraliśmy się przez centrum w południowych korkach, Brennan spojrzał na mnie z szerokim uśmiechem. — Moglibyśmy przejechać na syrenie, jeśli masz ochotę posłuchać jej z bliska.

— Obym już nigdy żadnej nie usłyszał — odparłem.

Wysadził mnie przed domem, uścisnęliśmy sobie dłonie i radiowóz odjechał. To było dziwne uczucie stać tak na widoku, zupełnie wolny, w samym środku dnia, nie chowając się ani nie oglądając za siebie. Zastanawiałem się, czy zdołam przyzwycząić się na nowo do dawnego życia. Wszedłem frontowymi drzwiami i ruszyłem po schodach do mieszkania. Niby nic się w nim nie zmieniło, a jednak czułem się, jakby nie było mnie tam przez ładnych parę lat. Zamknąłem drzwi, sięgnąłem po telefon i wybrałem numer Suzy Patton. Sygnał dźwięczał długo, ale nikt nie odpowiadał.

Odwiesiłem słuchawkę, odczekałem chwilę i spróbowałem znowu. Może właśnie bierze kąpiel albo śpi. Wsłuchiwałem się w jednostajny sygnał, czując w żołądku bryłę strachu. A więc ja wyszedłem cało z opresji, a ona zginęła tylko dlatego, że mi pomogła. Wyobrażałem sobie, jak leży na dywanie w salonie... W jednej chwili rozłączyłem się, zadzwoniłem po taksówkę i wybiegłem z budynku.

Miałem wrażenie, że to czekanie trwa całą wieczność. Kiedy wreszcie zjawiała się taksówka, podałem kierowcy adres i nagle przyszło mi do głowy, że być może Brannan kazał mnie śledzić, chcąc się dowiedzieć, kto mnie ukrywał. Przez cały czas, gdy pruliśmy przez centrum do prowadzącej na północ drogi głównej, obserwowałem ulicę w lusterku wstecznym. Wokół nas stale tłoczyły się tuziny aut, ale nie dostrzegłem nikogo, kto mógłby nas śledzić.

Było wczesne popołudnie, ciepłe i słoneczne. Podjechaliśmy pod apartamentowiec, podałem taksówkarzowi dwa dolary i ruszyłem ścieżką. Nacisnąłem guzik przy numerze 703 i czekałem, ale domofon nie zabrzączał. Nacisnąłem jeszcze raz. Znowu nic. Zawróciłem i zszedłem na podziemny parking. Niebieski oldsmobile stał na swoim miejscu. Teraz przeraziłem się na dobre. Pobiegłem z powrotem do wejścia, znalazłem przycisk dozorca i wcisnąłem go.

Gdy tylko mnie wpuścił, wszedłem do środka i pognałem schodami na pierwsze piętro. Dozorca mieszkał pod numerem 203. Nacisnąłem dzwonek. Otworzył i wyjrzał na korytarz. Był to rosły, swobodny mężczyzna, w ręce trzymał puszkę z piwem. — W czym mogę pomóc? — spytał.

— Chodzi o pannę Patton spod siedemset trzy — wyrecytowałem. — Nie odpowiada na telefony, nie odbiera domofonu i pomyślałem sobie...

Upił łyk piwa. — Może nie ma jej w domu. To się przecież zdarza.

— Na parkingu stoi jej samochód. Wczoraj wieczorem też nie odbierała telefonów. Niech pan posłucha, jestem jej przyjacielem i zaczynam się niepokoić. Może wjechałby pan ze mną sprawdzić, co i jak?

— Dobra. — Popatrzył na mnie podejrzliwie. — Ale jest pan pewien, że pan tego chce?

— Chodźmy już — rzuciłem zniecierpliwiony.

Wziął klucz i wsiedliśmy do windy. Przed drzwiami jej mieszkania wciąż leżała poranna gazeta. Jeszcze jedna rzecz, która mi się nie spodobała. Dozorca włożył klucz, przekręcił i pchnął drzwi, a ja czekałem, przerażony tym, co być może mnie tam czekało. Dozorca przekrzywił głowę, nasłuchując. Wtedy dobiegły mnie jakieś dźwięki. Stukot maszyny do pisania. Brzmiało to tak, jakby jakiś dzieciak tłukł kijem po słupkach płotu.

— Przyjacielu... — odezwał się dozorca. — Posłuchaj mojej rady i spadaj...

Nie zwracając na niego uwagi, przecisnąłem się do środka i przebiegłem przez salon do drzwi jej gabinetu. Było tam gęsto od dymu, a ona siedziała przy maszynie w swoich rybaczkach i tylko jakiejś białej koszuli, na dodatek niedopiętej. Jej jasne włosy były zmierzwione, a oczy płonęły żywo. Wszędzie wokół było mnóstwo kartek papieru: na dywanie, w koszu na śmieci i na pulpicie po obu stronach maszyny.

— Suzy! — zawołałem. — Dzięki Bogu, żyjesz...

Wymazała coś i ponownie zaczęła stukać w klawisze. — O co chodzi, do diabła? — rzuciła, nie podnosząc nawet wzroku. Popatrzyłem na nią. — A ja tu się o ciebie zamartwiam...

— Serio? — mruknęła. Wzięła jakąś zapisaną kartkę, przeczytała i wgapiała się w nią, marszcząc brwi.

— Panno Patton — zawołał niepewnie dozorca w drzwiach. — Zna pani tego mężczyznę?

Wtedy po raz pierwszy na mnie zerknęła. — A, to ty. — I machnęła ręką do dozorca. — Tak, znam. No i co to ma znaczyć, do cholery? Sylwester na Times Square czy co? Kto by pomyślał, żeby na siódmym piętrze apartamentowca, za zamkniętymi drzwiami...

Dozorca wyszedł.

— Nie odpowiadałaś na telefony — wyjaśniłem. — Nie otwierałaś drzwi...

— Na jakie telefony? — Spojrzała na mnie, jakbym całkiem postradał zmysły. — Nigdy nie odbieram telefonu w czasie pracy. Nawet nie słyszę, jak dzwoni. No więc w czym problem? Przecież dziś rano w radiu podali, że uwolniono cię od zarzutu morderstwa.

— To prawda — przytaknąłem. — Chciałem się tylko z tobą zobaczyć. I przyznać ci całkowitą rację...

— Dobrze już, dobrze. — Wyszarpnęła z maszyny arkusz i wkręciła nowy. — Już mi to powiedziałeś.

— Chciałem jeszcze podziękować...

— Hmmmm? — mruknęła i znów rozległo się to stukanie jak kijem o płot.

Zapomniała o moim istnieniu.

Wziąłem od niej pustą kartkę, usiadłem w salonie przy stoliku i napisałem krótki liścik.

Droga Suzy!

Oto pieniądze za płaszcz i kapelusz. Stokrotne dzięki za wszystko. Mam nadzieję, że dziewczyna z Południa, która ukrywa żołnierza Unii, jest chociaż w połowie tak miła jak Ty...

Rudy

Wyjąłem z portfela sto dolarów, położyłem na kartce, przystawiłem popielniczką i wyszedłem. Nawet nie podniosła głowy.